

#155 2/2019
N O W E

Piotr Lisiewicz
**ŻWIRKO I WIGURA,
CZYLI RYCERSKA
ŁOBUZERIA POLSKA**

Antoni Rybczyński
**ŁODÓWKA KONTRA
TELEWIZOR. ROSJANIE
BOJĄ SIĘ ROKU 2019**

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

N O W E P A N S T W O

**INDEKS
WYRAZÓW
ZAKAZANYCH** | **W RAMACH
WALKI
Z hejtem**

for: Fotolia (2)
cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 14 630 indeks 211060 #155 2/2019

ISSN 1895-4960
9 771895 496902



Spis treści

► TEMAT NUMERU

- Piotr Lisiewicz
Indeks wyrazów zakazanych
w ramach walki z hejtem 6
Dorota Kania
Socjotechnika nienawiści 10
Grzegorz Wierchołowski
Dlaczego Stefan W. nie jest drugim Cybą 14
Ryszard Czarnecki
USA i Skandynawia: niepolityczne
zamachy na polityków 16

► IDEE

- Małgorzata Matuszak
Słowa (z) pogardy i nienawiści 18
Jakub Augustyn Maciejewski
Jak wysoka kultura Rzeczypospolitej
edukowała ciemną Moskwę 22

► HISTORIA

- Piotr Lisiewicz
Żwirko i Wigura,
czyli rycerska łobuzeria polska 28
Dariusz Jaroński
Omulew – jezioro bohaterów i zdrajców 34
Magdalena Złotnicka
Polski Kot na salonach Europy 40
Agnieszka Kowalczyk
Chociażbym chodziła ciemną doliną,
zła się nie ulękę 46
Ewa Polak-Palkiewicz
Śmierć lepsza od skazy 52
Piotr Lisiewicz
Zaczynamy gnić „... bez znajomości
historii nie ma kultury” 58

► KULTURA

- Krzysztof Karnkowski
„Bandersnatch”, czyli coś za coś 62

► ŚWIAT

- Antoni Rybczyński
Łódzka kontra telewizor. Rosjanie boją
się roku 2019 68
Olga Doleśniak-Harczuk
Niechciane dziecko Willkommenskultur 73
Hanna Shen
Chińska soft power zagraża Polsce 78
Stefan Czarnecki
Gdy chrust staje się niepotrzebny 82
Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92
oprac. Antoni Rybczyński
Nowa broń Rosji: realne zagrożenie,
sprawdzone w Syrii 94

Stale rubryki

- Katarzyna Gójska
Prawdziwy cel historii pt.: „Niszczy nas mowa nienawiści”
NA POCZĄTEK 3
Małgorzata Matuszak
Czym jest... acedia
KATECHIZM INTELIGENTA 24
Ryszard Czarnecki
Zjazd rodzinny
CZARNECKO TO WIDZĘ 27
Marek Kalinowski
Królowe londyńskiego jazzu
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 66
Natalia Ostrowska
Zakład Ubezpieczeń Sprawdzających
SŁOWEM O GOSPODARCE 67
Olga Doleśniak-Harczuk
Żelazo i aksamit
Z GLOBALNEGO TYGŁA 90
Marcin Wolski
Różne twarze nienawiści
PAPKULTURA 98
Tomasz Sakiewicz
Jak przekonać nieprzekonanego
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLSKA CYWILIZACJA HISTORIA

**NOWE
PAŃSTWO**

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czarnecki, Olga Doleśniak-
Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart,
Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny),
Dariusz Jaroński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz,
Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan
Urbanowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko,
Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razwarkow
KOREKTA
Irena Biśta-Kanciála

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Indeks wyrazów zakazanych w ramach walki z hejtem / 6



Słowa (z) pogardy i nienawiści / 18



Żwirko i Wigura, czyli rycerska łobuzeria polska / 28



„Bandersnatch”, czyli coś za coś / 62



Łódzka kontra telewizor. Rosjanie boją się roku 2019 / 68



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

PRAWDZIWY CEL HISTERII pt.: „Niszczy nas mowa nienawiści”

Skoro przed laty choćby z Urbana uczyniono eksperta recenzującego polskie życie publiczne, mogącego swobodnie zabierać głos w debacie medialnej, to nie ma się czemu dziwić, że sfera publiczna dziś wygląda tak, jak wygląda. Kto robił wywiady z tym siewcą sowieckiej pogardy, niech teraz bije się w piersi, bo to między innymi przez takie „rozmowy” barbarzyńcy zostali w III Rzeczypospolitej awansowani do poziomu równoprawnych uczestników życia publicznego.

Na początek fakty. Dramatyczny w skutkach atak na urzędującego prezydenta Gdańska był dziełem kryminalisty, który dopiero co skończył odbywanie kary za cztery napady na banki z bronią w ręku. U mężczyzny stwierdzono także ciężkie zaburzenia psychiczne, był agresywny i poddawany terapii farmakologicznej. Nie był członkiem, działaczem ani sympatykiem żadnej partii politycznej. Na jego koncie w mediach społecznościowych – dziennikarze bardzo szybko przejrżeli jego zawartość – nie odnaleziono śladów zainteresowania życiem publicznym. W kręgu najbliższych znajomych sprawcy nie było osób aktywnych politycznie czy choćby żyjących sprawami kraju. Grzegorz Wierchołowski na łamach tego numeru „Nowego Państwa” dokładnie pokazuje, jak absurdalne jest nazywanie bandyckiego czynu Stefana W. „inspirowanym politycznie”.

► Narodziny pogardy

Ze zdziwieniem przyglądam się histerii pod tytułem: „Narasta nienawiść w polskim życiu publicznym”. Otóż nienawiść, pogardę, odbieranie godności mamy na co dzień od komunizmu. Nie liczę lat II wojny światowej, bo to zupełnie inny czas. Sowiecka władza w naszym kraju m.in. w ten sposób utrzymywała swe totalitarne i zbrodnicze rządy. Przemocy fizycznej zawsze towarzyszyło pohańbienie: porównywanie przeciwników do robactwa, które ma być wybite, zgniecione; fotografie ukazujące ich tuż po zabiciu z wykrzywionymi twarzami, leżących pod ścianami lub płotami, jakby byli pijani; czy w końcu odbieranie prawa do człowieczego pochówku – wrzucanie do bezimiennych dołów śmierci. Wymieniam tylko najczęściej stosowane metody, bo arsenał nienawiści i dehumanizacji był znacznie szerszy. A wszystko to było używane w środkach masowego przekazu. W taki oto sposób ponad półwiecze komunizmu w Polsce zbudowało tradycję pogardy, w którą wpisani byli politycy, działacze spo-

leczni, dziennikarze, sędziowie, znaczna część świata nauki i sztuki. Z tym wyszliśmy z PRL i weszliśmy w III RP, uznając, że wszystko się samo wyprostuje. Nic takiego nie nastąpiło i nastąpić nie mogło. Z wielu przyczyn – od walki o utrzymanie wpływów po dość oczywiste kwestie natury psychologicznej. Postkomunizm przejął znaczną część systemu funkcjonowania sfery publicznej po PRL. Owszem, ucywilizował go, dopasował do nowych warunków. Jednym słowem, zmienił formę, lecz nie treść. Nie będę teraz dokładnie opisywać historii pogardy w III RP. Na łamach gazet Strefy Wolnego Słowa czyniliśmy to nieraz. Skoro przed laty choćby z Urbana uczyniono eksperta recenzującego polskie życie publiczne, mogącego swobodnie zabierać głos w debacie medialnej, to nie ma się czemu dziwić, że sfera publiczna dziś wygląda tak, jak wygląda. Kto robił wywiady z tym siewcą sowieckiej pogardy, niech teraz bije się w piersi, bo to m.in. przez takie „rozmowy” barbarzyńcy zostali w III Rzeczypospolitej awansowani do poziomu równoprawnych uczestników życia publicznego. Odrza i hejt w naszej współczesności to dzieło m.in. rzecznika Jaruzelskiego. Palikot i jemu podobni byli jedynie jego mniej lub bardziej skutecznymi naśladowcami. Tyle tylko że mieli łatwiej – każda wypływana przez nich porcja jadu rezonowała w mediach społecznościowych, łatwo dostępnych telewizjach, portalach internetowych.

► Po co jest dzisiejsza wrzawa o hejt

Zbrodnia popełniona w Gdańsku nie ma nic wspólnego z nienawiścią w życiu publicznym, a co najwyżej ze słabością instytucji państwa. Gdyby nie powszechne lekceważenie procedur bezpieczeństwa, fikcyjne sprawdzanie tzw. agencji ochrony, do tego strasznego wydarzenia mogłoby nie dojść. Ale Stefan W. zaatakowałby bez względu na temperaturę politycznego sporu. Niemal natychmiast jego czyn został wykorzystany w bieżącej walce partyjnej. I nie chodzi tylko o przypisanie zabicia prezydenta Gdańska Prawu i Sprawiedliwości. Morderstwo śp. Pawła Adamowicza ma zapewnić głównym siłom opozycyjnym swego rodzaju immunitet i wprowadzić w Polsce rodzaj cenzury. Temu służą opowieści o wieloletnim zaszczytaniu polityka przez prawicowe media – a w sposób szczególny przez TVP. Te oczywiste kłamstwa powtarzają jak mantrę nie tylko politycy szeroko rozumianego środowiska totalnej opozycji, lecz także sprzyjający jej różnej maści celebryci. Chodzi o utrwalenie przekazu – każdy materiał medialny informujący o niegodnych działaniach lub faktach z życia polityków Platformy to budowanie atmosfery nienawiści. O ile łatwiej w takich okolicznościach odwracać kota ogonem i wmawiać ludziom, że pisanie o łapówkach to hejt, a nie normalne, demokratyczne działanie kontrolne mediów. O ile prościej nie odnosić się do konkretnych zarzutów, a zamiast

tę krzyczeć: chcą mnie zniszczyć. Stanisław Gawłowski będzie teraz z jeszcze większym przekonaniem nazywał się „więźniem politycznym” i prześladowanym przez piśmowski reżim opozycjonistą. W tym kontekście tragiczna śmierć na koncercie WOSP zostanie przez totalną opozycję wykorzystana instrumentalnie nie tylko do walki z PiS, lecz przede wszystkim do obrony swoich przed organami ścigania i wymiarem sprawiedliwości.

► Kto atakował Pawła Adamowicza

Świętej pamięci prezydent Gdańska zginął, sprawując swój urząd. Z tego powodu powinien zostać uczczony przez państwo. I tak się stało. Pogrzeb miał charakter po części państwowy, wzięli w nim udział jedni z najważniejszych przedstawicieli Rzeczypospolitej – w takim zakresie, w jakim chciała tego rodzina. Bez wątplenia w jego rodzinnym mieście powinna być upamiętniająca go ulica. I tak zapewne będzie. Jednak kreowanie jego kariery politycznej jako nieposzlakowanej, wręcz bez skazy, jest po prostu manipulacją. Tragicznie zmarły wódtarz Gdańska znalazł się w zainteresowaniu służb w czasach pełni rządów Platformy. Również w czasach władzy jego środowiska politycznego prokuratura postawiła mu zarzuty. Wątpliwości wobec źródeł jego majątku pierwsze opisały media, które dziś kreślą go jako postać wręcz kryształową. Wzór do naśladowania. Tygodnik kierowany przez Tomasza Lisa szczycił się, iż ujawnił problemy z prawem prezydenta Gdańska jako pierwszy. Na przestrzeni kilku lat wnikliwie opisywał jego domniemane oszustwa. Informował także o budzącej wątpliwości roli Magdaleny Adamowicz, a nawet kilku członków jej najbliższej rodziny. Podobne materiały ukazywały się też w „Gazecie Wyborczej”. W czasie ostatniej kampanii samorządowej kandydat PO Jarosław Wałęsa uczynił ze sloganu „Adamowicz w więzieniu” jedno z głównych haseł swojej walki wyborczej. Schetyna wzywał, by nieżyjący dziś prezydent Gdańska odszedł z polityki. Można śmiało postawić tezę, iż w sprawie ujawniania okoliczności, w których śp. Paweł Adamowicz wszedł w posiadanie nieproporcjonalnie dużego do jego wynagrodzenia majątku, więcej uczyniły media związane ze środowiskiem Platformy niż te określane jako prawicowe. Od razu wyjaśniam – należy docenić ten ich wysiłek. Bo każda publikacja o niejasnościach wokół polityka – bez względu na to, z jakiej jest opcji – służy demokracji. A prawdziwość informacji zdobytych przez dziennikarzy w tej sprawie nie zakwestionował sąd.

W najnowszym numerze naszego miesięcznika bardzo wnikliwie analizujemy sytuację po tragedii w Gdańsku. Diagnozujemy realne związane z nią zagrożenia dla debaty publicznej w Polsce. A one nie mają związku z narastającą nienawiścią, lecz z próbą jeszcze większego zmanipulowania przekazów kierowanych do opinii społecznej. ■

WOLNE MEDIA - WOLNA POLSKA!

STOP CENZURZE W INTERNECIE

Celem działania naszej Fundacji jest walka o wolną Polskę poprzez wspieranie niezależnych mediów.

Dzięki pomocy ludzi, dla których ważna jest Polska
- niezależni dziennikarze mogą pisać prawdę.

DANE DO PRZELEWU W POLSCE

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA, ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Bank Pekao SA, Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864

TYTUŁEM: DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA

DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA,

ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa, POLAND

Bank Pekao SA, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa

NUMER KONTA - PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864

SWIFT CODE - PKOP PL PW

TYTUŁEM: AS A DONATION FOR „FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA”



Wspomóż
naszą Fundację
nawet skromnym
datkiem



FUNDACJA
NIEZALEŻNE
MEDIA



Indeks wyrazów zakazanych w ramach walki z hejtem


Piotr Lisiewicz

Czy w Polsce są zdrajcy, komuniści albo złodzieje? Już samo zadanie tego pytania w czasach walki z hejtem brzmi dla wielu jak nieprzyjemny zgrzyt. Ale polskie państwo uważa oficjalnie i urzędowo, że istnieją, skoro zakazuje uprawiania wszystkich trzech wymienionych procederów. I w czasie ofensywy ideologii walki z hejtem to osoby trudniące się nimi są najszcześliwsze na świecie, bo nikt nie może nazwać ich po imieniu. Ale indeks słów dziś zakazanych jest znacznie dłuższy. Poniżej krótki słowniczek wyrazów i tematów, których nie mogą używać oraz podejmować osoby pragnące uniknąć podejrzeń o hejt.

► 1. ZDRADA

W historii III RP mieliśmy niewątpliwie do czynienia z politykami, których działanie wyczerpywało znamiona zdrady narodowej, tej opisanej w Kodeksie karnym. Potrafimy wymienić przedstawicieli władzy, którzy w stosunkach z rządem obcego państwa lub zagraniczną organizacją działali na szkodę Rzeczypospolitej Polskiej (tzw. zdrada dyplomatyczna). Zdemaskowani zostali także ludzie wprost przekazujący informacje obcym wywiadow. Dodatkowo obecność tematu zdrady w dyskusji publicznej powodował fakt, że w życiu politycznym najwyższe stanowiska (w tym prezydenta i premierów) pełnili ludzie, którzy reprezentowali ugrupowanie będące kontynuacją PZPR, otwarcie służącej Moskwie. Mówiąc językiem Kodeksu karnego, ludzie ci podejmowali działania przeciwko niepodległości Polski. Za każde z tych przestępstw grożą najwyższe kary.

Tymczasem po śmierci Pawła Adamowicza słowa „zdrada” i „zdrajca” zaliczone zostały do mowy nienawiści. „Język nienawiści doprowadzi do tego, że komuś puszczą nerwy [...]”. W języku debaty publicznej pojawiają się bardzo mocne określenia – złodzieje, zdrajcy. Nie ma się co dziwić, że to się udziela internautom, że oni widzą pewną legitymację określonych sformułowań i ten język się wyostrza” – powiedział radiu Eska Konrad Maj, psycholog społeczny. Z kolei prof. Maciej Kisielowski w Radiu TOK FM mówił: „Czym innym jest to, że ktoś pod moim artykułem pisze »ty sorosowy zdrajco«, a czym innym jest, kiedy władza używa instrumentów państwa do tego, żeby atakować, organizować nagonkę”.

► 2. KOMUNISCI

21 stycznia na portalu Wyborcza.pl ukazał się list otwarty do ministra Joachima Brudzińskiego. Anonimowy, podobnie jak w przypadku pamiętnych „listów do redakcji” z czasów PRL. I bardzo mocno nagłaśniany. Podpisała go „Polka, jakich wiele”. Napisała w nim: „Piszę do Pana w związku z gdańską tragedią – morderstwem Pawła Adamowicza. 13 grudnia 2015 roku podczas Marszu Wolności i Solidarności w Warszawie z ust Jarosława Kaczyńskiego padły słowa: »Cała Polska z was się śmieje«, a ktoś dokończył: »komuniści i złodzieje«. [...] Sama radość nazwać ludzi protestujących przeciwko waszej wizji Trybunału Konstytucyjnego »złodziejami« i »komunistami«”.

Problem w tym, że wśród manifestantów roilo się od komunistów, byłych, a nawet nie do końca

byłych. Nazywanie Marka Barańskiego, w stanie wojennym spikera „Dziennika Telewizyjnego”, komunistą chyba jednak trudno zaliczyć do mowy nienawiści? A Adam Mazgula i jego grupa obrońców emerytur mundurowych? Gdyby wspomniany list potraktować serio, to wielka część młodej blogosfery i youtuberów, wyśmiewających komunistycznych weteranów w futrach, zostaje z miejsca zakwalifikowana do ponurych siewców mowy nienawiści.

► 3. ŻŁODZIEJE

Żłodziejstwo było najważniejszym mechanizmem powstawania fortun w III RP, ale także w innych państwach postkomunistycznych. Czasem było nazywane „akumulacją pierwotną”. Niekiedy wręcz chwalono zasługi nomenklatury komunistycznej i biznesmenów z „firm polonijnych”, że zarabiając niedostępne dla reszty obywateli pieniądze, rozmiękczały komunizm. Ale istotą powstania największych fortun była rabunkowa prywatyzacja narodowego majątku. Bez słowa „żłodzieje” nie da się opisać III RP.

Po śmierci Pawła Adamowicza słowo to zaczęło należeć do najbardziej zakazanych. Mikołaj Chrzan z „Gazety Wyborczej” pisał: „Był Adamowicz żłodziejem. Dorobił się dużego majątku, popełnił błąd w oświadczeniach majątkowych. Podobnych spraw wśród polityków było więcej. Ale akurat to on stał się wygodnym chłopcem do bicia. Sprawy ciągną się od lat, raz umarzane, raz wznawiane. Trudno nie odnieść wrażenia, że ten wieczny stan »półoskarżenia« był dla przeciwników politycznych najbardziej komfortowym rozwiązaniem, bo jako przeciwnika mieli »aferała«”. Zaś Aleksander Hall tak wskazywał winnych śmierci Adamowicza: „Nienawiść, która zabiła Pawła, wzbudzano i podsyćcano, dyskwalifikując go moralnie, przypisując mu niskie intencje i nieuczciwość”. „Zarzucono mu żłodziejstwo, zdradę polskich interesów na rzecz Niemiec czy zakłamywanie polskiej historii” – czytamy z kolei w artykule Cezarego Michalskiego w „Newsweeku”.

► 4. NIEMIECKIE MEDIA

W marcu 2017 roku do mediów przedostała się instrukcja szefa koncernu Ringier Axel Springer Marka Dekana dla polskich dziennikarzy pracujących w koncernie, w której pisał on: „Razem z Tuskiem wygrali Polacy – wszyscy ci, którzy są dumni z przynależności do Unii Europejskiej [...] To jest właśnie moment, gdy do gry włączają się wolne

media, takie jak my. Nigdy nie zapominajmy o podstawowych wartościach, jakie reprezentujemy: opowiadamy się za wolnością, rządami prawa, demokracją i ZJEDNOCZONĄ EUROPEĄ”. Profesor Piotr Grochmalski mówił niedawno w „Wywiadzie z chuliganem” w Telewizji Republika: „To szokujące, ale Niemcy przejęli nasz język. Zaczęli go instrumentalnie zmieniać, nadawać mu charakter taki, by realizował niemieckie cele strategiczne. Wprowadzili wiele pojęć, które niewiele mają wspólnego z naszą wspólnotą, budując inną filozofię i logikę naszego społeczeństwa”.

Po śmierci Pawła Adamowicza mówienie o niemieckich mediach zaliczone zostało do działań ksenofobicznych i mowy nienawiści. We wspomnianym liście otwartym czytamy: „Onet, ale również inne media, »Newsweek« czy »Fakt«, były nieustannie atakowane przez koleżanki i kolegów z Pańskiej partii jako obce. Co gorsza – niemieckie. Tylko dlatego, że należą do szwajcarsko-niemieckiego konsorcjum Axel Springer. I nie miało dla was niestety najmniejszego znaczenia, że pracują w nich POLSCY DZIENNIKARZE. Polacy”.

► 5. OJKOFOBIA

To bodaj najbardziej kuriozalna kariera nieznanego wcześniej nikomu poza filozofami i garstką inteligentów słowa, wynikająca z faktu, że użył go Jarosław Kaczyński. Termin, zdefiniowany w kontekście politycznym w literaturze filozoficznej przez Rogera Scrutona, oznaczający odrzucenie rodzimej kultury, nagle trafił do... tabloidów. Przypomnijmy, że Kaczyński powiedział: „Ta ojkofobia, jak to się nazywa, czyli niechęć czy nawet nienawiść do własnej ojczyzny i własnego narodu, to jedna z chorób, która dotknęła część sędziów i która prowadzi do nieszczęść”.

Autorka wspomnianego już listu napisała, iż „straszne padały słowa z ust obecnie rządzących. [...] Od »gorszego sortu«, przez »element animalny« po »ojkofobów«”. Natomiast widzenie we wszystkich przeciwnikach ksenofobów z pewnością do mowy nienawiści nie należy!

► 6. AMBER GOLD

Nie przypadkiem afera związana z trójmiejskim układem, z samego matecznika PO, znalazła się na tej liście. Przejawem szaszczuwania Adamowicza stało się teraz pokazywanie go wśród urzędników ciągnących samolot linii OLT Express.

Janusz Schwertner na Onecie tak napisał o TVP: „Reporterzy stacji przedstawiali go jako

oszusta majątkowego, współautora afery Amber Gold". I dalej: „Pod koniec materiału pojawia się sugestia, która później stanie się motywem przewodnim opowieści reporterów TVP o Adamowicz: prezydent Gdańska jest powiązany z aferą Amber Gold. Teza ta [...] jest okraszana zdjęciem prezydenta ciągnącego wspólnie z samorządowcami samolot OLT Express". Wśród działań napiętnowanych znalazły się pytania zadawane przez Łukasza Sitka: „Dlaczego pan wspiera przestępczość w Gdańsku? Kto skorzystał na Amber Gold? Gdzie jest 800 mln?”.

► 7. RESORTOWE DZIECI

To przykład tego, jak instrumentalnie traktowana jest sprawa rzekomej walki z hejtem. Adamowicz nie był resortowym dzieckiem, ale ponieważ temat ten jest wyjątkowo dotkliwy dla establishmentu, został włączony do narracji o budowie atmosfery sprzyjającej zbrodni. Piotr Osęka w wywiadzie dla wp.pl insynuował: „Wzory nienawiści stosowane niegdyś do Żydów, z elementem wrogości do elit, dziś stosowane są przez Polaków wobec innych Polaków. Książka »Resortowe dzieci« to dobry przykład. Autorzy ustalają tam – często błędnie – kto się jak »naprawdę« nazywał”.

► 8. KRYTYKA OWSIAKA

To największy absurd w całej sprawie, ale można było odnieść wrażenie, że Jerzy Owsiak stał się drugą obok Adamowicza... ofiarą zabójstwa. Nie osobą ponoszącą odpowiedzialność za zaniedbania, gdy chodzi o ochronę w czasie imprezy WOŚP, lecz kimś skrzywdzonym. Każda wypowiedź krytyczna wobec niego zaczęła być nazywana brutalnym hejtem, którym powinna zająć się prokuratura. W ramach walki z hejtem rozpoczęto w tej sytuacji pełną nienawiść i gróźb karalnych nagonkę na blogera Matkę Kurkę i Barbarę Piele.

Nikt, kto obserwuje Jerzego Owsiaka od lat, ani przez sekundę nie miał wątpliwości, że jego rezygnacja to teatrzyk dla naiwnych. Rozpoczęły się błagania znanych osób: „By zło nie zwyciężyło, apelujemy do pana, żeby zmienił pan swoją decyzję”. No i „Jurek” musiał decyzyjnie zmienić.

A w „GW” o powody nienawiści do Owsiaka pytano... psychiatrów. Lekarz psychiatry Ewa Dominić stwierdziła: „Każdy by chciał być takim Jurkiem, ale mało kto tak potrafi. Dlatego niektórzy ludzie wydobywają z siebie zło. Nienawidzą Owsiaka, bo ma ogromny, charyzmatyczny dar uruchamiania w ludziach dobrych emocji i porywania tłumów”.

► 9. ZAPRZECZANIE WINIE KOŚCIOŁA

Kościół stał się w tych dniach obiektem szczególnie silnej presji ze strony ludzi, w tym także tych, którym zarówno daleko do wiary, jak i do wspierania misji Kościoła w życiu publicznym. Przekaz był taki, że skoro zbrodni winny jest (w nieokreślony sposób) PiS, a PiS trzyma z Kościołem, który powinien nawoływać do miłości i pokoju, to jest winowajcą szczególnie drastycznym.

Bogdan Borusewicz mówił: „Mnie też często spotykała agresja, ale na szczęście to była tylko agresja słowna. Często była to agresja spotkana od razu po wyjściu z Kościoła. Kościół tutaj ma również bardzo wiele do zrobienia. Rozmawiałem właśnie z kolegami z Gdańska i jesteśmy zgodni, że hierarchowie kościelni powinni zacząć wzywać do miłości”.

Wypowiedzi hierarchów nawołujące do pokoju, przez portal Tomasza Lisa, znanego z nienawistnych wobec księży okładek „Newsweeka”, uznawane były za słabe: „Jednego silnego, zdecydowanego i stanowczego wezwania Kościoła, by ludzie się opamiętali, nie było”.

Tradycyjnie do podobnych apeli dołączyli najmniej mądrzy publicyści prawicy. Michał Szuldrzyński w „Rzeczpospolitej” apelował: „Przed wszystkim warto dziś zaapelować do Kościoła katolickiego, który kształtuje sumienia dużej części Polaków, by zajął stanowcze stanowisko i wezwał do opamiętania. Jeśli zabójstwo z nienawiści, które wstrząsa społeczeństwem, nie jest tym momentem, w którym Kościół zabierze głos, to kiedy będzie moment odpowiedniejszy?”.

► 10. ROZBIJANIE POSTKOMUNISTYCZNYCH UKŁADÓW

Trudno o większy absurd, ale także ten postulat podłączony został pod walkę z hejtem. Jakim cudem? Trend wyznaczył generał Mirosław Różański, który krótko po zamordowaniu Adamowicza napisał: „Dzielenie społeczeństwa przez rządzących przynosi coraz bardziej drastyczne zdarzenia. Czas kończyć ten dramat”. Przypomnijmy, że Różański został odwołany ze stanowiska na wniosek ministra Antoniego Macierewicza. Karierę robił w komunistycznym wojsku. W 1982 roku, gdy czołgi jeździły po ulicach, wstąpił do PZPR, a w 1989 roku był dowódcą kompanii w czasie manewrów z bratnią Armią Radziecką „Przyjaźń 1989”. Ten ton stał się później powtarzaną w mediach mantrą. „Nie mamy prawa ulec szantażowi emocjonalnemu ze strony tych, którzy rozpętali w Polsce atmosferę nienawiści” – pisał w „Newsweeku” Tomasz Lis. ■



Dorota Kania

Socjotechnika nienawiści

Po zabójstwie Pawła Adamowicza liberalno-lewicowe media oraz politycy opozycji zaczęli oskarżać prawicę o atmosferę nienawiści, która doprowadziła do tragedii. To nie pierwszy raz, kiedy dramat jest wykorzystywany do walki politycznej w jednym celu: odsunięcia konserwatystów od władzy.

Rok 2005. Głównym strategiem Donalda Tuska jest Natalia de Barbaro, absolwentka psychologii i socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, która wcześniej była doradcą w sztabach Tadeusza Mazowieckiego i Jana Marii Rokity. Specjalizuje się m.in. w szkoleniach z komunikacji i przywództwa. Według nieoficjalnych informacji to właśnie ona była pomysłodawcą grania na konflikt wykorzystywania emocji, które miały doprowadzić Donalda Tuska do zwycięstwa w wyborach prezydenckich.

„Jeśli tam ciągle będzie obowiązywać reguła pani de Barbaro, że trzeba za wszelką cenę prowadzić wojnę, bo to droga do sukcesu – to my na tym nie stracimy. Ale Polska demokracja, która – choć ułomna – jakoś działa, może stracić wiele. I Polska może stracić” – tak o specjalistce PR Platformy Obywatelskiej mówił w październiku 2006 roku Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Dziennika”.

Zasada gry na emocjach i rozhuśtania nastrojów narastała od wyborów w 2005 roku. Często o nienawiści w wywiadach mówi prof. Bogdan de Barbaro (były działacz Unii Wolności, jak podawał w 2006 roku portal Onet.pl), psychiatra, ojciec doradczyni Donalda Tuska.

„Zastanówmy się: co ujawniały osoby, które niedawno szły z pochodniami Krakowskim Przedmieściem? Gdybyśmy je o to zapytali, na pewno powiedziałyby, że był to marsz patriotyczny z wartościami takimi jak Bóg, Honor i Ojczyzna. Prawdopodobnie zaprzeczyłyby, że kieruje nimi agresja, potrzeba znalezienia wroga. I zapewne na poziomie świadomym tak właśnie odczuwają i tak doświadczają swojej sytuacji. Nie trzeba jednak być psychologiem, by dostrzec, że tych ludzi niosła agresywna energia” – mówił prof. de Barbaro w wywiadzie dla „Newsweeka” po zabójstwie Marka Rosika, którego zamordował Ryszard Cyba, działacz Platformy Obywatelskiej.

W tym samym wywiadzie stwierdził: „Nie kwestionuję głębokiego sensu procesu żałoby, do-

strzegam jedynie niebezpieczeństwo wykorzystywania jej dla celów politycznych i pobudzania zachowań agresywnych”.

Profesor de Barbaro, który publicznie bronił Jana Tomasza Grossa przed „szykanami” ze strony prezydenta Andrzeja Dudy, nie jest jedynym, który mówi o nienawiści i przemocy, wskazując na polityków prawicy oraz jej zwolenników. Warto przypomnieć, jak zachowywało się szeroko rozumiane środowisko Adama Michnika (wspierane przez naukowców oraz „intelektualistów”) przez całą III RP, gdy pojawiała się „zagrożenie”, a były nim m.in. lustracja, Instytut Pamięci Narodowej, Centralne Biuro Antykorupcyjne, a przede wszystkim prawica. Nie przebiegano w środkach – wszystko po to, by zniszczyć zniechęconego przeciwnika. Eskalacja nastąpiła po katastrofie smoleńskiej, i to już w pierwszym dniu tragedii, gdy pojawiły się sugestie, że to Lech Kaczyński kazał pilotom lądować w Smoleńsku.

► „Nie” dla Wawelu

„Dlaczego Jarosław Kaczyński zdecydował się pochować ciało brata na Wawelu? To dziś pytanie numer jeden w Polsce” – pisała 13 kwietnia 2010 roku „Gazeta Wyborcza”. A na dole tekstu wytłuszczonym drukiem widniała informacja: „W internecie na Facebooku ruszyły grupy przeciwko pochowaniu b. prezydenta na Wawelu. Ludzie piszą, że to naród powinien decydować o pochowaniu w tak ważnym miejscu, nie rodzina”.

W tym samy dniu lewicowo-liberalny tygodnik „Polityka” zamieścił wpis: „Para prezydencka spocznie w katedrze na Wawelu. Czy to właściwa decyzja? Połączy czy podzieli Polaków? Czekamy na Państwa opinie”. To wezwanie wystarczyło, by pod nim pojawiła się fala pogardy i deklaracje protestów: „Prawdę mówiąc, również coraz poważniej zastanawiam się, czy nie pojechać do Krakowa, i nie urządzić na oczach całego świata największej zadymy od czasu Stanu Wojennego”

Po śmierci Pawła Adamowicza Centrum Badań nad Uprzedzeniami Wydziału Psychologii UW przeprowadziło badania, z których wynika m.in., że:

- postawy zwolenników partii opozycyjnych wobec zwolenników PiS są bardziej negatywne niż postawy zwolenników PiS wobec zwolenników opozycji;
- wyborcy partii opozycyjnych żywią bardziej negatywne uczucia, w większym stopniu dehumanizują i mają mniejsze zaufanie do swoich oponentów politycznych niż zwolennicy partii rządzącej;
- zwolennicy partii opozycyjnych mają bardziej negatywne postawy wobec zwolenników PiS niż wobec grup, które są najmniej lubiane w społeczeństwie polskim (tj. Żydów, muzułmanów, uchodźców, osób homoseksualnych i osób transpłciowych).

– pisał jeden z internautów, oczywiście anonimowy.

Pojawiły się również wpisy o „nienawiści Jarosława Kaczyńskiego” – przypomnijmy – było to zaledwie trzy dni po katastrofie smoleńskiej. „I tak diabli wzięli żałobę narodową przez niewiarygodną wręcz butę jednego człowieka, który jest autorem nienawiści narodowej. A już miałam nadzieję, że coś się zmieni, ale żadna tragedia nie jest w stanie zmienić Jarosława Kaczyńskiego. Nie uczyni pan, panie Jarosławie króla z pana brata, nawet chowając go na Wawelu. Niestosowność tej decyzji obróci się przeciwko panu” – napisała Obywatelka RP, a takich sugestii było znacznie więcej.

Narracja o tym, że śp. prezydent prof. Lech Kaczyński nie powinien być pochowany na Wawelu, była prowadzona przez wiele tygodni. „Pomysł pochowania Lecha Kaczyńskiego na Wawelu wywołał sprzeciw społeczny. Jednym z jego przejawów była piosenka Wojewódzkiego i Figurskiego „Po trupach do celu” – pisała w ubiegłym roku Anna Dryjańska na portalu internetowym Tomasa Lisa Natemat.pl. Czołowy błazen TVN, czyli Jakub Wojewódzki, wielokrotnie był używany do ataków na zmarłego prezydenta, a wspomniana wyżej piosenka jest jedynie tylko znamienym przykładem jego „działalności”.

Machina pogardy nie ominęła także innych ofiar tej tragedii – w Krakowie nie dopuszczono do pochówku śp. prof. Janusza Kurtyki w budowanym Panteonie Narodowym w jednej z krypt kościoła świętych Piotra i Pawła. Prezes IPN miał spocząć nieopodal miejsca, w którym pochowany jest ks. Piotr Skarga. „Rzeczpospolita” ujawniła, że miał mieć na to wpływ prof. Franciszek Ziejka, były rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Profesor Ziejka kierujący Fundacją Panteonu powiedział dziennikarzom, że o pochówku ma decydować Kapituła Panteonu, a nikt nie zapytał jej o zdanie. „Profesor Ziejka mógł mieć osobisty żal do Instytutu kierowanego przez Kurtykę. W archiwach IPN odnaleziono informację, że były rektor UJ został zarejestrowany przez Służbę Bezpieczeństwa jako kontakt operacyjny Służby Bezpieczeństwa o kryptonimie „Zebu” – pisała 22 kwietnia 2010 roku „Rzeczpospolita”.

► „Nie” dla krzyża

W dniach żałoby po katastrofie smoleńskiej harcerze przez Pałacem Prezydenckim ustawili krzyż, na którym zawiesili tabliczkę z napisem „Ten krzyż to apel harcerzy i harcerzek do władz

i społeczeństwa o zbudowanie tutaj pomnika”. Gromadziły się pod nim tysiące ludzi, którzy chcieli oddać hołd tragiczniej zmarłej parze prezydenckiej i towarzyszącym im przedstawicielom polskiej elity w drodze do Katynia. Tuż po wygranych wyborach, w lipcu 2010 roku, Bronisław Komorowski w rozmowie z Jarosławem Kurskim, Pawłem Wrońskim i Agatą Nowakowską w „Gazecie Wyborczej” stwierdził: „Pałac Prezydencki jest sanktuarium państwa. Krzyż, co było zrozumiałe, postawiono w nastroju żałoby, lecz żałoba minęła i trzeba te sprawy porządkować. Krzyż to symbol religijny, więc zostanie we współdziałaniu z władzami kościelnymi przeniesiony w inne, bardziej odpowiednie miejsce”.

Ta wypowiedź stała się przysłowiowym „zielonym światłem” dla przeciwników prawicy. Na Krakowskim Przedmieściu, gdzie stał krzyż, dochodziło do dantejskich scen. Pijana tłuszcza atakowała obrońców krzyża, na palące się znicze oddawano mocz, ustawiano krzyż zrobiony z puszek po piwie z napisem „Lech”. Nieformalnym liderem tego towarzystwa był Dominik Taras, który zwoływał młodych ludzi na Facebooku i zapowiadał usunięcie krzyża. Podczas manifestacji krzyża: „Mohery na stos!” i życzył śmierci Jarosławowi Kaczyńskiemu (krzyczał: „Jeszcze jeden!”). Towarzyszyło temu publiczne rozrywanie pluszowej kaczki. (Po „występach” na Krakowskim Przedmieściu Dominik Taras stał się gwiazdą liberalnych mediów, uczestniczył też w kongresie Ruchu Poparcia Palikota, a później zniknął z życia publicznego).

Do krzyża stojącego na Krakowskim Przedmieściu ówczesny premier Donald Tusk zalecał podejście „z poczuciem humoru”. „Ten osobliwy Hyde Park nie jest dla miasta szczególnie groźny. Wczoraj obserwowałem te zdarzenia i nie widzę powodu, żeby stwierdzić, że dzieją się tam rzeczy straszliwe. Owszem, dla niektórych osobliwe, ale emocje dotyczą głównie polityków, którzy chcą za pomocą krzyża prowadzić politykę” – mówił w sierpniu 2010 roku Donald Tusk.

Emocje wokół krzyża podgrzewały media Adama Michnika. „Kościół zakładnikiem Kaczyńskiego i Rydzyka”, „Krzyż dzieli harcerzy”, „Publicyści katolicy: trwa cichyca gra”, „To już jest wojna pod krzyżem”, „Kwaśniewski: wracamy do wojny”, „To jest Polska, nie plebania” – to zaledwie kilka tytułów artykułów z „Gazety Wyborczej” dotyczących krzyża z Krakowskiego Przedmieścia.

Podobnie wyglądały relacje dziennikarzy TVN24: „Awantura o krzyż – raport specjalny TVN24”, „Kra-

kowskie Przedmieście krzyżem podzielone”, „Wyżwiska, pięści gaz – tak wyglądała wojna o krzyż” – te oraz podobne w wymowie depesze ukazywały się w TVN24.

Ostatecznie, mimo protestu wielu osób, krzyż został usunięty nad ranem 16 września 2010 roku. Na „pamiątkę” tego wydarzenia powstała piosenka „Gdzie jest krzyż”, którą puszczano na dyskotekach – do dziś bez problemu można znaleźć w Internecie rozbawiony tłum tańczący przy tym wątpliwej jakości utworze.

► „Nie” dla prawdy o Smoleńsku

Po usunięciu krzyża politycy opcji rządzącej i sprzyjające im „zaprzyjaźnione media” (cytat z Andrzeja Wajdy) zajęli się zespołem parlamentarnym powołanym do wyjaśnienia przyczyn katastrofy smoleńskiej, na czele którego stanął poseł PiS Antoni Macierewicz. Agnieszka Kublik, Wojciech Czuchnowski z „GW” oraz Joanna Komolka z TVN24 przejdą do annałów sztuki manipulacji. Na celowniku znaleźli się niemal wszyscy, którzy chcieli ustalić, co tak naprawdę stało się w Smoleńsku. Politycy Platformy Obywatelskiej nie dopuścili do powstania naukowej komisji, chociaż naukowcy deklarowali swój udział: „towarzystwo” spod znaku „GW” i TVN produkowało fake newsy i ośmieszało ekspertów współpracujących z zespołem parlamentarnym. Gdy naukowcy mówili o Smoleńsku, posługując się przykładem zgniecionych puszek czy pękających parówek, kpinom i szyderstwom nie było końca.

„Mnie najbardziej podoba się referat, który obzarował wybuch na pokładzie samolotu... wizerunkiem pękniętej parówki. To miał być ostateczny dowód. Zanim umrę, chciałabym się dowiedzieć, czy oni naprawdę w to wierzą. Chciałabym wiedzieć, czy Antoni Macierewicz w to wierzy, czy jest tak cyniczny i okrutny, że w ten sposób kpi sobie z wydarzeń z 10 kwietnia 2010 roku – mówiła dziennikarka „Newsweeka” Renata Kim po konferencji smoleńskiej w 2013 roku.

„Zniszczone puszki, pęknięta parówka dowodami na wybuch tupolewa” – pisała z kolei „GW”. (Prorządowe media milczały i nie piły, gdy trzy lata później David Thouless, Duncan Haldane i Michael Kosterlitz otrzymali Nagrodę Nobla z fizyki przyznaną za „odkrycia teoretyczne topologicznych przejść fazowych i topologicznych faz materii”, które zostały objaśnione przy pomocy bajgli, bułeczek cynamonowej i precii). Agnieszka Kublik doczekała się nawet nagrody – dostała

Grand Press w kategorii news za artykuły o rzekomym braku kompetencji ekspertów Antoniego Macierewicza.

► „Nie” dla prawicowych dziennikarzy

Obecne ataki na media publiczne nie są niczym nowym – dokładnie taka sama fala nienawiści wezbrała po katastrofie smoleńskiej. Po śmierci prof. Lecha Kaczyńskiego jego następcą Bronisław Komorowski – pełniący wówczas obowiązki prezydenta – w czerwcu 2010 roku przychylił się do stanowiska Sejmu i Senatu (rządziła wówczas koalicja PO-PSL), które odrzuciło sprawozdanie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji za poprzedni rok. Rada została rozwiązana i powołano nową KRRiT z Janem Dworakiem na czele, przyjacielem Bronisława Komorowskiego. Do Rady wszedł także Krzysztof Luft, dziś pierwszy, zjadły krytyk mediów publicznych. Nowa KRRiT najpierw zmieniła radę nadzorczą TVP, a ta z kolei wybrała prezesa, którym w marcu 2011 roku został Juliusz Braun, były polityk Unii Wolności. Po tej zmianie z mediów publicznych usunięto niemal wszystkich konserwatywnych dziennikarzy; podobnie stało się w Polskim Radiu. Z TVP zwolniono Bronisława Wildsteina, Rafała Ziemkiewicza, Krzysztofa Skowrońskiego, Marka Pyżę, Anitę Gargas, Katarzynę Gójską, Tomasza Sakiewicza, Jacka Sobalę, Michała Karnowskiego, Anę Sarzyńską, Piotra Skwiecińskiego, Wandę Zwińogrodzką, Artura Dmochowskiego i wielu innych.

W 2010 roku, 9 kwietnia, bezceremonialnie zwolniono Tomasza Sakiewicza. Władze Polskiego Radia, w którym prowadził program w paśmie „Trójka po trzeciej”, oskarżyły go o działalność antypaństwową. To dlatego, że zaprosił ks. Stanisława Małkowskiego i pozwolił mu na prezentację jego poglądów. Po programie zwołano specjalne posiedzenie komisji etyki PR, na którym zarzucono Sakiewiczowi, że jako prowadzący audycję nie prostował „niesłusznych poglądów” rozmówcy. Z radiowej „Trojki” został zwolniony jej szef – Jacek Sobala. Powód? Zabrał głos po koncercie i Mszy świętej odprawianej w intencji ofiar katastrofy smoleńskiej.

Do momentu zwolnienia prawicowych dziennikarzy z mediów publicznych były one nieustannie atakowane – cisza zapanowała po tym, jak weszli tam ludzie związani z Platformą Obywatelską. Od trzech lat nastąpiła zmiana, czyli powrót do stanu sprzed dziesięciu lat. Narracja o nienawiści powróciła z wielokrotnością. ■



Grzegorz Wierchołowski



Dlaczego Stefan W. nie jest drugim Cybą

Tuż po śmiertelnym ataku na Pawła Adamowicza prominentni politycy opozycji oraz niektórzy dziennikarze rozpoczęli narrację o „mordzie politycznym”. Niektórzy zestawiali wręcz Stefana W., zabójcę z Gdańska, z Ryszardem Cybą, który w 2010 roku zamordował w Łodzi działacza PiS Marka Rosiaka. Doszukiwanie się podobieństw między tymi dwoma zbrodniami wydaje się jednak całkowicie bezpodstawne.

► Motywacja Stefana W.

„Halo! Halo! Nazywam się Stefan W(...). Siedziałem niewinny w więzieniu. Siedziałem niewinny w więzieniu. Platforma Obywatelska mnie torturowała. Dlatego właśnie zginął Adamowicz” – wykrzyczał ze sceny Stefan W. zaraz po trzykrotnym ugodzeniu nożem prezydenta Gdańska. Morderca, któremu część opozycji – na podstawie tych właśnie słów – przypisuje motywację polityczną, o polityce musiał mieć pojęcie więcej niż blade. Jego ofiara bowiem od marca 2015 roku nie miała z PO nic wspólnego, a przez ostatnie kilkanaście miesięcy była wręcz przez tę partię politycznie zwalczana. Połączenie w głowie Stefana W. postaci Adamowicza z PO, a Platformy z urojonymi krzywdami doznanymi w więzieniu, musiało więc odbyć się na zasadzie niezwykle luźnej asocjacji będącej efektem katastrofalnego stanu psychicznego. Co ciekawe, wersję tę potwierdza treść artykułu w „Gazecie Wyborczej”, opisującego zeznania matki Stefana W.: „Niepokoje matki 27-latkę związane były z jego stanem psychicznym – miał duże poczucie krzywdy, o swoją sytuację obwiniał polityków. Mówił, że chce zrobić coś spektakularnego, »by wszyscy dowiedzieli się o jego krzywdzie«”.

Tymczasem zwolennicy hipotezy „mordu politycznego” próbują – bez żadnych podstaw – sugerować, że Adamowicz zginął, gdyż W. na bieżąco czytał w więzieniu prawnicową prasę, oglądał „siejącą nienawiść” TVP i słuchał wystąpień Jarosława Kaczyńskiego.

► Motywacja Ryszarda Cyby

Ryszard Cyba nie chciał zrobić „czegoś spektakularnego”, by zemścić się za doznane krzywdy. Miał inny, jasno określony cel.

Gdy w łódzkim biurze PiS zastrzelił Marka Rosiaka, a następnie poraził paralizatorem Pawła Kowalskiego i próbował poderżnąć mu gardło, krzyczał, że nienawidzi PiS i chce zabić Jarosława Kaczyńskiego. Gdy już go zatrzymano, w obecności dziennikarzy twierdził, że żałuje, iż nie ma już broni, „bo powystrzelaliby wszystkich pisowców”. Miał też przy sobie „oświadczenie”, na którym znajdowały się nazwiska trzech czołowych polityków PiS.

Przed zamordowaniem Rosiaka Cyba przebywał i w warszawskiej centrali PiS, i przed Pałacem Prezydenckim. W obu tych miejscach próbował dostać się do lidera Prawa i Sprawiedliwości. Doniesienia prasowe o tym, że planował zamachy na polityków innych partii, na przykład Stefana Niesiołowskiego, nie potwierdziły się.

Sąd – wzięwszy pod uwagę te fakty – ocenił, że Cyba, dokonując zbrodni, kierował się motywami politycznymi. W uzasadnieniu wyroku sędzia podkreślił, że

morderca w 2010 roku przygotowywał zamach na życie Jarosława Kaczyńskiego, jednak odstąpił od niego z powodu zbyt licznej ochrony, a następnie postanowił dokonać zamachu na inne osoby związane z PiS. Zdaniem sądu Cybie było obojętne, kogo zastanie w biurze PiS – chciał po prostu zabić kogoś związanego z tym ugrupowaniem.

► Zabójca Pawła Adamowicza

Samego Stefana W. absolutnie nie da się – na podstawie tego, co o nim do tej pory wiemy – określić ani jako sympatyka PiS, ani jako „prawicowca” czy „nacionalistę”. Nic nie wskazuje na to, by był też negatywnie nastawiony do Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy czy Jerzego Owsiaka; nie mamy również żadnych dowodów na to, by wiedział o opisywanych przez media kontrowersjach wokół Pawła Adamowicza, choćby o jego kompromitujących oświadczeniach majątkowych.

Życiorys Stefana W. to klasyczny obraz życia ograniczonego umysłowo, agresywnego kryminalisty, który już jako nastolatek parął się przestępstwami i miał problemy zarówno z narkotykami, jak i psychiką. Te ostatnie kłopoty pogłębiły się w więzieniu, gdzie zdiagnozowano u niego schizofrenię paranoidalną. Został wówczas poddany leczeniu farmakologicznemu i terapii.

Pieniądze skradzione z banków W. przeznaczył w 2013 roku na „taksówki, jedzenie i kasyno” oraz wyjazd na Wyspy Kanaryjskie. Z kolei środki z więziennego depozytu w grudniu 2018 roku wydał w Warszawie na hazard. Nigdy nie brał udziału w życiu publicznym, nie demonstrował swoich poglądów politycznych, nie należał do żadnych stowarzyszeń.

► Zabójca Marka Rosiaka

Życiorys (i profil psychologiczny) Ryszarda Cyby różni się diametralnie. W PRL trudnił się on handlem walutą i był współpracownikiem Milicji Obywatelskiej, potem mieszkał w Kanadzie, a po powrocie do Polski pracował jako taksówkarz. Od kwietnia 2004 do stycznia 2006 roku był członkiem częstochowskiej Platformy Obywatelskiej.

Łódzcy śledczy stwierdzili, że przemoc Cyby była związana z przynależnością partyjną obu zaatakowanych przez niego w biurze PiS mężczyzn. Sąd także, jak już wspomnieliśmy, przychylił się do tej tezy. Na podstawie opinii biegłych dodał też, że zabójca Marka Rosiaka inne osoby traktuje przedmiotowo oraz – co istotne – że nie akceptuje odmiennych poglądów.

Kilkutygodniowa obserwacja psychiatryczna nie dała podstaw do przypisania Ryszardowi Cybie żadnych schorzeń psychicznych. Według prokuratury w chwili zbrodni był on poczytalny. ■



Ryszard Czarnecki

USA i Skandynawia: niepolityczne zamachy na polityków

W Polsce toczy się bardzo upolityczniona dyskusja o tym, jak bardzo polityczny był zamach na prezydenta Gdańska śp. Pawła Adamowicza. Intencje głównych uczestników tej debaty – zarówno polityków opozycji, jak i mediów („GW”, TVN, portal naTemat, ale też „Puls Biznesu”) są jasne: winą za „polityczny” zamach obarczyć rządzącą w Polsce formację.

Nie będę w tych rozważaniach skupiał się na przypominaniu faktów, że zarzuty prokuratorskie prezydent Gdańska otrzymał za rządów PO i PSL, że w tamtym czasie Platforma Obywatelska zawiesiła jego członkostwo w partii, a w ostatniej kampanii wyborczej był brutalnie atakowany przez polityków opozycyjnych (lider Nowoczesnej Katarzyna Lubnauer pisała o nim jako o „polityku całkowicie skompromitowanym”, a konkurent na stanowisko prezydenta Gdańska, kandydat PO Jarosław Wałęsa, publicznie mówił, że śp. prezydent Paweł Adamowicz będzie siedział...). Wolę pokazać, że i na świecie dochodziło do zamachów na polityków, które wcale nie były „polityczne”. Często ich sprawcami byli ludzie psychicznie nie zrównoważeni albo przynajmniej niestabilni. Ich motywem nierzadko była chęć „zabłyśnięcia”, sławy medialnej, skupienia na sobie uwagi.

Klasykiem przykładem był zamach na prezydenta USA Ronalda Reagana. Miał on miejsce 38 lat temu, a zamachowcem był John Hinckley Jr. Jego motywem była chęć... zaimponowania słynnej aktorce Jodie Foster, w której kochał się od momentu, gdy pierwszy raz zobaczył ją w „Taksówkarzu”. Choć Foster raczej sprzyjała Demokratom, Republikanie nie oskarżyli o zamach swoich politycznych oponentów i nie zbili kapitału politycznego na tym dramacie.

Skądinąd Reagan przeżył cudem, bo kula o parę centymetrów ominęła jego serce. W zamachu tym ciężko ranny został rzecznik Białego Domu James Brady – Hinckley Jr. strzelił mu w głowę, w wyniku czego Brady został inwalidą. Zresztą po przeszło 30 latach zmarł właśnie w wyniku odniesionych wtedy obrażeń. Ranni zostali też oficer ochrony i policjant Thomas Delahanty i Timothy McCarthy. Gdy z miejsca strzelaniny, spod hotelu Hilton w Waszyngtonie, odtransportowano Reagana do szpitala noszącego imię pierwszego prezydenta USA George’a a Washingtona, czterdziesty lokator Białego Domu w dziejach Stanów

Zjednoczonych pokazał, że ma poczucie humoru nawet w tragicznych sytuacjach, mówiąc: „I hope you’re all Republicans” („Mam nadzieję, że wszyscy jesteście Republikanami”). Zdążył jeszcze usłyszeć odpowiedź, która przeszła do historii USA: „Myślę, Panie Prezydencie, że w tej chwili wszyscy jesteśmy Republikanami”...

Niedoszły zabójca Ronalda Reagana wyszedł z więzienia trzy lata temu, po 35 latach spędzonych za kratami. Miał wtedy 61 lat. Zamieszkał ze swoją 90-letnią matką w stanie Wirginia. Sąd zakazał mu udzielania wywiadów, a także czynnego korzystania z portali społecznościowych, jak Facebook czy Twitter.

Ponad 15 lat temu w Sztokholmie w wyniku zamachu zginęła szefowa MSZ Szwecji, Anna Lindh. Podczas robienia zakupów w centrum handlowym NK ciężko poranił ją nożem syn serbskich imigrantów Mijailo Mijailović. Dzień po zamachu socjalistyczna polityk zmarła w szpitalu. Szwedzkiej opinii publicznej nie przyszło jednak do głowy, aby oskarżyć o tę zbrodnię centroprawicową opozycję skupioną wokół partii Moderata i chadeków. Nikt nie wydał takiego werdyktu, bo byłoby to i nieetyczne, i niedorzeczne. Po dwóch tygodniach złapano serbskiego Szweda (urodził się już w nowej ojczyźnie), który przyznał się do winy.

Zamach w USA z 1981 roku i ten ze Skandynawii z 2003 roku były niewątpliwie atakami na bardzo znanych i wyrazistych polityków. Jednak nie były to napaści z pobudek stricte politycznych. Mam wrażenie, że tragedia w Gdańsku A.D. 2019 przypomina zdecydowanie bardziej kule w Waszyngtonie i nóż w Sztokholmie niż niewątpliwie polityczne morderstwa na pierwszym prezydencie RP Gabrielu Narutowiczu (sprawcą był skrajnie prawicowy fanatyk, malarz Eligiusz Niewiadomski) w 1922 roku i na łódzkim działaczu Prawa i Sprawiedliwości, Marku Rosiauku (sprawcą był ekszłonek PO, tak-sówkarz Ryszard Cyba) w 2010 roku.

Warto rozmawiać o faktach i powściągać emocje. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... *acedia*

S*uperbia, avaritia, luxuria, invidia, gula, ira, acedia, czyli septem peccata capitalia*, to „siedem grzechów głównych”, siedem głównych wad, które polskie tłumaczenie Katechizmu Kościoła Katolickiego wylicza następująco: pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, łakomstwo (funkcjonujące też jako nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu), gniew i lenistwo (lub znużenie duchowe). Pierwsze litery łacińskich nazw tworzą akrostych *saligia*, wszystkie grzechy połączone w jeden, który stał się z czasem określeniem i kwintesencją zła, a nawet samego diabła, mającego pychę (*superbia*) na miejscu rogów, a zamiast ogona – lenistwo, czyli właśnie *acedię*.

Lenistwo często nie jest uważane za grzech, nie jest też stawiane na równi z innymi spośród pozostałych głównych. Nazywane jest nawet „słodkim”, bywając utożsamiane z odpoczynkiem. Jeśli jednak popatrzymy, co kryje się pod pojęciem *acedii*, uznamy, iż „lenistwo” nie jest najwłaściwszym i najszcześniejszym tłumaczeniem tego terminu, w pewnym sensie trywializuje bowiem sens, który z sobą słowo to niesie. W *acedii* zaś chodzi o coś znacznie głębszego, o coś, co stanowi zagrożenie dla człowieka jako takiego. Etymologicznie *acedia* to zlatynizowana forma greckiego terminu „akedia” („akedeia”), oznaczającego „obojętność, niedbałość”. To zaprzeczenie, brak troski, dbałości o to, co na nią w najwyższym stopniu zasługuje – o własny byt i istnienie. To obojętność na własny los. W teologii *acedia* oznacza wypalenie religijne. Ojcowie Pustyni postrzegali zaś w niej działanie demona południa, który powoduje w tej porze dnia ospałość i lenistwo.

Evagriusz z Pontu, który usystematyzował doświadczenie duchowe Ojców Pustyni, definiuje *acedię* jako „niechęć bądź udrękę serca”, „osłabienie duszy”, „wspólniczkę smutku”, wreszcie nazywa ją – co zrazu może być niezrozumiałe i szokujące – „umilowaniem sposobu życia demonów”. Dlaczego? Człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo Boga, realizuje swe człowieczeństwo przez miłość i w miłości. Drogi demona, w przeciwieństwie do tych Bożych, są budowane na nienawiści i zawiści. Demon, kłamca i ojciec kłamstwa, mami człowieka obietnicą szczęścia. Symulując troskę, prowadzi do zafascynowania swoim sposobem życia. *Acedia* staje się w ten sposób swoistą perwersją duchową, w której za nor-

malne i zwyczajne uważa się coś, co powinno budzić wstręt, nie odczuwając przy tym demoniczności swego stanu. Człowiek jest istotą bardzo kruchą, na drodze do Boga wielokrotnie wpada w pułapkę zwątpienia, ogarnia go melancholia. Musi mieć jednak odwagę zmierzyć się z tym, kim jest, nie poprzestając na łatwych rozwiązaniach. Nie jest przy tym sam, choć tak często o tym zapomina. Stąd też Katechizm Kościoła Katolickiego w ten sposób precyzuje: „Znużenie lub lenistwo duchowe posuwa się do odrzucenia radości pochodzącej od Boga i do odrzy w obec dobra Bożego” (KKK 2094).

LENISTWO TO ZANIEDBANIE POLEGAJĄCE
NA BRAKU CZYNINIENIA DOBRA, ZARÓWNO
WZGLĘDEM SIEBIE, JAK I INNYCH.
TO ODWRÓCENIE SIĘ OD MIŁOŚCI, BĘDĄCEJ
FUNDAMENTEM ŻYCIA CZŁOWIEKA.

„Encyklopedia Katolicka” definiuje grzech główny jako „przekroczenie moralne, będące źródłem innych wykroczeń”, Katechizm Kościoła Katolickiego odnosi go do czynów, które są przyczyną „innych grzechów i wad”. Nie inaczej jest z *acedią*. Jest ona grzechem głównym, nadrzędnym nie dlatego, że jest większa od innych wad, lecz dlatego, że jest początkiem innych. Lenistwo to zaniedbanie polegające na braku czynienia dobra, zarówno względem siebie, jak i innych. To odwrócenie się od miłości, będącej fundamentem życia człowieka. Poddawanie się lenistwu jest niebezpieczne z tego powodu, że skutkuje grzechem zaniechania, chronicznym unikaniem jakiegokolwiek wysiłku w każdym aspekcie ludzkiej egzystencji. Stąd tylko krok do rozżalenia, smutku, wygodnictwa, hedonizmu.

Lenistwo można nazwać chorobą współczesności. Żyjemy w czasach, w których pragniemy maksymalnie ułatwić sobie wiele spraw. Nie ma w tym nic złego, o ile nie będziemy chcieli ułatwić sobie wszystkiego. Bo to, co piękne i dobre, często wymaga wysiłku, wymaga trudu. ■

Małgorzata Matuszak



SŁOWA (Z) POGARDY I NIENAWIŚCI

Walka z hejtem i mową nienawiści musi być prowadzona równolegle z walką o powrót do wartości, szacunku dla obowiązujących norm i granic wolności, przede wszystkim zaś o godność drugiego człowieka i grup społecznych. Inaczej będzie przypominać niestety walkę z wiatrakami.





Często tak się zdarza, że tragiczne wydarzenia wywołują falę dyskusji na temat z wydarzeniem tym związanym. Tak jest i teraz, po morderstwie prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza w całej Polsce rozgorzała dyskusja na temat hejtu i mowy nienawiści. Słusznie, gdyż problem ataków słownych w przestrzeni publicznej – abstrahując od tego, czy w tym konkretnym przypadku to on był główną przyczyną tej tragedii – nasila się coraz bardziej, doprowadzając często do nieodwracalnych skutków. Musimy temu przeciwdziałać, nie możemy dawać przyzwolenia na obecność pogardy i nienawiści w życiu publicznym.

► Różne oblicza nienawiści

Słowa, wymawiane i pisane, są pierwszym etapem nienawistnych działań. Z ich pomocą tworzymy pojęcia, artykułujemy opinie, a wraz z nimi własne wyobrażenie świata, a w konsekwencji budujemy obraz rzeczywistości. Dalej idą także czyny.

Termin „hejt” pochodzi od angielskiego słowa „hate”, czyli nienawidzić. Stosuje się go zamiennie z określeniem „mowa nienawiści”, które również jest tłumaczeniem angielskiego terminu „hate speech”. Hejt i mowa nienawiści nie są jednak dokładnie tym samym. Hejt, choć jego zjawisko trudno jednoznacznie zdefiniować, to najogólniejszy wyraz niechęci do kogoś, wyrażony w obelżywej, często wulgarnej formie wypowiedzi, wyrażonej słowem lub obrazem wymierzonym w jego odbiorcę. Hejter nie ma na celu przekazania komuś konstruktywnej krytyki, a jedynie wyrażenie swych negatywnych uczuć związanych z kimś innym w sposób agresywny, przekraczający granice kultury wypowiedzi, obraźliwy i poniżający drugą osobę. Od hejtowania trzeba odróżnić też trollowanie polegające na zamierzonym wysyłaniu kontrowersyjnych, napastliwych i często nieprawdziwych przekazów, mających na celu obrażanie lub ośmieszanie innych użytkowników dyskusji.

Trudno również zdefiniować, czym jest zjawisko „mowy nienawiści”, gdyż jest ono silnie uzależnione od kontekstu. Według definicji sformułowanej przez Radę Europy, terminem tym opisuje się „wypowiedzi, które szerzą, propagują i usprawiedliwiają nienawiść rasową, ksenofobię, antysemityzm oraz inne formy nietolerancji, podważające bezpieczeństwo demokratyczne, spójność kulturową i pluralizm”. Definicję tę można jednak uznać za wysoce ideologiczną i nieprecyzyjną. Pozwalając na dużą swobodę interpretacyjną, nie uznaje za mowę nienawiści tej, której zaczynają doświadczać chrześcijanie, o czym pisał Witold Gadowski w „Gazecie Polskiej” (nr 04/2019).

fot. Fotolia

Granice między hejtem a mową nienawiści są nieostre, jedna forma przechodzić może w drugą. Obie zaś, nie tylko na skutek brutalizacji języka, lecz nawet jawnych nawoływań do czynnej agresji, doprowadzić mogą do trzeciej, skrajnej formy nienawiści – przestępstwa z niej wynikającego. Przejawy nienawiści wiążą się też często z wywoływaniem strachu w jej ofiarach, który powoduje u nich coraz większe poczucie osamotnienia i zagrożenia. Tak nieraz wielkiego, że niektórzy nie wytrzymują stanu, do którego doprowadziły ich ataki nienawiści, i targają się na własne życie.

► Skala zjawiska

Według raportu „Mowa nienawiści, mowa pogardy” ogłoszonego w 2017 roku, sporządzonego na podstawie ankiet przeprowadzonych przez Centrum Badań nad Uprzedzeniami we współpracy z Fundacją Batorego, kontakt Polaków z mową nienawiści w ostatnich latach

w jego przestrzeni, naraża się nie niego. Wolność jest wartością, której internauci zazwyczaj bronią, często jednak przekraczane są granice tego, co wytycza wolność słowa. Na hejt narażeni są przede wszystkim ludzie młodzi. Według badania NASK z grudnia 2016 roku, 32 proc. nastolatków było wyzywanych w Internecie, co piąty był poniżany i ośmieszany, a co dziesiąty szantażowany. Statystyki te wyglądają jeszcze gorzej, jeśli brane było pod uwagę to, co nastolatki mówiły o swoich znajomych: 58 proc. z nich powiedziało, że było świadkiem poniżania i ośmieszania swego znajomego w Sieci, 59 proc. zaś jego wyzywania.

Według Komitetu Psychologicznego Polskiej Akademii Nauk „Epidemia mowy nienawiści stanowi poważne zagrożenie dla wychowania kolejnych pokoleń, które dorastają w atmosferze przyzwolenia na przemoc werbalną”. Stajemy zatem przed ogromnym wyzwaniem o znaczeniu pokoleniowym. Zdaniem

NA HEJT NARAŻENI SĄ PRZED E WSZYSTKIM LUDZIE MŁODZI. WEDŁUG BADANIA NASK Z GRUDNIA 2016 ROKU, 32 PROC. NASTOLATKÓW BYŁO WYZYWANYCH W INTERNECIE, CO PIĄTY BYŁ PONIŻANY I OŚMIESZANY, A CO DZIESIĄTY SZANTAŻOWANY..

poprzedzających badanie dramatycznie wzrósł. Spadła przy tym wrażliwość młodych ludzi na to zjawisko. Wyniki pokazują również to, że młodzież i dorośli spotykają się z mową nienawiści w odmiennych sytuacjach: osoby dorosłe natykają się na nią w telewizji (77,9 proc.), w trakcie rozmów ze znajomymi (64,7 proc.) i w miejscach publicznych (57,4 proc.); w przypadku młodzieży zaś prawie 100 procent (95,6) spotyka się z nią w Internecie, 75 proc. w trakcie rozmów i około 68 proc. w miejscach publicznych. Mowa nienawiści dotyczyła w ich odczuciu przede wszystkim uchodźców i gejów, najrzadziej zaś Ukraińców. Deklarowali też częsty kontakt z wypowiedziami antyislamskimi, a także skierowanymi przeciwko feministkom i osobom transseksualnym. Raport wskazuje również, że młodzi ludzie stykający się z mową nienawiści gotowi są również do naruszania innych zasad funkcjonowania społecznego. Deklarują też większą gotowość do stosowania przemocy w życiu codziennym, a także większe poparcie dla represji wobec uchodźców.

Statystyki w odniesieniu do hejtu mogą zatrzwać. Ma on różne odmiany, uzależnione od motywów i sposobów działania osób hejtujących. Stał się zjawiskiem tak powszechnym, w szczególności w Internecie, że każdy, kto decyduje się na udział

pedagogów i psychologów młodzi ludzie, niepotrafiący odnaleźć się w rzeczywistości, wyladowują swą agresję w Sieci, wchodzą w cyberprzemoc. U dzieci i młodzieży diagnozuje się coraz częściej depresję i zaburzenia lękowe, objawiające się negatywnym myśleniem o świecie, co z kolei potwierdza hipotezę, że rozwój technologiczny nie idzie w parze z dojrzałością emocjonalną młodych ludzi. Wzrasta również liczba młodych ludzi z osobowością narcystyczną.

► Skąd bierze się hejt?

Wyjaśnienia psychospołeczne i filozoficzne nie dają jednoznacznej odpowiedzi, czy ludzie zachowują się w Internecie bardziej agresywnie niż w rzeczywistości. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że jego przestrzeń odsłania najbardziej ciemną stronę ludzkiej natury. Dlaczego niektórym hejtowanie w Internecie przychodzi z taką łatwością? Sprawia im to przyjemność? Z pewnością tak, skoro oddają się tej czynności z taką lubością. Bo czują się anonimowi i bezkarni? Chociaż psycholog Steven Pinker dowodzi, że im bardziej nowoczesne czasy, tym mniej jesteśmy skłonni do agresji, to Internet pokazuje, że chyba jest jednak inaczej. Tutaj

można być agresywnym i nienawistnym, zachowując przy tym anonimowość i czując się bezkarnym. Trudno byłoby bezpośrednio wyszydzić czy obrazić na przykład jakąś znaną osobę, powiedzieć prosto w twarz to, co tak łatwo napisać w komentarzu pod artykułem na jej temat. Hejtują, bo inni hejtują? Bo tak łatwo się do hejtu dołączyć, wyzwolić w sobie coś, co dotąd było ukryte? Hejtują, bo zazdroszczą? Bo najłatwiej na kogoś przelać swoją frustrację, niezadowolenie ze swojej sytuacji życiowej, swe przykre doświadczenia? Z tych właśnie powodów hejtowani są celebryci, osoby publiczne, ale też znajomi – bo osiągnęli życiowy sukces, mają udane życie prywatne, dobrą pracę, lepiej zarabiają, stać ich na to, co dla innych na zawsze pozostanie jedynie w sferze marzeń. To kłuje w oczy tych, którzy swoje życie uważają za niespełnione, którzy mają niską samoocenę. Porównywanie się z innymi wzmacnia to poczucie, w szczególności u osób

się odbiorców pogardliwych i nienawistnych słów staje się coraz większy.

Pytamy często – skąd bierze się zło? „Zło nie bierze się z braku/ani z nicości//zło bierze się z człowieka/i tylko z człowieka” – pisał Tadeusz Różewicz. Ze złem mamy do czynienia powszechnie, na co dzień, pojawia się obok nas. I niestety w nas. W człowieku tkwi tęsknota do bycia lepszym, przejawia się jednak ona nierzadko w niewłaściwy sposób – jako tendencja braku szacunku do tego, kogo uznamy za gorszego. Czując się od kogoś lepszym, poniżamy go. Od braku szacunku już tylko krok do pogardy, a od niej – do nienawiści. Nienawiść prowadzi do braku tolerancji dla odmienności drugiego człowieka, ta zaś do przemocy względem niego. Spirala zła się nakręca.

Walka z hejtem i mową nienawiści bez walki o powrót do wartości, o szacunek dla obowiązujących norm i granic wolności, przede wszystkim zaś

MŁODZI LUDZIE STYKAJĄCY SIĘ Z MOWĄ NIENAWIŚCI GOTOWI SĄ DO NARUSZANIA INNYCH ZASAD FUNKCJONOWANIA SPOŁECZNEGO. DEKLARUJĄ TEŻ WIĘKSZĄ GOTOWOŚĆ DO STOSOWANIA PRZEMOCY W ŻYCIU CODZIENNYM, A TAKŻE WIĘKSZE POPARCIE DLA REPRESJI WOBEC UCHODźCÓW.

z zaburzeniami społecznymi. Taki hejter wie, że swymi komentarzami niczego nie zmienia, ale choć przez chwilę poczuje się lepiej.

Wydaje się niestety, że społeczeństwo daje coraz większe przyzwolenie na hejt, zaczęło postrzegać go jako kolejny element współczesności. Badacze zjawiska łączą to z desensytyzacją, rozpoznaną w latach 80. XX wieku, polegającą na zobojętnieniu na przemoc wskutek oglądania jej w filmach czy w grach komputerowych. Naukowcy stwierdzili: im częstszy kontakt z hejtem, tym większe z nim oswojenie, a w konsekwencji niepostrzeganie go jako problemu.

► Jak można przeciwdziałać?

Stwierdzić można, że zachowania społeczne, które nazywane są dziś mową nienawiści czy hejtem, towarzyszyły ludzkości od wieków. Do wyrażenia pogardy czy nienawiści, które jeden człowiek żywi wobec drugiego, niepotrzebne są przecież współczesne technologie – telewizory, komputery, smartfony. Nie ulega jednak wątpliwości, że wraz z pojawieniem się nowych sposobów komunikowania się i coraz łatwiejszego do nich dostępu, za-

o godność drugiego człowieka i grup społecznych, będzie przypominać niestety walkę z wiatrakami. Na nic zdadzą się różne kampanie społeczne nawołujące do powiedzenia „nie” wszelkim przejawom pogardy i nienawiści, jeśli równocześnie nie będzie mówić się o tym, co ważne dla człowieka jako człowieka, jeśli nie uda się powstrzymać wszechogarniającej erozji podstawowych wartości. Jeśli człowiek nosi w sobie pogardę i nienawiść, ona zawsze się ujawni.

Współczesny świat chciałby funkcjonować wartościowo, trudno jednak nie odnieść wrażenia, że robi równocześnie wszystko, by wartości, które w najwyższym stopniu na to miano zasługują, chciałby wykorzenić. Nie tędy droga. Przykre i niebezpieczne jest bowiem to, że za narzędzie walki z hejtem, rzekomo lub prawdziwym, obiera się wcale nie tak rzadko również hejt. Niczego w ten sposób nie zmienimy. Musimy też pamiętać o tym, by nazywać hejtem i mową nienawiści to, co istotnie nimi jest. O tym, że słuszna krytyka nie jest przejawem nienawiści, lecz najsłuszniej rozumianej wolności słowa. Tej dajemy przyzwolenie, mówie nienawiści zdecydowanie musimy się przeciwstawiać. ■



Jakub Augustyn Maciejewski



JAK WYSOKA KULTURA RZECZYPOSPOLITEJ EDUKOWAŁA CIEMNĄ MOSKWĘ

**Choć mīt Polski od morza
do morza funkcjonuje
w polskiej kulturze
i polityce, to faktycznie
ten stan, gdy granice
Królestwa Polskiego
sięgały od Gdańska
nad Bałtykiem po
czarnomorskie wybrzeże
(licząc Mołdawię jako
lenno), trwał jedynie...
18 lat. Zupełnie
zapomniany jest fakt, że
kultura Rzeczypospolitej
sięgała znacznie dalej
i znacznie dłużej – od
Adriatyku po Morze
Czarne i... Białe!**

Najłatwiej jest spojrzeć na mapę i po rozmiarach terytorium oceniać siłę państwa. W roku, w którym Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę, trzech braci z dynastii Jagiellonów stworzyło blok państw, który dziś geopolitycy nazwaliby blokiem: ABC (Adriatyk, Bałtyk, Czarne Morze) lub właśnie... Trójmorzem. Porywczy Jan Olbracht objął właśnie schedę w Krakowie, jego apatyczny brat Aleksander z Wilna panował nad liczącym milion kilometrów kwadratowych Wielkim Księstwem Litewskim, zaś najstarszy z tej trójki – spokojny i ugodowy Władysław – łączył korony czeską i węgierską. Jednak nie obszar, przeważnie przecież złożony z bezkresnych pustkowi, stepów i puszczy albo też niedostępnych gór Karpackich, stanowił o sile wspólnoty Europy Środkowowschodniej, lecz potencjał kulturowy. Każdy z czterech krajów opierał swoje rządy na współpracy władcy z narodem politycznym, to jest szlachtą, i na rozbudowywanym pojęciu władzy osobistej. Choć granice kurczyły się, dynastia wygasła, a wokół konsolidowały się despotyczne imperia (Rosja i Turcja) lub absolutystyczne biurokracje (Prusy, Austria), sarmacka społeczność nadal imponowała sąsiadom i oddziaływała, jeśli nawet nie na monarchów, to na ich otoczenie: dwór, szlachtę, a nawet mieszczan. Aż dziw, że dzisiejsza polska polityka historyczna milczy wobec dowodów na dominację kultury Rzeczypospolitej w tej części Europy. Rumuński historyk Ion Corfus już 40 lat temu cytował XVI-wieczną korespondencję między władcami rumuńskimi a dworem sułtana tureckiego, która była prowadzona w języku polskim, szlachta węgierska pod jarzmem Osmanów i Habsburgów składała dworowi polskiemu propozycje objęcia tronu, a w rosyjskich pałacach od Morza Białego przez wzniesioną z drewna Moskwę po klasztory nad Morzem Kaspijskim rozchwytywano literaturę polską od traktatów politycznych (te bardziej ukradkiem) po romanse i anegdoty. Gdy najazdy tatarskie dochodziły do Lwowa, Szwedzi wkraczali do Krakowa, a car Aleksy odwiedzał zdobyte właśnie Wilno, wyższość cywilizacyjna Rzeczypospolitej była jasna dla mieszkańców Europy między Łabą a Uralem. Ta intelektualna i kulturalna przewaga oddziaływała nawet pod zaborami, a jej szczątki są dostrzegalne także dzisiaj.

► Ta nieznoszona duma narodowa

Wiele wysiłku wkładają lewicowi historycy, aby udowodnić, jakim odmieńcem Europy jest Polska. Dziś każą nam gonić za Zachodem we wszystkich najgorszych wzorach, zaś w przeszłości widzą nie próbę pójścia indywidualną drogą rozwoju politycznego, lecz jedynie „anarchię”, „warcholstwo” czy „fantomo-

for arch.

wość” państwa. Jednak żadne żonglowanie statystykami pokazującymi zacofanie gospodarce albo wskazywanie, jak ograniczano prawa protestantom, wymienianie przegranych bitew i zerwanych sejmów nie zatuszuje najważniejszego wskaźnika poziomu życia, jakim jest głosowanie nogami – a tymczasem to z różnych części Europy do Polski emigrowali intelektualiści, rzemieślnicy, mieszcianie i szlachta. To chłopci z Rosji, jeszcze po pierwszym rozbiórce, przekraczali granicę Rzeczypospolitej, by w tej niby wyzyskującej Polskę znaleźć trochę wytchnienia, to u ujścia Wisły osiedlała się ludność Olęderska (Holendrzy), na Podlasiu Tatarzy, wokół Lwowa Ormianie, a w całym kraju Żydzi. Co rusz na służbie polskich monarchów pojawiały się obcobrzmiące nazwiska, których właściciele uczyli się polskiego, osiadali w naszym kraju i wiernie służyli nowej ojczyźnie.

Urodzony w 1551 roku na terenie Zakonu Inflantkiego Jerzy Fahrensbach był najemnikiem na służbie wszystkich krajów Morza Bałtyckiego, zaciągał się także do armii francuskiej i holenderskiej. Szedł tam, gdzie płacili więcej, zatem wojował dla Królestwa Danii, dla Szwecji, był w służbie u cara Iwana Groźnego. Jednak zetknięcie się z polskimi wojskami pod Gdańskiem w 1577 roku było przełomem w jego życiu. Polskie miasto portowe było wówczas europejskiej klasy metropolią, to, co widział Fahrensbach do tej pory, może poza Niderlandami, wydawało się prowincjonalne i ubogie. Zwłaszcza ta odmiennostwo Rzeczypospolitej, włącznie ze specyfiką i legendą polskiej jazdy, zrobiła na Fahrensbachu wrażenie – dwa lata później był już na polskiej służbie, a dwadzieścia lat później był już polskim senatorem, zaufanym króla Zygmunta III Wazy, powiernikiem jego najtrudniejszych misji. Synowie Fahrensbacha byli już prawdziwą polską szlachtą.

To przyciąganie do polskości widać w całym korowodzie postaci, które raz przybywszy do Rzeczypospolitej, osiadali w niej na stałe – Reinhold Heidenstein był Niemcem, który został sekretarzem króla Stefana Batorego; Andriej Kurbski był bliskim doradcą cara Iwana Groźnego, który porzucił Moskwę, by służyć Zygmuntowi Augustowi; a rdzennie mołdawski ród Mohyłów zbiegł w początkach XVII wieku do Polski przed represjami we własnym kraju i dołączył do grona intelektualnych elit Rzeczypospolitej. Nawet u schyłku państwa polsko-litewskiego Niemcy, Włosi czy Węgrzy traktowali nasz kraj jako azyl, nową ojczyznę, w której można odnaleźć swoje miejsce. Przywódca powstania antyhabsburskiego Franciszek Rakocy w początkach XVIII wieku wydawał odezwy z włości wojewodziny Elżbiety Heleny Sieniawskiej, która dała mu schronienie, środki finansowe i prawdopodobnie własne wdzięki. Malarz Stanisława Au-

gusta Poniatowskiego Marcello Bacciarelli przybył na dwór w Warszawie jako opłacany sowitą pensją artysta, a został na tych ziemiach do końca swoich dni, nawet gdy jego pracodawca zmarł, a kraj został rozbrany przez sąsiadów. Przybysze wzbogacali naszą kulturę, wydając na świat takich synów, jak Samuel Linde (autor pierwszego pełnego „Słownika Języka Polskiego”) czy Jan Matejko (Czech z pochodzenia). Skoro w czasach niedoli polskość była wciąż atrakcyjna, to przecież musiała w dobie swojej świetności oddziaływać na sąsiadów. I oddziaływała.

► Uczelnia spolszczonego Mołdawianina podbija Rosję

Przeciętny Rosjanin zna trzech najważniejszych carów ze swojej historii: Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego i Katarzynę Wielką, a pomiędzy Iwanem a Piotrem potrafi wskazać wielki imperialny mit, jakim była Wielka Smuta – okres politycznego zamętu i dominacji Polaków w Moskwie. Tymczasem lata 1619–1689 były okresem głębokich i długotrwałych przemian państwa Romanowów, bezprecedensowej transformacji elit z gnuśnych zacofanych popów i kniaziów w świadomą, zeuropeizowaną warstwę intelektualną. Nie byłoby reform Piotra Wielkiego, gdyby nie 70 lat styczności klasy rządzącej z Zachodem, a właściwie z wyższą, dojrzalszą polską kulturą.

Institucją, która odmieniła oblicze wschodniej despotyki, była Akademia Mohylańska, którą w 1632 roku ustanowił w polskim wówczas Kijowie spolszczony Mołdawianin Piotr Mohyla. Ten prawosławny hierarcha, a ostatecznie metropolita kijowski, zdobył wykształcenie typowe dla zamożnej szlachty Rzeczypospolitej. Choć był bojarem (szlachcicem) hospodarsztwa mołdawskiego, młodość spędził pod opieką hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego, strażnika interesów Rzeczypospolitej na pograniczu polsko-tureckim. Ukończył szkołę we Lwowie i został przez swojego mecenasa wysłany na Zachód na tzw. peregrynację, czyli klasyczne dla ówczesnej magnaterii przedłużenie nauk krajowych na uniwersytetach i dworach Europy. Gdy wrócił do Rzeczypospolitej, był już światowcem głęboko świadomym roli spoiwa i pomostu między Wschodem a Zachodem swojej przybranej ojczyzny. Jako prawosławny metropolita kijowski dbał o swoich wiernych w inny sposób niż zwyczajni wschodniochrześcijańscy duchowni. Dbął nie tylko o daniny z podległych sobie parafii, lecz także rozwinął na nieznaną dotąd skalę życie intelektualne. Zakładał drukarnie, nakazywał popom kończenie szkół i seminariów, wzywał do porozumienia z katolikami, wierności królowi Rzeczypospolitej, uspokajał Kozaków, wydawał pi-

sma i księgi teologiczne. Największym jego dziełem było jednak Kolegium w Kijowie, zwane później Akademią Kijowsko-Mohylańską. Był to pierwszy w świecie prawosławnym uniwersytet, który w Rosji nie mógłby powstać. Wschodnie imperium nieufnie patrzyło na takie nowinki z Europy, jak placówki edukacyjne i naukowe, a już wkrótce państwo carów miało być rozdarte niemal wojną domową o reformę religijną, w której mordowano się w imię tego, czy należy przeznaczyć się dwoma czy trzema palcami. Światy prawosławia Rzeczypospolitej i prawosławia Moskwy były więc podzielone mentalną przepaścią. Wschód odgradzony był od Zachodu murem wykształcenia, pracy instytucjonalnej i stosunku do wolności człowieka. Rok 1654 zapoczątkował w tej kwestii rewolucję – mur mentalny miał zniszczyć żołnierz moskiewski wkraczający na tereny Rzeczypospolitej w mało znanej dziś wojnie, którą w Rosji nazywa się „trzynastoletnią”.

► Transfer elit

Napad cara Aleksego Michajłowicza na państwo Jana Kazimierza zbiegł się w czasie z potężnym powstaniem kozackim Bohdana Chmielnickiego, „potopem” szwedzkim i najazdem księcia siedmiogrodzkiego Jerzego Rakoczego. Nic więc dziwnego, że odparcie Moskali nie było priorytetem dla władz Rzeczypospolitej i w ten sposób barbarzyńcy ze Wschodu mieli czas i możliwości na grabież nie tylko dóbr materialnych, lecz także pierwsze w naszej historii przesiedlenia w głąb Rosji. Z zajętych terenów rosyjscy kniaziowie wywozili uposażenie magnackich pałaców, skarby kościołów i klasztorów, porywali też rzemieślników oraz duchownych i osiedlali ich w swoim kraju.

Jeszcze ćwierć wieku później, podczas poselstwa księcia Michała Jerzego Czarotoryskiego do Moskwy w 1678 roku, do dyplomatów udali się polscy jeńcy z tamtej wojny i błagali o zabranie ich z powrotem do ojczyzny. Warto przy tym przypomnieć – obcokrajowcy do Rzeczypospolitej przybyli dobrowolnie i się polonizowali, gdy tymczasem Polacy do Rosji byli sprowadzani siłą i nawet po 25 latach marzyli tylko o zamieszkaniu we własnym kraju. Wówczas car Fiodor nie zezwolił na uwolnienie porwanych, choć jednemu z nich udało się w przebraniu zbiec i dołączyć do delegacji Czarotoryskiego w drodze do Warszawy.

Tymczasem wielu rzemieślników z terenów Rzeczypospolitej było rozmieśczone w różnych stronach imperium carów i służyło tam swoimi umiejętnościami, nieznanymi w odizolowanym prawosławnym państwie. Z zajętego przez Moskowitów Smoleńska porwano szlachcica Stanisława Łopuc-

kiego, który ukończył lwowską szkołę malarstwa i postanowił na zesłaniu wykorzystać swój fach. Choć z początku nie chciano uznać jego „mistrzostwa”, a więc statusu malarza, zdumiał tamtejsze duchowieństwo swoimi zdolnościami. Gdy namalował patriarchę moskiewskiego Nikona, tamtejsze elity mogły zobaczyć sztukę malarską, której żaden Moskwicin nie umiałby powtórzyć. Łopuckiego szybko zatrudniono do dekorowania wnętrz cerkwi i pałaców, przyszło mu malować starożytnego cesarza Konstantyna, który podczas bitwy na Moście Mulwiskim miał zobaczyć Krzyż na niebie, odtwarzał sceny batalistyczne i obrazował sylwetki dostojników. Rosyjski historyk A.I. Rogow zbadał dzieje polskich artystów w Państwie Moskiewskim i zauważył, że ich twórczość była naśladownictwem rodzimym wzorców, widzianych na obrazach z Warszawy i Krakowa: słynnego obrazu z 1514 roku „Bitwa pod Orszą” czy takich dzieł Tomasza Dolabelli, jak „Zygmunt III Waza pod Smoleńskiem”.

Sobory, cerkwie i dwory w całym rozległym kraju były upiękkszane rękami polskich artystów i rzemieślników. Wasilij Poznański (czyli dawny mieszkaniec Poznania), Cyprian Umbranowski, Anton Bajkowski, Grigorij Odolski (zapewne z Podola – Odolski, Podolski) pilnie studiowali wschodnią kulturę, by sprostać wymaganiom swoich nowych chlebobawców. Iwan Bezmin, moskiewski mistrz pisanie ikon, przekazywał im wiedzę o tworzeniu wizerunków duchownych, tak aby oprócz świeckich dzieł rzemieślnicy z Rzeczypospolitej mogli wzbogacić także duchową kulturę państwa carów. Czy polskie wzorce trafiły na daleką Syberię? Wiemy na pewno, że Odolski malował portret wojewody Nercyńskiego, a więc zwierzchnika miasta położonego przy ówczesnej granicy rosyjsko-chińskiej. Obraz jest ładząco podobny do polskiego stylu portretowania dostojników Rzeczypospolitej, widać na nim nie tylko postać kniazia, lecz także buławę na stole, w tle bitwę, w której brał udział bohater portretu, a całość wzbogacona jest różnymi symbolami ilustrującymi zasługi i cechy wojewody. W latach 80. XVII wieku ten sam malarz pracował dla carycy Natalii Kiriłowny, a później dla carycy Zofii.

Jeszcze większą rolę niż malarze i rzemieślnicy odegrali duchowni, którzy po zajęciu przez Rosję Kijowa stali się integralną częścią elit Moskwy. Prawosławny absolwent Akademii Innocenty Gizel został przełożonym prestiżowego klasztoru w Kijowie Ławry Pieczerskiej, a Łazarz Baranowicz założył w Nowogrodzie Siewierskim drukarnię, która w pozbawionym takich instytucji kraju carów natychmiast stała się ważnym ośrodkiem propagowania wiedzy i kultury. Duchowni z Kijowa zasilili intelektualnie klasz-

tory od Solówek po Ural, a wraz z dobytkiem liturgicznym wzięli także polskie księgi.

► Język polski na Wschodzie

Jeszcze większą karierę wśród elit prawosławia zrobił język polski. Wraz z grabieżą ksiąg i zatrudnieniem absolwentów Akademii Mohylańskiej dzieła literackie Rzeczypospolitej trafiały do klasztorów, dworskich, a także prywatnych bibliotek państwa carów. Wielkie wpływy intelektualne w Moskwie zyskał pisarz i duchowny Symeon Połocki (także absolwent Akademii Mohylańskiej), który w swojej twórczości nie tylko czerpał styl z dzieł polskich (doskonale znał język, był wielkim admiratorem poezji Jana Kochanowskiego), lecz wręcz opierał swoje prace historyczne na polskich kronikach. Dla niego język ruski był mową potoczną, zaś język polski stanowił narzędzie porozumiewania się elit, część wyższej kultury intelektualnej, którą w Rosji należało dopiero zaszczerpić. Połocki pozostawił swoim uczniom ten sam kierunek rozwoju kulturowego, a więc przez kolejne dekady Sylwester Miedwiediew, Karion Istomin, Andrzej Białobocki czy Teofan Prokopowicz tworzyli w polskim duchu. Ten ostatni był nawet nadwornym poetą Piotra Wielkiego.

Nawet na Kremlu pojawiały się wówczas nowe gatunki literackie, niemalże skopiowane z polskich drukarni – tak oto do rąk moskiewskich czytelników po raz pierwszy trafiały romanse, anegdoty i komedie, a także poezja świecka. Znany jest aktor w pierwszym rosyjskim teatrze (którego jedynym widzem był car), Juraj Kordowski, który odgrywał dobrze znane w Rzeczypospolitej romanse „Historia o Magielonie” opowiadające o miłosnych westchnieniach królowej neapolitańskiej. Podrzędne dziełko było na dworze cara postrzegane jako literatura europejska wysokich lotów. Przerabiano także inne czytała znad Wisły, które opowiadały o cesarzu Otonie czy Meluzynie.

Na Rynek Nikolski w Moskwie po raz pierwszy trafiła literatura sowiwdrzalska opowiadająca o doli i niedoli chłopów, a oprócz przekładów z polskiego (często w rękopisach, a nie w druku) trafiały też tytuły w języku polskim. Ci, którzy chcieli mieć dostęp do ekskluzywnej literatury i historii, musieli więc zapoznać się z naszym językiem. W ten sposób najbardziej wpływowe w Rosji rody Golicynów, Naryszkinów czy Ordin-Naszczołkinów, uznając język polski za mowę elit, same zaczęły się nim porozumiewać i czytać oryginalne dzieła, a wielu kniaziów, jak na przykład Miedwiediewowie, zaprowadziło polską modę na carski dwór. W ten oto sposób w czasie pokoju szlacheckie kontusze i żupany pojawiły się w murach Kremla. Niekiedy

przekładało się to na postawy polityczne kniaziów. Afanasij Ordin-Naszczołkin kierował w latach 70. XVII wieku polityką zagraniczną Kremla i stał się orędownikiem pokoju z Rzeczypospolitą. Za jego negocjacji z dyplomacją Sobieskiego stała się rzecz niesłyszana – po raz pierwszy (i chyba ostatni) w rosyjskiej historii Moskwa na stopie pokojowej zwróciła trzy, co prawda niewielkie, miasta innemu krajowi. I tak oto za panowania króla Jana III Siebież, Newel i Wieliz wróciły do Rzeczypospolitej. Jednak nawet ci dygnitarze, którzy politycznie nienawidzili państwa szlacheckiego, potrafili uznawać jego wyższość intelektualną – i tak Wasilij Tjapkin, ambasador cara w Warszawie, choć „nie mógł dojść do ładu z Polakami i postrzegał ich w jak najgorszym świetle” – pisał niemiecki uczonec Adam Olearius – to „w tym samym czasie zaczął pisać po polsku, wysłał syna do polskiej szkoły” i napisał list do Sobieskiego w czysto polskim stylu, przeplatając język narodowy z łaciną.

► Dwie dekady monopolu

Co prawda w ówczesnej Moskwie była cała dzielnica niemiecka, ale przybysze z Cesarstwa stanowili głównie rzemiosło techniczne, pomagali w odlewaniu dział, służyli w armii, byli też często budowniczymi, a w większości byli oni sprowadzani jako najemnicy, opłacani i utrzymywani przez dwór carski. Polacy trafiaли do Rosji pod przymusem, natomiast prawosławni z Kijowa pokornie przyjęli misję ewangelizacji nowej ojczyzny, wyróżniając się intelektualnie wśród swoich moskiewskich kolegów. Można więc śmiało rzec, że w latach 1670–1689 dominującą kulturą zagraniczną w prawosławnym imperium był sarmatyzm, który dodatkowo pociągał swoją wolnością, szacunkiem do ludzi i pewnością siebie. Podczas uczty wydanej na cześć polskiego poselstwa w Moskwie w 1678 roku czeski obserwator Bernard Tanner zaobserwował zdumienie Moskowitów, gdy goście zażyli sobie, by ich szlachecy towarzysze zjedli posiłek przy jednym stole i by w codziennych obyczajach nie byli drugorzędnie traktowani. Gdy kniaź-gospodarz zaprosił szlachciców do wspólnej wieszery, „Książę poseł [Czartoryski – przyp. red.] odpowiedział: proszę wybaczyć naszym dworzanom, ale polska szlachta nie jest przyzwyczajona jadać przy nienakrytym stole”. Na co książę nieco zmieszany odrzekł: „proszę mi wybaczyć moją niezbyt gruntozną znajomość polskich obyczajów”. Może więc nie jest do końca prawdą, że widelec trafił do Francji za pośrednictwem Rzeczypospolitej, ale poezja, literatura, a także uniwersytet i osławione obrusy na stół do Moskwy przysły z ośrodków kulturalnych Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego. ■



Ryszard Czarnecki

Zjazd rodzinny

Zjazd rodzinny. Najstarsi uczestnicy są dobrze po osiemdziesiątce. Rozmawiamy o dziejach naszych rodów, ale też o życiu. Kuzyn, który rzucił pracę w Raiffeisen Bank w Wiedniu, bo rodzina chciała mieszkać w Polsce, cytuje dialog z „Pętli” Hasa: „Czemu pijesz?” – „Żeby zapomnieć” – „A o czym zapomnieć?” – „O tym, że piję”... Wuj Maciej mówi, że niedaleko stąd, w Warszawie, chodził do szkoły podstawowej na Grottgera. A mieszkał wtedy na Flory. Potem rodzina Zbijewskich przeniosła się na ulicę Czerwonego Krzyża. Ale to było później – pierwsze lata po wojnie aż do 1948 roku spędzili w Łodzi. Wuj mówi, że z jego mieszkania miał widok na flagę na Belwederze. Rozmawiamy na tyłach ambasady rosyjskiej, dowcipkując, że na pewno nas stamtąd podsłuchują. Ojciec wspomina, że ówczesną ambasadę Związku Sowieckiego budowano z tego, co zostało po budowie Pałacu Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina.

Niedaleko miejsca naszej rozmowy jest ulica Nabelaka: seniorzy wspominają, że wychodziła ona na wilę, w której przez cały okres II Rzeczypospolitej mieszkał generał Władysław Sikorski, późniejszy premier i naczelny wódz.

Rozmowa schodzi na politykę, bo jeden z uczestników rodzinnego konwentykułu mieszka w Ożarowie, gdzie jakiś czas temu mieściła się fabryka kabli. Właściciel ją zlikwidował, robotnicy protestowali. Jeden z uczestników spotkania mówi, że premier Miller zachował się przyzwoicie, bo... nie kazał do nich strzelać, w przeciwieństwie do „premiera z PO”, za którego czasu strzelano do górników.

Dyskusja wraca na tory historii. Konkretnie – o herbach. Prus III – nim legitymują się Czarnecki. Słyszę wywód, że hetman Stefan Czarnecki – ten z hymnu – na dzwonię na wieży kościelnej w rodzinnej Czarny w Świętokrzyskiem pisany był tak jak jego rodzina w starych zapisach „Czarnecki”. Zmniejszenie przez dodanie „i” to „posag” wniesiony przez tych z rodu, którzy mieszkali na wschodzie rozległej Rzeczypospolitej. Ale hetman pieczętował się innym herbem – Łódzia.

Idziemy dalej przez dekady, wieki i terytoria. Słyszę legendę rodzinną, że córka hetmana Stefana wy-

szła za dwukrotnego króla Polski Stanisława Leszczyńskiego, który dokonał żywota w Nancy we Francji, a jego wnuczka, córka królewska, wyszła za mąż za francuskiego króla. Słucham i jako historyk mówię: hola! Dzwoni, owszem, ale nie w tym kościele. Bo Konstancja Joanna Czarnecka, owszem, poślubiła Leszczyńskiego, ale hetmana wielkiego koronnego – Wacława – i mieli syna Stefana, a nie córkę...

To była opowieść „po mieczu”. A teraz opowieść „po kądzieli”. Dziadek ze strony mamy, Ryszard Bieliński, przed II wojną światową właściciel drukarni i antykwiariatu na Nowym Świecie, zginął rok po wojnie, bo dom, w którym mieszkał, wcześniej zbombardowany przez Niemców, nagle się zawalił. Budynek znajdował się na ulicy Tamka 45, poniżej Okólnika i miejsca, gdzie teraz mieści się Akademia Muzyczna im. Chopina.

Historia cioci mamy, Jadwigi Skórzewskiej, przez lata pracowniczką PKO BP. Pamiętam jej mieszkanko na pięterku willi na warszawskiej Sadybie. Była już starszą panią, gdy do ojczyzny z pierwszą pielgrzymką przyjechał polski papież. Wrażenia były tak silne, że kilka godzin po transmisji jego pożegnania na krakowskich Balicach dostała udaru i po paru dniach zmarła.

I znów wszyscy cofamy się w czasie. Jerozolima, lata 20., zamożny brat dziadka, Eugeniusz Bieliński, jedzie zwiedzać Ziemię Świętą i Palestynę z żoną Zofią z domu Luedecke (po wojnie mieszkała na Angorskiej na Saskiej Kępie w stolicy). Wynajmują automobil. W tumanach kurzu wyprzedza ich inny samochód. Poirytowany tym Eugeniusz każe szoferowi wyprzedzić z kolei tamtego... Ale w wyścigowym pyle szofer nie zauważa zakrętu i lądują na piargu. Żona cała, szofer też, gorzej z Eugeniuszem – ma duże obrażenia wewnętrzne. Tydzień spędza w szpitalu i gdy wydaje się, że idzie ku dobremu, nagle umiera. Na warszawskich Powązkach, od czwartej bramy w prawo, kawałek za nagrobkiem bohaterskiego szewca-powstańca Stanisława Hiszpańskiego, na grobie Bielińskich (nazwisko mojej mamy) jest pomnik Ikara symbolizujący przedwczesną śmierć mojego stryjecznego dziadka.

Jest już noc, gdy kończymy rodzinne rozmowy. Oby udało się jeszcze raz spotkać się w tym samym gronie... ■



Piotr Lisiewicz

ŻWIRKO I WIGURA, czyli rycerska łobuzeria polska

„Niech żyje lotnictwo Polskie! Jakże pragnę, aby ten mój okrzyk usłyszała i zrozumiała cała Polska, jak długa i szeroka – od fal Bałtyku po Karpat szczyty!” – to były słowa pilota Franciszka Żwirko po wygranych zawodach w Berlinie. Nieprzeliczone tłumy wyległy na ulice Poznania, Warszawy i Wilna, by witać tych, którzy pokonali Niemców. Inżynier Stanisław Wigura – uczestnik wojny polsko-bolszewickiej – i porucznik Żwirko – żołnierz Dowbora-Muśnickiego – znaleźli się w 1932 roku na ustach całego świata. Gdy dwa tygodnie później zginęli w wypadku, 300 tysięcy ludzi na czele z Marszałkiem Piłsudskim odprowadziło ich na Powązki. A potem na ich legendzie wychowali się ci z Dywizjonu 303...

Pisarz Zygmunt Nowakowski tak relacjonował chwilę, gdy wieść o ich śmierci rozeszła się po Polsce lotem błyskawicy:

„– Kazeł, oprzyj się o mur, bo jak ci coś powiem, to cię szlag trafi na miejscu! – rzekł pewien szofer do kolegi.

- No, co takiego?
- Oprzyj się, mówię ci!
- Gadał przedziej!
- Żwirko i Wigura zabili się!
- Jezus Maria!”.

Ten płacz niósł się przez całą Polskę. Blogger Andrzej Budzyk przytoczył niedawno z pamięci dziecięcy wierszyk o tej tragedii, który przekazała mu babcia. Opowiadał on o 2-letnim wówczas synku Żwirki, Henryku:

*Tatusz pojechał, Synek spał jeszcze
i snił o pięknym koniku,
Co mu go Tatusz z Pragi przywiezie,
Poda wśród śmiechów i krzyków.*

*Przywita Synka, weźmie w ramiona,
Tak jak to było z Berlina.
Synek pobiegnie ku Tatusiowi,
Żadna go siła nie wstrzyma.*

*Polska dziś z Tobą płacze, Dziecino,
Współczują wszystkie Ci dzieci,
Niebo chmurami ciężkimi zasłane
I słonko smutno tak świeci.*

*Nie płacz, Henryczku, nie płacz, dziecino,
Łzy dziecka ciężą kamieniem.
Sława Ojcowska Tobie zostanie,
Z Polski związana imieniem.*

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska w tomiku „Śpiąca załoga” z 1933 roku umieściła wiersz „Epitafium lotnicze”, w którym tak zadumała się nad losem polskich lotników, nie tylko tych dwóch najbardziej znanych:

*Arystokraci śmierci, Żwirko i Wigura,
W pięknej chwale rozbłąli nad nimi jak gwiazdy,
Innych mgła przesłoniła – zaginęła w chmurach,
Zostały po nich tylko popioły i drzazgi.*

Bez fenomenu Żwirki i Wigury oraz przedwojennego lotnictwa nie da się zrozumieć fenomenu niepodległej II Rzeczypospolitej. Tak jak nie da się go pojąć bez opisanego szala wokół nart, taternictwa, poezji, teatru czy kabaretu. Tego fenomenu, który dał światu nie tylko poetów, awanturników i żołnierzy,

lecz także narciarza, taternika, poetę i aktora w jednym – Karola Wojtyłę.

Komuna litościwie pozostawiła nam ulice Żwirki i Wigury, co zawdzięczali oni... właśnie przedwczesnej śmierci. Gdyby przeżyli, zapewne nie wybaczone by im, że obaj na ochotnika bili się z bolszewikami, i zaliczeni byłiby do sanacyjnych przeżytków, które trzeba wyprzeć z polskiej pamięci. Efekt jest taki, że Polak wychowany w PRL na zbitkę „Żwirko i Wigura” reaguje natychmiastowym „Oczywiście, że kojarzę”, przy czym pierwszym skojarzeniem jest pamiętany z dzieciństwa... Żwirek i Muchorek z „Bajek z mchu i paproci” produkcji czechosłowackiej. Tak to bywa, gdy pamięć, jak w to PRL i III RP, przekazywana była ogołocona z ducha tamtych czasów...

► Polacy stworzeni do husarii i lotnictwa

Jaki to był duch? Film „Epitafium dla Orłów” Adama Sikorskiego rozpoczyna się od ważnych słów: „Lotnictwo wybuchło w odrodzonej Polsce wraz z niepodległością. Porwało tysiące młodych, marzeńcielskich natur syntezą przygody, wiedzy tajemnej i nowoczesności, zerwaniem z niewolniczym przywiązaniem człowieka do dwóch wymiarów”. Polacy stworzeni zostali do latania w przestworzach, tak jak do husarii czy ułańskich wyczynów. Świetnie rozumieli to zaborcy Polski i dlatego Polaków trzymali jak najdalej od samolotów, traktowanych wówczas jako szczególnie niebezpieczny rodzaj uzbrojenia. Gdy więc wybuchła wolność, marzenie o skrzydłach mogło zostać zrealizowane. Cytowany w filmie as lotnictwa Witold Rychter tak wspominał w swoim pamiętniku wygląd zeszytów szkolnych ówczesnych nastolatków: „Kartki w zeszytach oprócz treści zasadniczej, pokryte były rysunkami wszelkiego typu samolotów, ich wymiarami, układami sterowania, przekrojami silników, konstrukcjami podwozia”.

2 miliony członków – tak liczna była w owych czasach polska organizacja paramilitarna Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej (w skrócie – LOPP), a jej prezes generał dywizji Leon Berbecki w taki oto sposób pisał o berlińskim zwycięstwie Żwirki i Wigury: „Skrzydłacy rycerze, potomkowie najszczytniejszej tradycji polskiego bohaterstwa, niosą na swych skrzydłach pod niebo świadectwo siły ducha Narodu. Zwycięstwo Żwirki i Wigury wniosło do roczników sławy polskiej klejnot bezcenny”. Ale sam duch nie dałby słynnego zwycięstwa w Berlinie. Nie w zawodach, które były rywalizacją nie tylko ludzi, lecz także samolotów, które Polska musiała sama zbudować. Był więc to także tryumf myśli technicznej młodego polskiego państwa i olbrzymiego wysiłku wło-

zonego w to, by móc podjąć rywalizację z bogatszymi potęgami.

► Żwirko, czyli Wołodyjowski

Gdy odchodzili nagle z tego świata u szczytu sławy, Franciszek Żwirko miał 37 lat, a Stanisław Wigura lat 31. Skąd się wzięli? Obaj z polskich Kresów i ten rodowód powodować będzie sienkiewiczowskie skojarzenia. Szczególnie słynący z brawury Żwirko, który z własnej szkoły wyskoczył przez okno i złamał nogę, porównywany bywał często do Wołodyjowskiego.

Urodził się 16 września 1895 roku w Święcianach, jednym z najstarszych miast na Litwie, gdzie znajdował się niegdyś dwór księcia litewskiego Witolda, a podczas marszu na Moskwę Napoleon przyjmował defiladę wojsk. Na YouTube są krótkie fragmenty jego wypowiedzi, na których słychać kresowy zaśpiew. Do szkoły średniej chodził w Wilnie. Gdy powołany został do rosyjskiego wojska podczas I wojny światowej, miał nadzieję, że trafi do lotnictwa, którym był zafascynowany. Rosjanie uznali jednak, że nie dla psa kielbasa i skierowali go do piechoty. W 1917 roku, w czasie rewolucyjnego chaosu w Rosji, powstał I Korpus Polski, silną ręką rządzony przez generała Józefa Dowbora-Muśnickiego i to do niego zgłosił się 22-letni Franciszek Żwirko. Gdy korpus został rozformowany, a jego żołnierze wyjeżdżali do Polski, on podjął inną decyzję. Chciał walczyć z komunizmem tak bardzo, że wstąpił do rosyjskich formacji antybolszewickich i trafił pod skrzydła generała Denikina. Dopiero we wrześniu 1921 roku udało mu się przedostać przez granicę do Polski.

Sześć lat młodszy Stanisław Wigura urodził się w 1901 roku w Żytomierzu na obecnej Ukrainie. Mieście, w którym Rosjanie dokonali niegdyś masakry z zemsty za poparcie przez mieszkańców konfederacji barskiej. Wychowany w harcerstwie uczęszczał do Gimnazjum im. Zamoyskiego w Warszawie. Jako uczeń 7 klasy, w 1920 roku na ochotnika wstąpił do wojska, by bić bolszewika. Po wojnie wrócił do szkoły i w 1922 roku zdał maturę.

Nie od razu stanowili nierozłączny duet. Losy rzucały obu lotników po wojnie w różne miejsca, ale zdobywali wykształcenie w pokrewnych dziedzinach. Żwirko służył w 1 Pułku Lotniczym w Warszawie. W 1923 roku ukończył Szkołę Pilotów w Bydgoszczy, a w 1924 roku Wyższą Szkołę Pilotów w Grudziądzu, po czym służył jako pilot w 18 Eskadrze Myśliwskiej w stopniu porucznika pilota. Trafił do Bydgoskiej Szkoły Pilotów jako instruktor. Jednocześnie zaczął zajmować się sportem lotniczym, gdzie zaczął odnosić sukcesy. W 1925 roku, w I Pomorskim Locie

Okreźnym, zajął 4. miejsce na 18 załóg. W 1926 roku jako jeden z pierwszych zainicjował loty nocne w polskim lotnictwie wojskowym, dokonując nocnego rajdu nad Polską. 28 sierpnia 1927 roku w międzynarodowych zawodach I Locie Małej Ententy i Polski w Jugosławii zajął drugie miejsce w klasyfikacji ogólnej, a pierwsze w locie określonym. Od 1928 roku służył w 111 Eskadrze Myśliwskiej. Został też oficerem łącznikowym przy Aeroklubie Akademickim w Warszawie. Objęcie tej funkcji w Aeroklubie tworzonemu przez młodych konstruktorów spowodowało wzrost aktywności Żwirko w sporcie lotniczym.

Tymczasem Stanisław Wigura rozpoczął w 1922 roku studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej. Należał do założycieli Sekcji Lotniczej Koła Mechaników Studentów Politechniki Warszawskiej. Tam spotkał swoich przyszłych współpracowników – Stanisława Rogalskiego i Jerzego Drzewieckiego. W grudniu 1925 roku studenci utworzyli warsztaty Sekcji Lotniczej, w których... budowali samoloty. W 1927 roku Wigura wraz z Rogalskim zbudowali swój pierwszy samolot WR-1 (nazwa pochodziła od ich inicjałów). Wtedy to trójka konstruktorów – Rogalski, Wigura i Drzewiecki – podjęła stałą współpracę i stworzyła zespół konstrukcyjny RWD, nazwany tak od inicjałów założycieli. To ważny moment, bo to na samolotach RWD (tyle że znacznie nowszej generacji) Żwirko i Wigura mieli podbić świat w 1932 roku... Póki co jednak, zespół stworzył pierwszy samolot sportowy RWD-1, wyróżniony za oryginalną konstrukcję.

Mając taki dorobek Wigura... skończył w 1929 roku studia, uzyskując dyplom inżyniera-mechanika. Został asystentem w Katedrze Budowy Samolotów Politechniki Warszawskiej u prof. Gustawa Mokrzyckiego. W tym samym roku uzyskał dyplom pilota sportowego w znanym nam już Aeroklubie Akademickim. Powstawały coraz bardziej udane samoloty RWD – sportowy RWD-2 zbudowano w liczbie czterech sztuk, a jego rozwinięcie RWD-4 w liczbie dzie-
więciu sztuk.

► „Ani śladu urzędowej powagi”

„Cóż to był za wspaniały człowiek! Ani śladu urzędowej powagi lub okazywania wyższości ze strony bądź co bądź wojskowego przełożonego... Był to urodzony wychowawca młodzieży lotniczej, działający zawsze jak najskromniej, najserdeczniej, ze stanowiska po prostu starszego kolegi” – tak wspominał Franciszka Żwirkę cytowany już as lotnictwa Witold Rychter. To w Aeroklubie Akademickim Wigura zaprzyjaźnił się z sześć lat starszym porucznikiem pilotem Żwirką. Od tej pory latał w załodze Żwirki jako

mechanik. Wspólnie, na pierwszym egzemplarzu lekkiego samolotu RWD-2, dokonali lotu okrężnego wokół Europy, na trasie Warszawa–Frankfurt–Paryż–Barcelona–Marsylia–Mediolan–Warszawa, długości prawie 5000 kilometrów! Zwyciężyli też w I Locie Południowo-Zachodniej Polski. Kolejne krajowe tryumfy można wymieniać długo. Wreszcie w kwietniu 1932 roku Żwirko został wybrany przez komisję Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej do reprezentowania Polski w zawodach Challenge 1932. I jako drugiego członka załogi dobrał Stanisława Wigurę.

► Pożyczka na wpisowe

Czym były zawody Challenge w 1932 roku w Berlinie? Obejmowały one ocenę techniczną startujących w nich samolotów, konkurencję techniczną, próbę prędkości maksymalnej oraz lot okrężny wokół Europy. Miał on długość 7363,2 kilometrów, a jego droga wiodła przez Niemcy, Polskę, Czechosłowację, Austrię, Jugosławię, Włochy, Szwajcarię, Francję, Holandię, Danię i Szwecję. Dla Polaków start w tak prestiżowych, a zarazem kosztownych zawodach nie był łatwy. Pod koniec 1931 roku udział Polski w nich był zagrożony z powodu trudności budżetowych państwa, związanych ze światowym kryzysem. Ostatecznie Aeroklub RP zaciągnął pożyczkę na wpisowe, a Departament Lotnictwa Cywilnego Ministerstwa Komunikacji zamówił budowę dwóch samolotów zawodniczych. Kolejny samolot został zakupiony przy udziale finansowym Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

► „Maszyna wytrzyma”

O tym, co wydarzyło się w 1932 roku, napisano osiem książek. My zdamy się prawdopodobnie na pierwszą – relację Janusza Meissnera „Żwirko i Wigura. Załoga RWD”, wydaną przez wydawnictwo Gebethner i Wolff na gorąco, w 1932 roku. Była to książka „o dwóch bohaterach, którzy oddali życie za wielką ideę Polski Skrzydlatej”.

Finał wyścigu i kalkulacje dotyczące zwycięstwa nad niemieckimi i pozostałymi rywalami opisywał autor tak: „Mając przewagę 5 punktów nad Possem, Żwirko i Wigura muszą lecieć z taką szybkością, aby zdobyć co najmniej jeszcze 5 punktów dodatkich. Wówczas Poss musiałby zdobyć aż 11 plusów, aby wygrać, co przy punktacji za szybkość ponad 201 kilometrów jest mało prawdopodobne. Za każde trzy kilometry ponad tę szybkość dolicza się jeden punkt. Tym sposobem Poss musiałby rozwinąć 235 km/godz średnio na całej przestrzeni 300 km. Jest jednak jeszcze Hirth i Morzik. Ci mają szybsze maszyny. Na

niektórych odcinkach rajdu lecieli 245 na godzinę. A jeżeli RWD-6 nie uzyska 5 punktów dodatnich?”.

Konieczne było więc ryzyko, ułańska szarża. Pisz dalej Janusz Meissner: „Na krótko przed startem przychodzi depesza od inż. Wędrychowskiego: »Możecie lecieć na pełnym gazie. Maszyna wytrzyma«. Dotychczas nie odważyli się rozwijać pełnej mocy silnika. Lecieli co najwyżej na 2350 obrotach, ponieważ przy 2500 nie mieli gwarancji, że wytrzymają skrzydła. Teraz Wigura usunął regulator z dźwigni gaśniaka.

– Niech się nawet rozleci w powietrzu, niech się dzieje, co chce.

Pierwszy bok trójkąta, po linii Berlin–Frankfurt nad odra, RWD-6 przelatuje z szybkością ponad 200 kilometrów na godzinę.

– Mało – oświadcza Wigura. – Daj pełen gaz.

Ostry skręt i 150 obrotów więcej na minutę. Maszyna wyje w powietrzu. Pochyla się na bok, ciągnięta nadmiernym wirem pędu, rwącego pod jej skrzydłami. Ledwie może ją utrzymać dłoń pilota zmęczona wysiłkiem.

Drugi punkt kontrolny i znów skręt. Daleko z tyłu czernieją na widnokręgu małe kreseczki niemieckich samolotów.

– Gonią.

Natężone mięśnie drętwieją i maszyna pochyla się na bok coraz bardziej. A czarne kreski Heinkli zdają się zbliżać.

– Prędej, prędej.

RWD-6 kładzie się na burtę, choć drążek sterowy skręca lotki w przeciwną stronę. Ale oto już widać Berlin. Jeszcze 2–3 minuty.

Z wściekłym rykiem silnika wpada polski samolot na metę. Idzie w dół strzelając na szybko domkniętym gazie, dotyka podwoziem lotniska, hamuje pęd w umyślnie podciągniętym odskoku i gładko siada przy sterowej chorągiewce”.

W Polsce było wariactwo

Jak reagowała niemiecka publiczność, pewna germańskiej przewagi? W większości głuchą, złowrogą ciszą. Pisz Meissner:

„– Polacy? – płynie szmer w tłumach.

– Polacy! – uderzają radością serca naszych.

Zrywają się brawa. Wtem ląduje Poss, a po nim Morzik.

Komisja sędziów oblicza wyniki.

– Żwirko na RWD-6 – 461 punktów. Pierwsze miejsce.

Poss na Klemmie – 458 punktów. Drugie miejsce.

I nagle uderza melodia polskiego hymnu:

– Jeszcze Polska nie zginęła!

Obnażają się głowy. Salutują pruscy oficerowie”.

W Polsce nie było ciszy. Było wariactwo. „Pokraczny bękart traktatu wersalskiego”, jak nazwie Polskę Mołotow, wygrał w zawodach skupiających uwagę całego świata, będących dla milionów ludzi tematem numer jeden. Relacjonował Meissner: „Tłumy w Poznaniu, tłumy w Warszawie, tłumy w Wilnie. Entuzjazm, kwiaty, owacje. Pękają policyjne kordony, rzeki ludzkie zalewają lotniska”. Te sceny są na filmikach na YouTube. Faktycznie, rozrywane są policyjne kordony. Żwirko robi wszystko, by nie dopuścić do sytuacji, w której tłum na kawałki rozerwie samolot, na który Polacy organizowali zbiórki. Tak było w Paryżu, gdy Francuz wygrał wcześniejszy Challenge. W Polsce tak nie wypada.

Na tym tle szału i entuzjazmu widać skromność i świadomość misji polskich lotników, którzy zdobyli świat. Meissner odnotowuje: „A oni? »Zapisujcie się do L.O.P.P.« – pisze Żwirko, kiedy proszą go o autograf. »Niech żyje lotnictwo polskie!« – woła Wigura w odpowiedzi na okrzyki wznoszone na jego cześć”. Porucznik Franciszek Żwirko w przemówieniu do narodu przez radio mówi: „Sukces ten zadzięczamy przede wszystkim pomocy rządu i ofiarności całego społeczeństwa, które drobnymi składkami na cele LOPP przyczyniło się w znacznej mierze do powstania na Okęciu Doświadczalnych Warsztatów Lotniczych, w których zdolni konstruktorzy mogli zbudować ten płatowiec, na którym mogłem skutecznie rywalizować z tak groźnymi współzawodnikami”.

► Krzyż w Cierlicku

Dwa tygodnie później dwaj najlepsi lotnicy świata mają lecieć do Pragi. Niewiele było piór, zdolnych unieść opis tragedii, która się wtedy wydarzyła. Mistrz Zygmunt Nowakowski z Krakowa, pisarz, dyrektor Teatru Słowackiego, fanatyczny kibic Cracovii, a po wojnie duchowy przywódca antykomunistycznej emigracji, napisał: „Straszliwie krótko radowaliśmy się szczęściem i sławą tych dwóch młodych lotników, radość bowiem trwała dokładnie dwa tygodnie. Dnia 28 sierpnia popołudniu radio przyniosło z Berlina dźwięki »Jeszcze Polska...«, następnego dnia tłumy w Poznaniu, potem tłumy w Warszawie, niosły na barkach dwóch zwycięzców, ale naprawdę niósł ich każdy Polak. [...] Rzadko chyba się zdarza, by powszechna miłość całego narodu otoczyła kogoś wybrańca losu. W tak szybkim czasie, jak to było udziałem Żwirki i Wigury. Błyskawicznemu tempu tego procesu odpowiada chyba tylko szybkość, z jaką zgłasza nasza radość. Każdy Polak, jak ów szofer, wspomniany przez reportera, zawołał »Jezus, Maria«. I naprawdę musiał oprzeć się o mur”.

W artykule „Krzyż w Cierlicku”, opublikowanym w wygnańczych „Wiadomościach Polskich, Politycznych i Literackich” (nr 36/1942), Nowakowski tak pisał o przyczynach tragedii w Czechosłowacji: „Straszliwa burza przeszła nad Polską południowo-zachodnią, i ciemno zrobiło się jak w nocy, choć to był przecież dzień. W tej burzy, która skrzydłem swym zawadziła o Kraków, oni obaj zawadzili skrzydłami swego RWD-6 o jakieś sosny czy smrek, lecąc nad lasem cierlickim. Wiadomość o tym przyszła niemal bezpośrednio po katastrofie. Nic dziwnego: niosła tę wiadomość burza”.

„Zawiodło wszystko. Doskonała maszyna, prowadzona przez znakomitego pilota nie potrafiła przeciwstawić się prądom powietrznym, które ją cisnęły o ziemię” – relacjonowała prasa. To wydarzenie przyniosło skutek prawu międzynarodowemu nieznanym. Jakiegokolwiek przepisy prawa przestały obowiązywać. Pisał Zygmunt Nowakowski: „W dniu, w którym przewożono obie trumny, granica polsko-czechosłowacka przestała istnieć [...] Oficerowie czescy przekroczyli ją bez przeszkód w uniformach i towarzyszyli kolegom polskim aż na teren Polski”.

► Lotem błyskawicy

Henryk Żwirko miał wtedy 2 latka i dzieci uczyły się wierszyków o nim. Tak napisze o tej tragedii jako dorosły już autor książki o ojcu: „Nagle oderwało się skrzydło, ucił silnik i z nieba posypały się drobne, srebrzyste płatki. Szczątki samolotu uderzyły o dwa wyniosłe świerki na skraju zagajnika [...] Na ziemi szczątki samolotu, obok, na leśnej ścieżce leżało ciało człowieka. Był młody, zmasakrowany. Szukali drugiego. Leżał kilkanaście metrów dalej. Z kurtki wiatrówki wysunęły się dokumenty – to Żwirko [...] Na miejsce katastrofy przybyli żandarmi, żołnierze. Ciało obu lotników na zwykłym wozie, wysłanym słomą, przewieziono do kaplicy cmentarnej przy kościele. Dwóch żołnierzy zaciągnęło warte. Wiadomość o śmierci Żwirki i Wigury lotem błyskawicy obiegała Polskę”.

Pisarz Paweł Hulka-Laskowski w książce „Śląsk za Olzą” wydanej w 1938 roku, o miejscu śmierci polskich bohaterów opowiedział tak: „Przed kapliczką krzyż z brzozy, przekreślony śmigłem samolotu. Serce ścisła się boleśnie. Wiemy, czujemy dokładnie, jak to było, gdy dwaj nieustraszeni bojownicy z żywiołem z wyżyn sławy padali w otchłań śmierci. W ostatnich sekundach życia każdy z nich myślał o swoich najdroższych, wiedząc, że droga do nich została odcięta ślepą wolą ciemnego żywiołu. Wszystko, co jeszcze chcieli uczynić, każde słowo, które byliby jeszcze chcieli powiedzieć, zostało przecięte cio-

sem niewidzialnego miecza, a potem straszliwy trzask i milczenie”.

Każda myśl uczciwego Polaka po przeczytaniu tego opisu kieruje się do Smoleńska. Nie ukrywajmy... Pisze dalej Hulka-Laskowski o zwyczajnym miejscu, w którym dokonała się tragedia: „Ten żal potęguje się tu w słońcu przepięknej okolicy. W polu pracują ludzie pełni trosk powszednich, ale i radości życia, gdzieś na drodze biejącej w dali, dzieci idą ze szkoły i pokrzykują wesoło, a tu jest takie oto miejsce odgródzone od reszty świata żalem i smutkiem, miejsce, gdzie bolesny skurcz serca zawsze tłumić będzie radość życia i napełniać myśli smutkiem, dla którego nie ma wyrazu”.

► Trumny na kadłubach samolotów

„Śmierć bohaterów zmusiła do bicia, w jednym rytmie, serca wszystkich narodów świata cywilizowanego wraz z sercami synów Polski. [...] Jak mogły bohaterskich obrońców Ojczyzny, rozsiane wzdłuż rubieży Rzeczypospolitej, są najtrwalszymi kopcami granicznymi, tak mogły Żwirki i Wigury znaczą szlak imienia polskiego” – napisał po tragedii prezes LOPP Leon Berbecki.

Pogrzeb Żwirki i Wigury był wydarzeniem, jakiego dawno nie widziała Warszawa. Tłumy, których początku i końca nikt nie był w stanie dostrzec, zalały Warszawę. W pogrzebie wzięło udział około 300 tysięcy Polaków. Na czele marszu z kościoła św. Krzyża szedł Marszałek Józef Piłsudski. Dwie trumny przykryte narodowymi flagami wieziono na kadłubach samolotów.

Nie ma wątpliwości, że to Żwirko i Wigura, którzy spoczęli we wspólnym grobie na warszawskich Powązkach, byli ojcami Dywizjonu 303 i wszystkiego tego, co stało się po ich śmierci. Na Fundusz Żwirki i Wigury zebrano 6,5 miliona złotych, za które kupiono 350 maszyn. Powstały też szkoły pilotów. „Pokraczny bękart traktatu wersalskiego” okazał się mieć skrzydła.

Powracając dziś pamięć Dywizjonu 303 trzeba połączyć z nazwiskami wychowawców tego bohaterskiego pokolenia, którymi byli Żwirko i Wigura. „Myśląc o nich, myśleć musimy o innych lotnikach polskich, także poległych, mianowicie o pochodzących właśnie z Zaolzia pilotach, którzy dali swe życie w tej wojnie. Każdy z nich startował z Anglii” – pisał Zygmunt Nowakowski. Gdy powraca dziś w głowach wielu młodych polska historia oraz etos polskiego lotnictwa, warto, by patronat nad nimi sprawowały łobuzy z Kresów Żwirko i Wigura. Bo to gwarancja, że najlepsze z możliwych wzorce trafią do głów współczesnych polskich łobuzów. ■

Dariusz Jarosiński



OMULEW – JEZIORO BOHATERÓW I ZDRAJCÓW

**Żołnierze
mjr. Zygmunta
Szendzielarza
„Łupaszki” operujący
latem i wczesną
wiosną 1946 roku
na Mazurach
bardzo polubili tę
krajnę. Mazury
przypominały
im rodzinną
Wileńszczyznę, gdzie
też nie brakowało
jezior i lasów.
Szczególnie bliskim
im miejscem były
okolice jeziora
Omulew w gminie
Nidzica. Tutaj czuli
się bezpiecznie,
pozwalali sobie na
kwaterowanie przez
dłuższy czas.**

Ppor. Henryk Wieliczko „Lufa”, dowódca
4. szwadronu 5. Brygady Wileńskiej AK

Wpuszczańskich wioskach mieszkało jeszcze niewielu polskich osadników, widać jednak choćby z zachowanych ubeckich dokumentów, że dla nich żołnierze mjr. „Łupaszki” byli „prawdziwym” Wojskiem Polskim, reprezentującym majestat II Rzeczypospolitej. Wśród nowych osadników na Mazurach nie brakowało byłych żołnierzy AK, którzy szukali na tzw. ziemiach odzyskanych azylu, próbowali uniknąć aresztowania przez UB czy NKWD.

► Ulubione miejsce komunistycznych zbrodniarzy

Pewnym paradoksem dziejów jest fakt, że okolice jeziora Omulew, Lasów Ramuckich, stały się już na początku lat 50. imperium, władztwem tzw. Ludowego Wojska Polskiego. To tutaj, m.in. w akcie zemsty za pomoc udzielaną wileńskim partyzantom, wysiedlono mieszkańców dziewięciu wiosek i kilku leśnych osad i utworzono poligon wojskowy z siedzibą w Muszakach. Jak policzył miejscowy historyk regionalista, Sławomir Ambroziak, w 1939 roku we wszystkich wioskach, później zrównanych z ziemią na potrzeby poligonu, mieszkało 2300 osób w 556 domach. To tutaj, w miejscowości Omulew, gdzie ongiś stała przyjazna żołnierzom mjr. „Łupaszki” leśniczówka leśniczego Zbigniewa Jarosińskiego, utworzono w latach 60. wojskowy ośrodek wypoczynkowy, funkcjonujący zresztą do dziś. Po leśniczówce nie ma śladu.

Okolice jeziora Omulew były ulubionym miejscem wypoczynku komunistycznych zbrodniarzy, Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka. Jaruzelski był częstym gościem ośrodka MON, również w okresie III RP, kiedy nie pełnił żadnej funkcji państwowej. Wielokrotnie wypoczywał w ośrodku w Omulewie za rządów PO-PSL, gdy ministrem obrony narodowej był Tomasz Siemoniak. Jaruzelski przyjmowany był w ośrodku z honorami, na specjalnych zasadach, jakby nic się nie zmieniło w Polsce, a przynajmniej w polskiej armii, od lat 60. Miał do wyłącznej dyspozycji tzw. domek Jaruzelskiego, w którym nikogo innego nie kwaterowano, dom traktowany był jak jego własność. Jak pamiętamy, Tomasz Siemoniak zapewnił też sowieckiemu namiestnikowi, zdrajcy narodu polskiego, pogrzb z wojskową asystą honorową. Jedynie w okresie, kiedy ministrem obrony narodowej był śp. Aleksander Szczygło z Prawa i Sprawiedliwości, komunistyczny zbrodniarz nie mógł wypoczywać w ośrodku MON. Jaruzelski wiele lat temu kupił dom w wiosce Jabłonka nad jeziorem Omulew. Dom niegdyś należał do mazurskiej rodziny, która wyjechała do Niemiec. O wakacjach spędzanych tutaj lubi opowiadać córka Jaruzelskiego Monika. Również nad tym samym jeziorem w miejscowości Wikno posiadał

dacę Czesław Kiszczak – po śmierci komunistycznego opracowy dom przejął jego syn.

Komunistyczna elita wojskowa, m.in. Władysław Ciasłowski, Zenon Płatek, Sławomir Peteliński, przyjeżdżała nad Omulew odpocząć od ciężkiej roboty służby Kremłowi, zabawić się, na ryby, na grzyby, na polowania. Czy spacerując nad jeziorem, w lesie, myśleli o tym, że kilkadziesiąt lat wcześniej te same ścieżki przemierzali niezłomni żołnierze mjr. „Łupaszk”, którzy zapłacili życiem za to, że chcieli Polski wolnej, niepodległej, że nie zawahali się stanąć do walki z potężnym wrogiem, jakim była bolszewia?

► Za świętą sprawę

Wiosną 1946 roku 36-letni mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, po raz czwarty w karierze dowódca 5. Brygady Wileńskiej AK, przeprowadził koncentrację swoich żołnierzy i wyruszył w pole, by walczyć ze zdrajcami narodu polskiego. W połowie kwietnia odtworzył w Borach Tucholskich 5. Brygadę, a wcześniej powołał do życia 6. Brygadę Wileńską AK pod dowództwem ppor. Lucjana Minkiewicza „Wiktora”. Szósta Brygada liczyła 80 ludzi i operowała na Białostocczyźnie i na Podlasiu. Piąta Brygada posiadała nieco mniejszy stan osobowy, została podzielona przez mjr. „Łupaskę” na trzy grupy bojowe zwane szwadronami, jak w kawalerii, bo przecież major był kawalerzystą, ułanem.

To właśnie wiosną 1946 roku pojawiła się ulotka wyjaśniająca motywy działania 5. Brygady Wileńskiej AK: „Nie jesteśmy żadną bandą, jak nas nazywają zdrajcy i wyrodni synowie naszej Ojczyzny. My jesteśmy z miast i wiosek polskich. Walczymy za świętą sprawę, za wolną, niezależną, sprawiedliwą i prawdziwie demokratyczną Polskę! [...] Jednopartyjne rządy komunistyczne biorą myśl w obcęg, pozbawiają człowieka woli, przywiązań, umiłowań tych najistotniejszych cech człowieczeństwa. [...] Dlatego też wypowiedzieliśmy walkę na śmierć lub życie tym, którzy za pieniądze, orderzy lub stanowiska z rąk sowieckich, mordują najlepszych Polaków domagających się wolności i sprawiedliwości”.

Drugim szwadronem 5. Brygady dowodził ppor. Zdzisław Badocha „Żelazny”, a po jego śmierci (26 czerwca 1946 roku koło Sztumu) – ppor. Olgierd Christa „Leszek”, dowódcą 4. szwadronu był ppor. Henryk Wieliczko „Lufa”, a piątym – ppor. Leon Smoleński „Zeus”. W 1946 roku szwadrony 5. Brygady operowały głównie na Pomorzu i Powiślu oraz na terenie byłych Prus Wschodnich, m.in. na Mazurach i Warmii.

Oddziały podziemia antykomunistycznego operujące na przykład na Podlasiu mogły liczyć na mocne oparcie w terenowej siatce konspiracyjnej, na życzliwość i patriotyzm mieszkańców podlaskich wiosek. Na terenach byłych Prus Wschodnich, choćby na Mazurach,

wileńscy żołnierze zdani byli na własną inwencję, na pomoc wysiedleńców z Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny. Szwadrony mjr. „Łupaszk” stale zmieniały miejsca postoju, nie miały stałych baz, działały jako grupy lotne. Żołnierze poruszali się zdobycznymi samochodami, w krótkim czasie mogli przebyć nawet kilkadziesiąt kilometrów. Nie atakowali żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, a formacje Milicji Obywatelskiej, Urzędu Bezpieczeństwa, NKWD, likwidowali zdrajców ojczyzny – członków PPR, agenturę ubecką. Swoimi działaniami zbrojnymi uniemożliwiali instalowanie się w Polsce systemu sowieckiego. W szwadronach majora panowała wojskowa dyscyplina, trudno znaleźć choćby jeden przypadek „bandycenia się”, o czym jeszcze dzisiaj piszą nieuczciwi historycy, publicyści. To właśnie żołnierze „Łupaszk” wymierzali często sprawiedliwość koniokrądom, złodziejom, szabrownikom.

Dowódca 4. szwadronu, ppor. Henryk Wieliczko „Lufa”, był doświadczonym żołnierzem, jego działalność partyzancka zaczęła się w 1943 roku w oddziale por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica” nad jeziorem Narocz. Dowodzony przez niego szwadron wyróżniał się bojowością, a przede wszystkim ruchliwością. Mazury i Warmię przemierzył kilka razy wszerek i wzdłuż. Podporucznik „Lufa” prowadził „Dziennik”, który szczególnie zachował się do dzisiaj – na jego podstawie można prześledzić szlak wileńskich żołnierzy, odbyć ciekawą podróż ich śladami.

► Las był domem „Puszczyka”

Jak wynika z „Dziennika”, 23 czerwca mjr „Łupaszka” zdecydował się ze szwadronem „Lufy” udać w okolice Nidzicy. Już wcześniej mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” nawiązał kontakt ze Zbigniewem Jarosińskim, leśniczym z leśniczówki w Omulewie nad jeziorem o tej samej nazwie. Zbigniew Jarosiński zadeklarował chęć współpracy z żołnierzami „Łupaszk” i niesienia im wszelkiej możliwej pomocy.

W okolicy miejscowości Czarny Piec w gminie Jedwabno w powiecie Szczytno wileńscy żołnierze zatrzymali samochód, którym przed zbliżającym się referendum poruszał się z obstawą wojskową komunistyczny agitator z Komitetu Powiatowego Polskiej Partii Robotniczej w Nidzicy, Wacław Bralski. Został zlikwidowany, ochraniającym go żołnierzom LWP darowano życie. Zresztą żołnierze nie tylko nie mieli zamiaru walczyć z partyzantami Majora, lecz także większość z nich wyraziła chęć przyłączenia się do oddziału Niezłomnych. Major nawet przyjął dwóch podoficerów, ale wkrótce nakazał im odejść.

Do szwadronu ppor. „Lufy” dołączyło dwóch ludzi, Mazur Kurt Nikuta „Willy” i Jerzy Ostaszewski „Szarak”. 24 czerwca oddział zatrzymał się na krótko w leśniczów-

ce Grobka oraz we wsi Kleine Natasch (Mała Natać). Pod wieczór major z żołnierzami dotarli do leśniczówki Omulew, gdzie przywitał ich leśniczy Zbigniew Jarosiński. Major „Łupaszka” był w bardzo dobrym nastroju, jak za dawnych czasów wybrał się na ryby. „Lufa” nic nie wspomina w „Dzienniku”, czy polów był udany, pisze za to, że Józefowi Bandzo „Jastrzębiowi” nie powiodło się polowanie. Leśniczy podjął partyzantów pieczenią z dziczyzny i gotowanymi młodymi ziemniakami. Idylla nad jeziorem Omulew nie mogła trwać długo – ze względów bezpieczeństwa po przespaniu krótkiej czerwcowej nocy wileńscy żołnierze wyruszyli w drogę.

Kim był Zbigniew Jarosiński? Jego ojciec, Marian Jarosiński (rocznik 1864), powstaniec śląski, piłsudczyk, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości otrzymał stanowisko leśniczego w miejscowości Poręba w powiecie Ostrów Mazowiecka. Tutaj urodził się w 1922 roku Zbigniew Jarosiński. Cała rodzina Jarosińskich po 1939 roku należała do niepodległościowej konspiracji.

jego kolegów z konspiracji. [...] Zbyszek zabrał z domu do plecaka tylko osobiste rzeczy, między innymi patelnię, która mu długo służyła, i bliski mu obrazek Pana Jezusa. Zbyszek był osobą głęboko wierzącą. W Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Olsztynie skierowano go do nadleśnictwa Zimna Woda koło Nidzicy, a stamtąd do leśniczówki Omulew. [...] Zbyszek zawsze z estymą wspominał majora Szendzielarza »Łupaszkę«, był pełen podziwu dla bohaterskiej postawy jego żołnierzy. Mówił, że to byli oczytani, inteligentni, wykształceni chłopcy – chodzili po podwórku i recytowali duże fragmenty »Pana Tadeusza«. Bardzo tęsknili za rodzinną ziemią wileńską. Twierdzili, że jedynie Mazury dorównują urodzie wileńskiej przyrody”.

► Krowa kiwała głową „3 x tak”

Zdaniem historyków IPN, Kazimierza Krajewskiego i Tomasza Łabuszewskiego, w czerwcu 1946 roku pod-

CZY SPACERUJĄC NAD JEZIOREM OMULEW, W LESIE, KOMUNISTI MYŚLELI O TYM, ŻE KILKADZIESIĄT LAT WCZEŚNIEJ TE SAME ŚCIEŻKI PRZEMIERZALI NIEZŁOMNI ŻOŁNIERZE MJR. „ŁUPASZKI”, KTÓRZY ZAPŁACILI ŻYCIEM ZA TO, ŻE CHcieli POLSKI WOLNEJ, NIEPODLEGŁEJ?

Młodszy o dwa lata brat Zbigniewa Stanisław, żołnierz AK, zginął w 1944 roku. Obaj bracia od najmłodszych lat obcowali z bronią, byli wytrawnymi strzelcami. Zbigniew ukończył Kurs Podchorążych Obwodu AK Ostrów Mazowiecka „Opocznik”. Walczył w oddziale partyzanckim AK w Puszczy Białej. Jako że las był jego domem, nosił pseudonim „Puszczek”. W czasie Akcji „Burza” walczył w 8. kompanii 13. Pułku Piechoty AK dowodzonej przez por. Alfreda Wieczorka „Tatara”. Pod koniec sierpnia 1944 roku wziął udział w jednej z największych i najbardziej krwawych bitew partyzanckich II wojny światowej z Niemcami. W bitwie zginęło 150 żołnierzy AK. 13. Pułk Piechoty został niemal całkowicie rozbity. Zbigniew Jarosiński otrzymał awans na stopień podporucznika, za bohaterską postawę został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Zagrożony aresztowaniem przez Urząd Bezpieczeństwa, w listopadzie 1945 roku przybył na tzw. ziemie odzyskane. Jak opowiadała mi żona Zbigniewa Jarosińskiego: „Zbyszek bardzo przeżywał, że por. Alfred Wieczorek »Tatar« rozwiązał ich oddział. Za smutkiem i goryczą obserwował, jak ubecy, bolszewicy aresztowali

ległe mjr. „Łupaszce” szwadrony: „wytraciły dynamikę i aktywność, przechodząc stopniowo do działań defensywnych. [...] Okres ten nie był już tak spektakularny i efektywny jak podczas niedawnych, niezwyklej rajdów” („Łupaszka», »Młot«, »Huzar«. Działalność 5. i 6. Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)”, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2002).

Nic dziwnego, że nie było już takich sukcesów jak na Białostocczyźnie czy w Borach Tucholskich, skoro komuniści w czerwcu 1946 roku, przed referendum, rzucili przeciwko niewielkim szwadronom mjr. „Łupaszki” olbrzymie siły zbrojne. W zachowanych materiałach ubeckich możemy przeczytać, że do zwalczania kilkudziesięciu wileńskich partyzantów „Powstało 8 stałych grup operacyjnych. Każda grupa liczyła 60 ludzi (żołnierze WP, WBW, funkc. UB i MO. [...] Utworzono także oddział specjalny rezerwowy w ilości 150 ludzi zakwaterowany w Olsztynie”. Do walki z „bandą” kierowane były też siły Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Olsztynie, KW MO, batalion Wojskowego Bezpieczeństwa Wewnętrznego, batalion 15. Dywizji Piechoty, którą dowodził płk. Konstanty Kontrym,

funkcjonariusze Ochotniczych Rezerw Milicji Obywatelskiej, Służba Ochrony Kolei.

30 czerwca 1946 roku odbyło się w Polsce referendum. Oczywiście komuniści sfałszowali jego wyniki. W przeddzień referendum, 29 czerwca, mjr „Łupaszka” zakwaterował ponownie w leśniczówce Omulew. Wileńscy partyzanci opuścili leśniczówkę 1 lipca. Podporucznik „Łufa” zanotował w „Dzienniku”: „29 VI śniadanie we wsi Malgaofen [Niedźwiedź]. Zamieszkałe są tylko trzy chaty. Dla sołtysa przydzielono pół worka (dosłownie) propagandowych ulotek przedwyborczych. Por. »Stefan« [por. Jerzy Jezierski] idzie na patrol po jałowkę do Omalefmile [właściwa nazwa niemiecka to Omulef, obecna nazwa wsi – Kot]. Postój na leśniczówce] Omulef. Przychodzi por. »Stefan«. »Moskito« [Tadeusz Urbanowicz] bawi się w rzeźnika. 30 VI »Listek« [Piotr Giwer] zachwycił nas swoimi zdolnościami kulinarnymi. Gospodarz idzie na referendum. Przerabiamy trójkąt błędów. Nocujemy. P[an] Major wędkuje”. Wspomnianą jałowkę, czyli krowę, żołnierze zarekwirowali wójtowi wsi Kot, który mieszkał w wiosce Dębowiec. Porucznik Jerzy Jezierski „Stefan” nie ośmieszał zostawić wójtowi pokwitowania: „Kwituję odbiór jednej krowy, która jest potrzebna do naszej kuchni na jutrzejsze święto (wybory). Krowa widocznie przeczuwała, że zbliża się dzień ostateczny w jej życiu, bo kiwała zrezygnowana głową 3 x tak”.

► Pożegnanie Mazur

W związku z dużym nasyceniem terenu Mazur i Warmii konfidentami, niemal codziennymi oblawami grup operacyjnych UB i MO, mjr „Łupaszka” zdecydował o wycofaniu szwadronów na teren Pomorza, Borów Tucholskich.

Czwarty szwadron ppor. „Łufy” znalazł się ponownie na Mazurach 26 października w powiecie piskim, tym razem już bez mjr. „Łupaszki”. Dwa dni później dotarł do miejscowości Rozogi w powiecie Szczytno. Zajrzyjmy do „Dziennika” ppor. „Łufy”, bo dużo się wówczas wydarzyło: „28 X jedziemy do miasteczka Rozogi i rozbrajamy posterunek milicji. Bierzymy także prowiant ze spółdzielni. Po akcji szwadron wycofuje się w kierunku na zachód, po czym skręcamy na południe i po drodze rozbrajamy milicję w Lipowcu. W spółdzielni uzupełniamy zapasy żywności, z posterunku zabieramy broń. Wycofujemy się w dalszym ciągu na zachód i po przebyciu około 30 km zatrzymujemy się w kolonii Jańkowo (pow. Nibork) [powinno być Jankowo, pow. Szczytno]. Po obiedzie wartownik melduje warkot samochodów z kierunku przybycia. Zarządcom ostre pogotowie. Po zorientowaniu się, że samochody zbliżają się do nas, wsiadamy na wóz i wycofujemy się na zachód. Po przebyciu około 6 km samochód zostawiono

w krzakach, a szwadron stanął na zasadzce. Wkrótce po naszym śladzie nadjechał samochód MO i ORMO, który został ostrzelany, a następnie zdobyty. Około dziesięciu zostało zabitych, w tym dowódca. Dwudziestu poddało się. W czasie akcji ciężko ranny został kpr. »Mercedes« [Henryk Wojczyński]. Szwadron wycofuje się na leśniczówkę Omulew”.

Kapral Henryk Wojczyński „Mercedes” był niezwykle cenionym, ofiarnym żołnierzem, doskonałym kierowcą, w razie potrzeby też mechanikiem. Zasadzka na grupę operacyjną UB i MO miała miejsce na drodze Jedwabno–Wielbark, między miejscowościami Pidur i Rekownica. W pościg za wileńskimi żołnierzami wyruszyły dwa samochody z 32 funkcjonariuszami. Samochód, którym jechali ubecy, stanął po drodze z powodu braku paliwa, więc do miejsca walki dojechał tylko ten z milicjantami. W walce zginęło czterech milicjantów, trzech zostało ciężko rannych, a pięciu odniosło lekkie obrażenia. Dowódca milicjantów, chor. Kazimierz Jarzębowski, upozorował poddanie się i rzucił granatem w kierunku nadchodzących partyzantów. Odlamek granatu ciężko ranił „Mercedesa”. Za ten incydent Jarzębowski został zastrzelony przez ppor. „Łufę”. Partyzanci z rannym „Mercedesem” udali się po pomoc lekarską do leśniczego Zbigniewa Jarosińskiego nad jezioro Omulew.

Niestety, nie udało się ściągnąć lekarza ani z Nidzicy, ani z Pasmia. „Mercedes” zmarł 30 października w leśniczówce Jełguń. Jego ciało koledzy przewieźli do leśniczówki Kieraj niedaleko Stawigudy. Tutaj zrobili „Mercedesowi” trumnę i poprosili Warmiaków z pobliskiej wioski Wymój o pochówek kolegi. Ciężko wystraszeni Warmiacy powiadomili następnego dnia po odjeździe partyzantów milicję ze Stawigudy o zaistniałym fakcie. Zostali natychmiast aresztowani i przesiedzieli w piwnicy razem z trumną. Po dwóch dniach ubecy zabrali ciało „Mercedesa” do Olsztyna, Warmiacy zostali zwolnieni po kilku dniach.

Po raz ostatni żołnierze „Łufy” zajechali do leśniczówki nad jeziorem Omulew pod wieczór 6 listopada. Następnego dnia pożegnali się około południa z leśniczym Zbigniewem Jarosińskim. Nigdy więcej już się nie spotkali. Wszystkich losy potoczyły się niezbyt szczęśliwie. 9 listopada „Łufa” zanotował: „Po południu żegnamy oszronione Prusy”.

W styczniu 1947 roku Zbigniew Jarosiński został aresztowany. Po kilkumiesięcznym śledztwie, w kwietniu 1947 roku, Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie skazał leśniczego z Omulewa, oficera AK ps. „Puszczyk”, na karę 15 lat pozbawienia wolności. Jarosińskiemu zarzucono współpracę z „bandą” Łupaszki oraz przechowywanie broni należącej do „bandytów”. Prośbę o ulaskawienie leśniczego napisali do Bieruta mieszkańcy wsi Kot, którzy go bardzo szanowali. Samo napisanie takiej

prośby, a także jej podpisanie, było w owym czasie aktem nie lada odwagi cywilnej. Zbigniew Jaroński wyszedł z więzienia po śmierci Stalina w 1953 roku.

Po odzyskaniu wolności prosił o nadleśnictwie o zatrudnienie, choćby jako robotnik leśny. Bez lasu nie wyobrażał sobie życia. Przyzwoity nadleśniczy powierzył mu funkcję podleśniczego. Do Omulwi nie mógł wrócić. Nie miał nawet prawa się do niej zbliżyć. Później, kiedy już powstał w latach 60. ośrodek rządowy dla komunistycznych kacyków w miejscu, gdzie stała jego leśniczówka, jeździł tam. Mógł jedynie popatrzeć z daleka na ogrodzony wysoką siatką, strzeżony przez żołnierzy ośrodek. Widział, jak lądują na jego terenie śmigłowce przywożące bolszewików na wypoczynek. W pracy nie miał lekko – pozbawiany był z byle powodu premii, dodatków. Nie miał sobie równego strzelca w Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych – mimo kontuzjowanej, przestrzelonej w czasie wojny ręki. Wygrywał wszystkie konkursy strzeleckie. Największą karą dla niego było odebranie mu pozwolenia na broń. Od 1980 roku był współorganizatorem spotkań kolegów żołnierzy Obwodu AK „Opocznik” por. Alfreda Wierczoka „Tatara” w rocznicę bitwy pod Pecynką. Spotkania odbywały się 31 sierpnia w lesie koło rodzinnej Poręby. Zbigniew Jaroński zmarł w Biskupcu Reszelskim w 1993 roku. Został pochowany w Porębie, w rodzinnym grobie obok ojca i brata.

► Życie nad jeziorem Omulew toczy się dalej

Na początku lat 90. poligon w Muszakach został zlikwidowany. Jakby na przekór historii tej okolicy, którą wymazał z mapy komunizm, stoi tu wieża kościelna z krzyżem z wioski Małga na wierzchołku. Nowe władze utworzyły tutaj rezerwat przyrody Małga. W zdziczałym, opuszczonym przez ludzi terenie znajdują swoje siedliska ptaki i zwierzęta. Gdzieś tam wystają zardzewiałe, pochylone ku ziemi drogowskazy prowadzące już donikąd. Pod zarośniętymi krzaków można odnaleźć fundamenty niedokończonych domostw. O tym, że kiedyś mieszkali tutaj ludzie, że toczyło się życie, może też świadczyć zachowany budynek stacji kolejowej w Puchałowie. Poza tym życie nad jeziorem Omulew niewiele się zmieniło, jest takie jak ongiś.

Wioski położone nad jeziorem Omulew upodobał sobie komunizm, warszawiacy związani z dawną władzą. Zapewne czuli się bezpieczni obok wojskowego ośrodka, a też mogli skorzystać z transportu wojskowego śmigłowca. Nie bez znaczenia był też fakt, że za gospodarstwo poniemieckie z dostępem do jeziora płacili gminie grosze. W latach 70. wymuszano na Mazurach wyjazdy do RFN, aby można było za niewielkie pienią-

dze przejąć ich domy, tak zresztą działo się nie tylko nad jeziorem Omulew.

O sprawie nadmulwiańskich wiosek pisał m.in. w 2013 roku Michał Mońko w artykule „Gazety Obywatelskiej” „Leśna droga nad Omulew”. W 1976 roku był przypadkowym świadkiem, jak dwóch reżimowych dziennikarzy wymuszało na naczelniku gminy Nidzica, aby ten wysiedlił dotychczasowych mieszkańców wioski Natać, bo oni chcą tam zamieszkać.

„Kiedy w 1979 roku odwiedziłem Nidzicę – pisał Michał Mońko – nie spotkałem już naczelnika, z którym rozmawiałem trzy lata wcześniej. Dowiedziałem się, że tam, gdzie była wieś – 31 gospodarstw nad Omulewem – powstały przytulne dachy wysokich funkcjonariuszy państwa, sekretarzy KC, generałów i znanych dziennikarzy, artystów i naukowców. W latach osiemdziesiątych przemieszczała nad Omulewem zarówno stara, jak i nowa komuna. Przemieszczała też stara i nowa opozycja demokratyczna, a ściślej – obok komuny przemieszczała nad Omulewem ludzie, którzy w Warszawie funkcjonowali jako opozycja antykomunistyczna”. Niestety, nie wyjawiał Michał Mońko żadnych nazwisk.

O wakacjach spędzanych nad jeziorem Omulew lubi opowiadać córka Wojciecha Jaruzelskiego, Monika. W swoich wypowiedziach podkreśla, że wyrosła w domu inteligentnym, że otrzymała dobre wychowanie. Jakoś nigdy nie zdobyła się na refleksję, kto mieszkał wcześniej w jej wakacyjnym domu i dlaczego go opuścił.

„Ważnym miejscem jest dla mnie nasz stary dom na Mazurach, poniemieckie gospodarstwo z lat dwudziestych. Pierwszy raz przyjechałam tam, będąc w brzuchu mamy. Odtąd co roku spędzam tu wakacje. Kiedy byłam studentką, zawsze zdawałam egzaminy w „zerówce” i szczęśliwa już pod koniec maja jechałam na Mazury i siedziałam tu do końca września. Gospodarstwo – ani luksusowe, ani duże – tuż nad jeziorem ma mały pomost porośnięty szuwarami. Woda każdego dnia pachnie inaczej, a ja pływam bez względu na pogodę, najchętniej, gdy pada deszcz. Woda wydaje się ciepłsza, a jej zapach nieziemski. Uwielbiam starą oborę z czerwonej cegły, która stoi tuż obok domu. Przecieką w niej dach, ale uparcie go łatam omszałymi dachówkami, które odkupuję z rozebranych domostw. Gdybym pokryła dach nowym gontem, straciłby duszę. Niestety, kilka lat temu, kiedy przez mazurskie działki przetoczyła się fala kradzieży, straciłszy wiele pięknych przedmiotów, między innymi kolekcję babci: żelazka na węgiel i moździerz. Na podwórku rosną stuletnie lipy. Stoi też myśliwska ambona. Zaprzyjaźnieni leśnicy zbudowali ją dla Gucia. Podczas spacerów po lesie zawsze się na nią wspinał. Teraz, gdy podrośł, ma inne sprawy, ja ją przejęłam. Kiedy pada, chowam się tu z książką i kubkiem herbaty. Czytam, patrzę na jezioro. Dla mnie to jest właśnie szczęście”.

Kiedyś zaprosił zagranicznych przyjaciół na kolację. Oczywiście gotować jej nie zamierzał, namawiał rozmaitych potraw i wyjechał na dwa dni do Londynu. Powrócił w dniu imprezy. Podano potrawy, m.in. barszcz, który wzbudził ogólny aplauz. Wówczas Konstanty Aleksander Jeleński stwierdził, że zupa smak zawdzięcza temu, iż gotował ją przez 48 godzin. Zapytany o to, jakim cudem, skoro był w Londynie, odparł, że... zostawił na ten czas garnek na bardzo małym ogniu.

Magdalena Złotnicka
dziennikarka TVP3 Warszawa



Polski Kot na salonach Europy



Zastępca dyrektora Protokołu Dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Konstanty Jeleński (z prawej) w towarzystwie radcy Ministerstwa Spraw Zagranicznych Zdzisława Szczerbińskiego.

Historię z barszczem wspominał na łamach „Zeszytów Literackich” (1998, nr 61) Rafael Martínez w tekście zatytułowanym „Dni z Kotem” (tekst przetłumaczony przez Wojciecha Karpińskiego). Kot – tak bowiem zdrobniale mówiono o Konstantym – nie napisał żadnego *opus magnum*. Zostało po nim nieco esejów, listów i szkiców literackich. Dlaczego więc warto przypomnieć jego sylwetkę? Po pierwsze dlatego, że choć stał w cieniu, to w słońce wypychał innych, promując tym samym na świecie polską literaturę, a po drugie dlatego, że będąc Europejczykiem pełną gębą, nie zaprzestał być zarazem Polakiem – w pewnym sensie stanowił model i Polaka, i Europejczyka. W podobnym duchu o postaci Jeleńskiego wypowiadał się Piotr Kłoczowski, eseista i wydawca, który wybrał i opracował eseje Jeleńskiego „Chwile Oderwane”, w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym” („Inteligencja Serca”, 20 kwietnia 2008 r.). „Jego postać może być swego rodzaju odpowiedzią na trudną sytuację, którą przeżywamy dzisiaj z naszą tożsamością, miejscem w Europie” – mówił. I przypominał opinię Witolda Gombrowicza, który powiedział, że jeśli za „Dziennikiem” kryje się jakaś realna postać, to tym kimś jest właśnie Konstanty Jeleński.

► Wszechstronny rozwój z francuskim w tle

Można półzartem stwierdzić, że już sam rodowód Jeleńskiego skazywał go niejako na Europę właśnie. Na świat przyszedł 2 stycznia 1922 roku. Jego ojciec, również noszący imię Konstanty, był dyplomatą. Anna Bernat na łamach „Życia” („Natura Kota”, 28 stycznia 1997 r.) opisywała rodzinę Konstantego seniora jako katoliczką i konserwatywną. Jeleńscy wywodzili się z dawnych rodów litewskich. Z kolei Skarzyńscy, z których pochodziła matka Kota, Teresa (zwana Reną), pochodzili z Mazowsza. Bernat podkreśla, że familia matki była nowocześniejsza, o ciągłości artystycznych.

Tak wygląda oficjalny rodowód Kota, pojawiają się jednak pewne wątpliwości. Rena, kobieta bez wątpienia nie tylko piękna, lecz także inteligentna, wzbudzała zainteresowanie wielu mężczyzn. Joanna Siedlecka wspomina na łamach „Pani” („Dziennik Kota”, lipiec 1996 r.), że Teresa, już po zawarciu związku małżeńskiego z Konstantym seniorem, przeżyła romans z hrabią Carlem Sforzą, włoskim dyplomatą i ministrem spraw zagranicznych. Z Reną poznać miał się w Rzymie, w czasach gdy towarzyszyła Konstantemu seniorowi, wówczas sekretarzowi polskiego poselstwa. Siedlecka zaznacza, że Konstanty junior przyszedł na świat mniej więcej w tym czasie, a ponadto legalny syn Carla, Sforzino Sforza, całe życie pozostawał w bliskich relacjach ze swoim domniemanym przyrodnym bratem.

Wojciech Karpiński, który Jeleńskiemu poświęcił rozdział w swoich „Książkach Zbojeckich”, podaje, że w czasie, w którym Jeleńscy przebywali w na placówce w Rzymie, młodego Konstantego wychowywała babcia, Maria Magdalena z Czarnowskich, zwana Manetą. Jak wyglądało dzieciństwo młodego Konstantego? Prawdopodobnie tak jak wszystkich chłopców z tak zwanych dobrych domów w tym czasie, to znaczy zapewniano im wszechstronny rozwój, a język francuski był w domu używany na tyle często, że dzieci przyswajały go nie przez naukę, lecz mimochodem, przez osłuchanie się.

W 1933 roku młody Kot został uczniem Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie. Do klasy z nim chodził przyszły poeta Krzysztof Kamil Baczyński, a na korytarzach szkolnych mógł się mijać z Tadeuszem Zawadzkim, czyli legendarnym „Zośką”, oraz innymi batorakami, upamiętnionymi w książce Aleksandra Kamińskiego „Kamienie na szaniec”. W „Batorym” uczył się do 1936 roku, do liceum uczęszczał już gdzie indziej – naukę kontynuował w I Liceum im. Sułkowskich w wielkopolskiej Rydzynie. Była to eksperymentalna placówka z internatem, słynąca z bardzo wysokiego poziomu nauczania. W 1939 roku, tuż przed II wojną światową, Kot zdał maturę.

► Wieniawa i Maczek

Choć wojenna rzeczywistość wdarła się w życie Kota tak samo jak w egzystencję wielu rówieśników, pod okupacją nie spędził zbyt wiele czasu. Jak podaje Karpiński, już w grudniu 1939 roku wraz z matką wyjechał z Polski do Włoch. Było to możliwe dzięki wpływom włoskich przyjaciół rodziny.

Od maja 1938 roku ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Rzymie był Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Chociaż powszechnie znana jest anegdota o tym, że trafił tam przez pomyłkę – prezydent Ignacy Mościcki po jakimś kolejnym pijackim wybryku dawnego adiutanta marszałka Piłsudskiego miał stwierdzić, że wysłał go do kryminalu, a szef protokołu dyplomatycznego usłyszał „do Kwirynału” i wysłał Wieniawę na placówkę w Rzymie, gdzie znajduje się wzgórze Kwirynał – to jednak Długoszowskiemu na posadzie udało się utrzymać do czerwca 1940 roku. Właśnie w Rzymie los skrzyżował go z Konstantym Jeleńskim. Kot przez trzy miesiące pełnił funkcję prywatnego sekretarza ambasadora.

Może to wpływ legendarnego wojaka, a może inne względy zdecydowały o tym, że Kot wiosną 1940 roku postanowił się zaciągnąć. Trafił do oddziałów polskich we Francji, konkretnie – do artylerii przeciwlotniczej.

Starcie francusko-niemieckie 1940 roku skończyło się klęską, a Jeleński trafił do Wielkiej Brytanii. Karpiń-

ski podaje, że początkowo był tłumaczem w Gask House, kwaterze polowej generała Władysława Sikorskiego. Mniej więcej w tym czasie miał również okazję do uzupełnienia luk w edukacji – kształcił się na Saint Andrews i w Oxfordzie. Później trafił do Pierwszej Dywizji Pancernej generała Maczka.

Stefan Kisielewski, który Jeleńskiego w swoim „Abecadle” nazywa „niewyzyskanym geniuszem”, wspomina, że w czasach, kiedy Kot był oficerem u Maczka, pod jego komendą służył Anglik nazwiskiem Herbert, „arystokrata, katolik, pederasta”. Tenże Herbert, władający polskim, litewskim i ukraińskim, z zabawnym zresztą akcentem, był bardzo zakochany w Polsce. Miłości tej dawał wyraz m.in. w ten sposób, że jakoś skołował sobie mundur przypominający ułański. W Bredzie, podczas świąt Bożego Narodzenia, pobożny Anglik udał się na pasterkę, a z niej... do knajpy, w której wojenną Wigilię świętowali zarówno polscy, jak i angielscy żołnierze. „Że w mundurze dziwnym, mówi po polsku dziwnie, potem wyjął portfel, a tu cała harmonia funtów szterlingów... no więc coś nie tego” – pisał Kisiel. Zaniepokojeni żołnierze zawiadomili żandarmów, a ta zwinęła nieszczęsnego polonofila jako szpiega. Po dwóch dniach wszczął się raban, Jeleński więc przyjechał, ale jak pisze Kisielewski, „Herbert już miał wybite wszystkie przednie zęby przez tych żandarmów... bo nie przyznawał się do niczego”.

Wraz z dywizją Maczka Jeleński latem 1944 roku wrócił do Francji. W 1945 roku trafił do Rzymu. W wojsku pozostawał do roku 1948.

► Giedroyc, Czapski i „Kultura”

Wspomniana już Anna Bernat zaznacza, że dzięki Józefowi Czapskiemu, polskiemu malarzowi i pisarzowi, autorowi „Na nieludzkiej ziemi”, Jeleński zaczął współpracować z paryską „Kulturą”. Sam Czapski, który od 1946 roku mieszkał we Francji, był jednym ze współtwórców tego wydawnictwa, do śmierci mieszkał zresztą w domu, w którym redakcja się mieściła. Choć oczywiście kiedy mówimy: paryska „Kultura”, to automatycznie myślimy (i słusznie!) Jerzy Giedroyc.

Czym Jeleński zajmował się w „Kulturze”? Przede wszystkim wykorzystywał swoje zdolności językowe, a władał doskonale kilkoma językami. Karpiński zaznacza, że na łamach czasopisma prowadził coś, co dziś nazwalibyśmy „przeglądem prasy zagranicznej i nowości książkowych”. Rola Kota musiała być znaczna. Kisielewski pisze o nim wręcz jako o podporze „Kultury”. Zarazem dodaje, że w pewnym momencie Jeleński i Giedroyc się poróżnili, choć nie wyjaśnia o co. Dodaje za to, że od tamtego czasu Kot coraz bardziej się oddalał, a ostatecznie można było go tam spotkać bardzo rzadko. Niezależnie od tego, jak układały

się jego relacje z Giedroyciem, z Czapskim przyjaźnił się całe życie.

W czerwcu 1950 roku w Berlinie zawiązał się Kongres Wolności Kultury. Wśród inicjatorów jego powstania znalazł się m.in. Arthur Koestler, autor wstrząsającej powieści „Ciemność w południe”, opisującej czystkę lat 1934–1939 w Związku Sowieckim. Wśród Polaków, którzy włączyli się w działalność Kongresu, byli Józef Czapski, Jerzy Giedroyc, a także właśnie Konstanty Jeleński, który – jak podaje Bernat – dostał pracę w sekretariacie Kongresu. Instytucja ta miała także swój organ prasowy. Jak podaje Andrzej Wat w tekście „Czarna Leonor – Srebrny Konstanty” (zamieszczonym w „Zeszytach Literackich” w 2011 r. fragmencie szkicu z katalogu wystawy „Leonor Fini i Konstanty A. Jeleński. Portret podwójny”), czasopismo owo nosiło nazwę „Preuves” i miało znaczący wpływ na informowanie zachodnich polityków i intelektualistów o tym, co dzieje się za żelazną kurtyną. Jeleński był jednym z redaktorów czasopisma. Jak go zapamiętali ci, którzy

Poznali się przez znajomego. Aleksandra Klich na łamach „Wysokich Obcasów Extra” (maj 2012 r.) twierdzi nawet, że miała to być schadzka. Dalej opisuje, że gdy Konstanty się spóźniał, poirytowana Fini wyszła na ulicę. On przybył chwilę potem, a nie zastawszy malarzki, podążył za ciężkim zapachem perfum unoszącym się w powietrzu. I tak odnalazł ją na ulicy.

Niezależnie od tego, ile prawdy, a ile legendy jest w historii o początkach ich znajomości, uczucie musiało być silne. W 1952 roku Kot przyjechał do Paryża. Choć oficjalnie chodziło przede wszystkim o podjęcie pracy w Kongresie Wolności Kultury, to Wojciech Karpiński w eseju „Rue de la Vrilliere i okolice” („Zeszyty literackie” nr 61, 1998 r.) zaznacza, że motywy tej decyzji były przede wszystkim osobiste – chodziło o Leonor. Nie bez znaczenia pozostaje także fakt, że by przenieść się z Rzymu do Paryża, Konstanty porzucił dobrą posadę we Włoszech. Smaczku całej historii dodaje fakt, że we Francji mieszkali we troje – Leonor, Konstanty oraz Stanisław Lepri, włoski arystokrata, który pod wpływem

CHOĆ WOJENNA RZECZYWISTOŚĆ WDARŁA SIĘ W ŻYCIE KOTA TAK SAMO JAK
W EGZYSTENCJĘ WIELU RÓWIEŚNIKÓW, POD OKUPACJĄ NIE SPĘDZIŁ ZBYT WIELE CZASU.
JUŻ W GRUDNIU 1939 ROKU WRAZ Z MATKĄ WYJECHAŁ Z POLSKI DO WŁOCH.

znali go w tamtych czasach? Piotr Kłockowski przytaczał wspomnienia François Bondy'ego, który wraz z Jeleńskim redagował „Preuves”. Otóż wspomina on, że sam był przez Kota doskonale rozumiany, wręcz przejrzysty. Zarazem jednak w Jeleńskim zawsze pozostawało coś nieodkrytego, nieuchwytnego, nigdy nie dawał się poznać do końca.

Być może zagadkę, jaką był, udało się rozszyfrować Leonor Fini, włoskiej malarce, największej miłości Jeleńskiego.

► Do Francji za miłością

„Fotografie przedstawiają kobietę o oryginalnej, nieco demonicznej urodzie, wielkich, podkreślonych jeszcze makijażem, lśniących oczach” – pisał o zdjęciach ukochanej Jeleńskiego Piotr Szarota w tekście „W poszukiwaniu Leonor Fini”, zamieszczonym na łamach „Zeszytów Literackich” (1998 r., nr 61). Znacznie starsza – urodzona w 1907 roku – włoska malarzka była obecna w życiu Konstantego aż do jego śmierci.

wem Leonor porzucił karierę w dyplomacji i zajął się... malarstwem surrealistycznym.

Życie tego artystycznego towarzystwa było mocno ekscentryczne, trudno więc się dziwić, że Rena Jeleńska nie pałała namiętną sympatią do wybranki Kota. Ponadto sytuację dodatkowo skomplikował fakt, że druga z ważnych kobiet Jeleńskiego także zamieszkała w Paryżu. Maria Iwaszkiewicz wspomina („O Kocie Jeleńskim i jego bliskich” „Zeszyty literackie”, 2009 r.), że kiedy Rena zaczęła chorować, syn po prostu kupił jej mieszkanie w stolicy. „Bardzo szarpał się ze swoimi do niej uczuciami. Przede wszystkim pani Jeleńska nie znosiła towarzyski jego życia. [...] Mówiła o niej najgorsze rzeczy, marzyła o innym małżeństwie dla Kota” – zaznaczała córka Jarosława Iwaszkiewicza.

Sytuacja musiała być faktycznie męcząca, zwłaszcza że Konstantemu i Leonor też zdarzały się kłótnie, a kiedy już do nich dochodziło, przebieg miały raczej dramatyczny. Piotr Szarota przywołuje wspomnienie jednego ze znajomych pary. Richarda Overstreeta („Gazeta Wyborcza”, 9 grudnia 2000 r.). Otóż kiedy trwały przygotowania

do wystawy Leonor w Muzeum w Luksemburgu, jej ukochany zwrócił uwagę, że jeden z obrazów mniej mu się podoba i że może nie ma sensu, by znalazł się na ekspozycji. Malarka dostała szału, zaczęła wyzywać Jeleńskiego od idiotów, zarzucała mu, że tak naprawdę to on jej nienawidzi.

Nie była to zresztą jedyna awantura, a mimo to para doskonale się uzupełniała, bo ostatecznie, nawet po wielogodzinnych kłótniach, zawsze potrafili znaleźć porozumienie. Do najszcześniejszych chwil musiały z pewnością należeć te na Korsyce, na której spędzali czas w towarzystwie Stanisłao i licznych przyjaciół. Wspomniany już Martinez pisał, że Kot miał obyczaj wstawać o świcie tylko po to, by patrzeć, jak słońce wschodzi nad górami za zatoką Saint Florent i podziwiać przeloty nietoperzy. Miał też zamiłowanie do kuchni. Ze wspomnień Martineza wynika, że często goszczących na wyście znajomych Jeleńskiego budził świąd. Okazywało

W 1955 roku Jeleński powołał Komitet Pomocy Twórcom z Europy Wschodniej (późniejsza Fundacja Europejska dla Intelktualnej Samopomocy). Jak podaje Anna Bernat, władze Polski Ludowej okrzyknęły go wówczas agentem CIA.

Nie jest jednak tak, że nazwiska Konstantego Jeleńskiego nie można znaleźć na łamach polskiej prasy z czasów PRL. Na początku 1966 roku na łamach „Kultury” – tak zwanej „warszawskiej Kultury”, pisma powstałego w 1963 roku z połączenia „Nowej Kultury” i „Przeglądu Kulturalnego”, nie mylić z „Kulturą” paryską! – opublikowana została dyskusja dotycząca wydania „Antologii poezji polskiej” w opracowaniu Jeleńskiego właśnie, a wydanej przez jedno ze znanych wydawnictw francuskich, Editions du Seuil (uczestniczyli w niej m.in. Julian Przyboś i Artur Sandauer). Pojawiły się zarzuty niestaranności. Warto zarazem podkreślić, że do publikacji „Kultury” odniósł się na łamach „Tygo-

LEONOR POMAGAŁ PRZY ORGANIZOWANIU WYSTAW, OMAWIAŁ POSZCZEGÓLNE OBRAZY I PROCES TWÓRCZY, GOMBROWICZOWI, MIŁOSZOWI I ALEKSANDROWI WATOWI POŚWIEÇAŁ SVOJE TEKSTY, WYSTAWIAŁ ICH ŚWIATU, SAM POZOSTAWAŁ W CIENIU.

się, że Kot, ranny ptaszek, zabierał się do przyrządzenia czy to ciasta, czy kompotu. Po czym siadał do stołu, by odpisać na listy, i definitywnie zapominał o postawionej na ogniu potrawie.

Leonor bardzo źle zniosła śmierć Konstantego, którego przeżyła aż o dziewięć lat. Zmarła w 1996 roku.

► Agent CIA według Polski Ludowej

Nie wybiegajmy jednak w przyszłość i wróćmy do Jeleńskiego. Choć pozostał za granicą, nie przestał interesować się światem za żelazną kurtyną.

„Europa miała w jego rozumieniu własne siły i powinna poczuwać się do własnej solidarności” – mówił podczas Mszy św. za duszę Jeleńskiego w rocznicę jego śmierci ksiądz Janusz Stanisław Pasierb (tekst kazania przedrukowany w „Więzi”, styczeń 1988 r.) I podkreślał, że wszystko co robił Kot, czym się zajmował, miało na celu „budowanie mostów wewnątrz Europy, łączenie rozdzielonych języków artystycznych, duchowych, kulturowych i także języków »słownikowych«, jeśli tak można powiedzieć”.

dnika Powszechnego” (30 stycznia 1966 r.) tłumacz i publicysta Jacek Woźniakowski. Zaznacza, że chociaż owo „ambitne, pracowite, na dużą skalę zakrojone dzieło” nie we wszystkim się udało, to zarazem „jest faktem oczywistym, że antologia Jeleńskiego udała się przynajmniej w części: są w niej na pewno – to stwierdzają nawet półgębkiem rzeczoznawcy z »Kultury« – wcale liczne, piękne polskie wiersze, pięknie przetłumaczone i po raz pierwszy trafiające do czytelnika francuskiego”.

Nawiasem mówiąc, warto wspomnieć o roli, jaką w tworzeniu tej antologii odegrał Jeleński. Otóż wiersze ponad stu polskich poetów – od Mikołaja Reja do Stanisława Grochowiaka i od Jana Kochanowskiego do Jarosława Rymkiewicza – przekładane były przez pięćdziesięciu trzech tłumaczy, w tym znanych poetów francuskich. Problem polega na tym, że większość z nich polskiego nie znała. Na podstawie czego więc tłumaczyli? Otóż na podstawie dosłownych, filologicznych przekładów, których na francuski dokonał właśnie Konstanty Jeleński!

Antologia, w której znalazły się wiersze pokazujące szerokie spektrum literatury polskiej, to niejedyny

wkład, jaki Jeleński miał w promowanie kultury swej ojczyzny na świecie. Witold Gombrowicz, autor „Trans-Atlantyku”, w swoim „Dzienniku” pisał, że wszystkie wydania jego dzieł, jakie ukazały się w językach obcych, powinny zawierać pieczętą z adnotacją „dzięki Jeleńskiemu”. Nawet jeśli Gombrowicz nieco przesadzał, to niewiele. To bowiem właśnie dzięki życiowemu partnerowi Leonor Fini Europa Zachodnia miała okazję zapoznać się z twórczością Witolda Gombrowicza, to za jego staraniem Francuzi mogli przeczytać dzieła autora „Trans-Atlantyku”. Zresztą tę akurat pozycję, podobnie jak dramaty „Iwona, księżniczka Burgunda”, „Historia” i „Operetka”, Jeleński na francuski przełożył osobiście. „Miał właściwie olbrzymie wpływy w paryskim świecie intelektualnym, starał się je dla Polski wyzyskiwać” – wspominał Stefan Kisielewski w „Abecadle”.

Z kolei książd Pasierb podkreślał, że Kot „był jednym z tych Polaków, którzy nie pozwalają na to, żeby Polska przestała być częścią głównego łądu”. I przypominał, że Jeleński nie tylko wprowadzał do literatury światowej utwory Gombrowicza, Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta, lecz także pisał o malarstwie Józefa Czapskiego i Jana Lebensteina. „Nie czynił tego tylko dla Polski, był przekonany, że jest to równocześnie działanie na rzecz pełnej, nie amputowanej Europy, tak jak to widzi również Jan Paweł II” – zaznaczał kapłan.

Cytowana już Maria Iwaszkiewicz wspominała, że wybitny dar Jeleńskiego polegał na tym, że potrafił rozmawiać ze wszystkimi. Jej samej w pamięci utkwiło spotkanie z Kotem w Wenecji. Znajomy ojca zabrał Iwaszkiewiczównę do knajpy przy placu Świętego Marka, zwącej się „Americano”, a znanej przede wszystkim z tego, że niegdyś przesiadywał w niej Ernest Hemingway. „Pamiętam, że mieliśmy bardzo zasadniczą rozmowę o polityce. Niestety, muszę przyznać, pewnie potwornie się mądrzyłam” – pisała Iwaszkiewiczówna.

Także Kisiel podkreślał, jak dobrze rozmawiało mu się z Jeleńskim. „Najprzyjemniej było z nim pójść na obiad: dwie godziny rozmowy, błyskotliwej szalenie, ale pod dwóch godzinach się męczył i szedł spać” – wspominał Kisiel.

Interesujący jest stosunek Jeleńskiego do wiary. Przez całe swoje życie był nie tylko liberałem, lecz także ateistą, początkowo nawet ateistą wojującym. Jednak książd Pasierb podczas nabożeństwa za duszę Kota stwierdził, że ten od kilku lat zbliżał się do Kościoła. „Zbliżał się i myślę, że to, co mówi Pan Jezus w dziesiętej Ewangelii – jeśli ktoś jest spragniony, niech przyjdzie do mnie i pije – że to się nad Konstantym spełniło. Od huczacej od głosów paryskiej wieży Babel Konstanty szedł ku ciszy Wieczernika” – uważał. Podkreślał ponadto, że Jeleński budując kulturę Europy, budował zarazem kulturę dla osób żyjących w kręgu chrześcijaństwa, „jest znakiem eschatycznym, jest zapowiedzią

i budowaniem owych dwóch miast – Jerozolimy ziemskiej i niebieskiej”. „Całe życie budował kulturę europejską. O tę budowę walczył, walczył jako Polak za Europę, o Europę tak łatwo poddającą się barbarzyństwu i demonizacji”.

► Na drugim planie

W ostatnim okresie życia, od 1976 do lutego 1987 roku, Jeleński był doradcą Institut National de l'Audiovisuel. Zmarł trzy miesiące po przejściu na emeryturę, 4 maja 1987 roku, po krótkiej chorobie. Czesław Miłosz pisał o ostatnich latach Kota, że nie rozumie, dlaczego Jeleński zaczynał wyglądać staro. „Mógł być tylko młody, starość była dla niego nieestosowna. Młody, przystojny, obyty w świecie, śmiały, bardzo męski, czarujący w rozmowie, władający czterema językami, intelektualista, znawca nowoczesnego malarstwa” – pisał (cyt. za Piotr Kajewski, „Listowność”, „Odra”, listopad 2011 r.).

Z kolei Joanna Siedlecka we wspomnianym już artykule o Renie Jeleńskiej przytacza wspomnienie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który na łamach „Rzeczpospolitej” opowiadał o tym, że przed śmiercią Kot zaczął otwarcie mówić o swoim pokrewieństwie ze Sforzą. Więcej – jako że był bardzo podobny do tego włoskiego arystokraty, tak jak on zapuścił brodę.

„Stosunkowo mało pisał, doskonały krytyk” – podsumował Jeleńskiego Kisiel. Rzeczywiście, za życia Kota w jego ojczystym języku ukazał się jedynie, w 1982 roku, zbiór szkiców literackich „Zbiegi Okoliczności”. Sam Jeleński zaznaczał zresztą, że de facto nigdy nic nie napisał sam z siebie, ale zawsze było to na mniej lub bardziej wyraźne zamówienie. „Należę do pokolenia ludzi małych pism literackich, dla których artykuł był często rodzajem rozwiniętego listu do bardzo wąskiej grupy czytelników, z których bardzo wielu się знаło osobiście, którzy czytali te same książki, interesowali się tymi samymi problemami” – pisał (cyt. za Jacek Błach, „Rachunki za hojność”, „Dekada Literacka” 2008 r.). O tym, jak dobrze potrafił pisać listy, można się zresztą przekonać. W 2003 roku ukazały się jego „Listy z Korsyki”, korespondencja z Józefem Czapskim.

Gdy spojrzysz na życie Jeleńskiego, można jednak zauważyć, że zostało po nim tak mało twórczości także z tej przyczyny, że wobec innych twórców cały czas pozostawał na drugim planie w sposób celowy. Tak było z Leonor, której pomagał przy organizowaniu wystaw, z którą omawiał poszczególne obrazy i proces twórczy, tak było z Gombrowiczem, Miłoszem i Aleksandrem Watem, którym poświęcał swoje teksty, których wystawiał światu, sam pozostając w cieniu. Widać wyraźnie, że od własnej kariery ważniejsze dla Kota było propagowanie sztuki, którą uważał za dobrą. Nieczęsta postawa wśród ludzi sztuki. ■

Agnieszka Kowalczyk

CHOCIAŻBYM CHODZIŁA CIEMNĄ DOLINĄ, ZŁA SIĘ NIE UŁĘKNĘ

Męki fizyczne i psychiczne, jakich Zofia Łuszczkiewicz doświadczyła przez wszystkie lata przebywania w ubeckich katowniach, odcisnęły na niej niezatarte piętno – na zawsze utraciła zdrowie. Jej ciało zżerała gruźlica kostnowstawowa i rak złośliwy szczęki, który rozwijał się w miejscu wybitych na przesłuchaniu zębów. Na wolności wyznała jednak: „Jestem poważnie chora. [...] Bogu się jednak oddałam, tak jak czyniłam to zawsze podczas ośmiu lat więzienia, i jestem spokojna”. Jej ziemską wędrówka, znaczone czynieniem dobra i cierpieniem, zakończyła się 8 sierpnia 1957 roku, niedługo po opuszczeniu więziennych murów.

W sierpniowy poranek 1948 roku rozświetlone słońcem ulice Wadowic przemierzała samotnie około pięćdziesięcioletnia kobieta w czerni, z zawieszonym u pasa różańcem i ogromnym białym kometem na głowie, który skutecznie zasłaniał jej kruczoczarne włosy. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że to zakonnica ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. I gdy tak szła zatopiona w swych myślach, z naglej drogi zjechał jej samochód, z którego w okamgnieniu wyskoczyli umundurowani mężczyźni. Nie było czasu na żadne pytania i wyjaśnienia. Zmuszona wsiąść do auta zaczęła szukać odruchowo dokumentów i tłumaczyć, że przyjechała tu po jakieś rzeczy dla przedszkola. „Papiery nie będą potrzebne, siostró Izabelo, a może Zofio Łuszczkiewicz” – oznajmiono jej tonem niepozostawiającym żadnych złudzeń. Wtedy poczuła, że pali się jej grunt pod nogami.

► W potrzasku

Całe jej życie wypełniała dotąd służba Bogu, ojczyźnie i drugiemu człowiekowi. W młodości zgłębiała nauki przyrodnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem skończyła jeszcze Wyższą Szkołę Pielęgniarską w Paryżu, biegle władała językami obcymi i podróżowała po świecie, uczestnicząc w międzynarodowych kongresach pielęgniarskich i wystawach medycznych. Przede wszystkim zaś była siostrą zakonną, szarytką, która oprócz trzech ślubów złożyła i czwarty – służby ubogim i chorym. Tym najbardziej potrzebującym poświęcała się w szpitalach w Bordeaux, Paryżu, Lwowie, Rzeszowie i Krakowie, a w Zebrzydowicach prowadziła ochronkę dla sierot. W burzliwych latach okupacji Zofia była żołnierzem Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, a w czasach komunistycznych łączyła ją ścisła współpraca z Delegaturą Sił Zbrojnych na Kraj oraz z Zrzeszeniem „Wolność i Niezawisłość”. Za swoją działalność niepodległościową zapłaciła cenę najwyższą.

Gdy więc zasadzka udała się, ubeci mieli zakonnice w garści. Dawno już minęli Wadowice, pędząc w stronę Krakowa, a każdy minięty zakręt zbliżał przerażoną Zofię ku jej przeznaczeniu. Wieziono ją na plac Inwalidów, do aresztu śledczego UB, a stamtąd do więzienia na Montelupich. Z chwilą, gdy „ubecka góra” dowiedziała się o skończonym polowaniu na szarytkę, natychmiast wszczęto śledztwo w jej sprawie i wydano nakaz przeniesienia pojmanej do Warszawy. Przeczując, że nie uniknie swojego losu, kierowała myśli ku Bogu i Jemu się zawierzała. „Chociażbym chodziła ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną” – powtarzała krzepiące słowa psalmu najpierw w celi na Montelupich, a potem na Rakowieckiej w Warszawie. Tam dopiero, jak pisze Szymon Nowak, poczuła

prawdziwy strach. „czarny cień Złego jawił się w ciemnościach piwnicznych lochów, pośród wysokich ścian i murów, w każdym kącie tego przybytku ludzkiego cierpienia. Nocą słychać było zwierzęce wycie ludzi obdzieranych żywcem ze skóry. Odgłos ten wielokrotnie odbijał się echem w długich pośpnych korytarzach”. Ona zaś, samotna w swej mrocznej celi, skupiająca w sobie bezmiar ludzkiego cierpienia, szukała Boga w cichej modlitwie, wiedząc, że i na nią przyjdzie godziła ciężkiej próby.

► Jak Zofia została Izabelą

Przymusowe odosobnienie było dla Zofii czasem zanurzenia się we własnym wnętrzu. Wspomnienia, którymi karmi się wyobraźnia, odżyły teraz ze zdwojoną siłą. Tyle minionych chwil miało dla Zofii tak krzepiący ładunek dobra i ciepła, że stały się jej tarczą obronną wykutą w sercu i pamięci. Te najpiękniejsze wiązały się z ukochanym rodzinnym domem. Przyszła na świat w Krakowie 1898 roku jako pierwsze z pięciorga dzieci adwokata Michała Łuszczkiewicza i Kazimierzy z domu Łakocińskiej. Była dzieckiem kochanym, oczkiem w głowie rodziców. Wśród swoich antenatów miała ludzi znanych, a nawet wybitnych, zasłużonych dla podwawelskiego grodu i dla rodzimej sztuki. Jej dziadek Antoni Łuszczkiewicz był cenionym architektem, budowniczym pałacu Juliana Dunajewskiego i Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego, a jego brat Władysław zasłynął jako utalentowany malarz, historyk sztuki, muzeolog i konserwator zabytków, mistrz Matejki, Grottgera i Wyspiańskiego. Na swoich płótnach ukazywał postacie słynnych Polaków, wśród nich Kazimierza Wielkiego, Jana z Czarnolasu, Zygmunta Augusta z Barbarą, oraz ważne sceny z naszych narodowych dziejów – obronę Częstochowy, chrzest Litwy, tryumfalny wjazd Polaków do Moskwy. Ta sama krew płynęła i w Zofii – po swoich przodkach odziedziczyła pęd ku wiedzy i jakąś niewyczerpaną siłę życiową, która nigdy nie pozwalała jej spocząć. Ambitna, otwarta na świat, uzdolniona językowo, po ukończeniu gimnazjum siostr urszulanek rozpoczęła studia przyrodnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, uczęszczając jednocześnie na wykłady z pedagogiki i filozofii. Jako urodzona poliglotka biegle mówiła po angielsku, francusku, niemiecku, dobrze znała łacinę. Od zawsze kierowała nią potrzeba poszukiwania tych, których winno się wspierać, dźwigać z upadku, pocieszać, leczyć... Dlatego też naukę usiłowała godzić z pracą społeczną w Związku Dziewcząt Polskich i w ambulatorium medycznym, niosąc pomoc ofiarom I wojny światowej. Ukończyła nawet kursy sanitarne, by podczas wojny polsko-bolszewickiej zgłosić się jako ochotniczka do służby pielęgniarskiej.

Kiedy była już najzupełniej pewna swego życiowego wyboru, w 1923 roku wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia w Krakowie, przechodząc drogę religijnego wtajemniczenia w domu św. Kazimierza we Lwowie, a potem w macierzystym Zgromadzeniu w Paryżu. Śluby zakonne złożyła 8 września 1928 roku i odtąd miała stać się dla świata siostrą Izabelą. Po powrocie do ojczyzny swoją życiową przystań odnalazła w Szpitalu Powszechnym we Lwowie, w którym pracowała najpierw jako zwykła pielęgniarka na oddziale neurologicznym, a następnie jako dyrektor i wykładowca szkoły pielęgniarskiej. Przez cały czas troszczyła się o wysoki poziom powierzonych jej placówek, utrzymywała kontakty z Wyższą Szkołą Pielęgniarską w Paryżu, której była absolwentką, usiłując przeszczepić na rodzimym gruncie najnowsze rozwiązania medyczne. Dlatego można ją było zobaczyć na międzynarodowych zjazdach pielęgniarek w Paryżu, Londynie, Wiedniu i Wilnie, a nawet na światowej wystawie medycznej w Nowym Jorku. Podczas pobytu w Ameryce nie tylko szkoliła się i odbywała praktykę szpitalną, lecz także zrobiła uprawnienia kinooperatora i zakupiła projektor, by we lwowskim szpitalu móc potem organizować seanse filmowe dla pacjentów. Miała zresztą i inne talenty – pięknie śpiewała i grała na fortepianie, uwielbiała fotografować, nie mówiąc już o tym, że zdobyła prawo jazdy na samochody osobowe i ciężarówki.

► Walka ze złem świata tego

Gdy w sierpniu 1939 roku z ambasady amerykańskiej doszły ją słuchy, że nad światem zawisła groźba wojny, rzuciła wszystko i natychmiast wróciła do Polski. We Lwowie było wtedy bardzo niebezpiecznie. Enkawudziści urządzali polowania na polskich patriotów i siostra Izabela w każdej chwili mogła wpaść w ich ręce. W przebraniu służącej i pod fałszywym nazwiskiem zdołała jakimś cudem wydostać się z miasta i „po dramatycznej podróży przez sowiecko-niemiecką linię demarkacyjną” trafiła do Krakowa. Przeznaczeniem jej było zмагаć się ze złem wojny na ojczystej ziemi. Władze zakonne wysłały ją do Zebrzydowic, gdzie nie tylko opiekowała się sierotami, lecz także wstąpiła do podziemia, podejmując ścisłą współpracę z Armią Krajową i Batalionami Chłopskimi. Jako kurierka krążyła na trasie Zarzyce–Kraków, zapewniała łączność między oficerami i dowódcami tajnych oddziałów Grupy Operacyjnej AK „Śląsk Cieszyński” – „Sękiem”, „Dębem”, „Lepem” i „Szczerbą”. Prowadziła nasłuch radiowy komunikatów płynących z Londynu, tłumaczyła audycje z angielskiego i na ich podstawie redagowała specjalne gazetki informacyjne rozpowszechniane wśród miejscowej ludności. Przejmowała i ukrywała alianckie zrzuty z lekarstwami, narzędziami chirurgicznymi

i materiałami opatrunkowymi, które trafiały do krakowskiego podziemia i do partyzantów ukrywających się w okolicach Kalwarii Zebrzydowskiej. Sama prowadziła niezbędne szkolenia pielęgniarskie i opiekowała się rannymi. Pomagała Żydom, organizując dla nich schronienie, fałszywe papiery oraz wszystko, co konieczne do przeżycia. Jej znajomość niemieckiego okazała się nieoceniona, gdy przyszło ratować niejednego nieszczęśnika przed wywózką na przymusowe roboty do Rzeszy.

„Wszystko szło znakomicie. Praca konspiracyjna kwitła w najlepsze, prawie pod nosem okupanta, a szczęście nie opuszczało siostry Izabeli” – pisze Szymon Nowak. Boska Opatrzność czuwała nad nią nawet wtedy, gdy na początku 1944 roku Niemcy dokonali nalożu na klasztor w Zebrzydowicach, w którym to ukrywał się właśnie niedomagający na zdrowiu generał Brunon Olbrycht „Olza”. Dowódcę Grupy Operacyjnej AK „Śląsk Cieszyński” aresztowano, nie rozpoznając jego prawdziwej tożsamości. W ręce żandarmów wpadły też dwie kobiety, z których jedna próbowała uciec z nielegalnym odbiornikiem radiowym, ale tuż przed ogroждением dogonił ją niemiecki owczarek. Ujętymi okazały się rodzona siostra Zofii i jej siostrzenica. Ona sama natomiast w tym feralnym momencie znajdowała się poza klasztorem i dzięki temu w porę dowiedziała się o wyspie. Powiadomiony o wszystkim porucznik „Le-pa” zarządził natychmiast akcję odbicia więźniów, która przeprowadzona w siedem minut, zakończyła się całkowitym sukcesem. Ku największej radości siostry Izabeli cała trójka wyrwana została z rąk gestapowców.

Po tych wydarzeniach Zofia musiała opuścić klasztor w Zebrzydowicach. Generał „Olza”, którego była dotąd osobistą łączniczką, dziękował jej za wszystko głęboko wzruszony, mówiąc, że „wykazała wielką odwagę oraz wybitne poświęcenie i ofiarność”. Ostatnie miesiące okupacji przyszło jej spędzić jako pielęgniarką w Szpitalu Powszechnym w Rzeszowie.

► Szpitalna konspiracja i przyjaciel z Wrocławia

Gdy Armia Czerwona załaza polską ziemię i rozpoczęła się krwawa rozprawa z działaczami podziemia, siostra Izabela nadal stała niewzruszenie na straży dotychczasowych wartości i ani na chwilę nie przestała wierzyć w sens walki o prawdziwie wolną ojczyznę. Po tym, jak w styczniu 1945 roku ostatni komendant AK, generał Leopold Okulicki „Niedźwiadek”, rozwiązał podziemną armię, walkę o niepodległość w okupowanym przez Sowieców kraju kontynuowała Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj, a następnie Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”. W szeregach tych organizacji nie mogło zabraknąć siostry Izabeli, która, nawiązawszy kontakt z kapitanem Mieczysławem Kawalcem „69” i z majo-

rem Adamem Lazarowiczem „Aleksandrem” – oficerami DSZ, a potem WiN, wciągnięta została na nowo do konspiracji.

Jesienią 1945 roku poznała Amerykanina polskiego pochodzenia, Józefa Onkę, przedstawiciela UNRRA (Organizacji Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy), który przyjeżdżał do rzeszowskiego szpitala, by kontrolować podział darów i zebrać informacje na temat potrzebnych leków i środków medycznych. W tym czasie zajmowała się akurat działalnością charytatywną i została jego tłumaczką. Wtedy też postanowiła wykorzystać nadarzającą się sposobność i w imieniu władz podziemia zwróciła się do Onki z prośbą o finansowe wsparcie dla WiN. Ten, choć odmówił pomocy w tej sprawie, przyjął jednak powierzona mu przez Zofię kopertę z przechwyconymi dokumentami sowieckimi o blokowaniu pomocy dla Powstania Warszawskiego i z opisem stosunków społeczno-politycznych panujących w Rzeszowskim.

Głównym zadaniem siostry Izabeli było przyjmowanie do rzeszowskiego szpitala rannych żołnierzy podziemia. W razie gdyby czyhały na partyzantów służby bezpieczeństwa, miała uczynić wszystko, by umożliwić ściganym ucieczkę. Jednym z ocalonych w taki sposób był nieznaną jej z imienia i nazwiska więzień UB, który po operacji wyrostka szczęśliwie wymknął się swym oprawcom. Kiedy natomiast do szpitala trafił wysoko postawiony ranny oficer UB, podporucznik Ludwik Bojanowski, Zofia usiłowała odwieść członków organizacji od zamiaru zlikwidowania człowieka, na którego podziemie wydało już wyrok śmierci.

W momencie gdy UB odkrył powiązania szpitala z partyzantami, Zofia musiała jak najszybciej wyjechać z Rzeszowa. Bezpieczną przystań odnalazła w krakowskim klasztorze, a potem w Zebrzydowicach, gdzie aż do sierpnia 1948 roku służyła chorem i prowadziła przedszkole. W styczniu 1947 roku dowiedziawszy się o powrocie do Polski swojego znajomego Adama Doboszyńskiego, postanowiła odwiedzić go we Wrocławiu. Kim był ów tajemniczy człowiek, którego zeznania miały całkowicie pogoryżać siostrę Izabelę? Okazuje się, że znała go jeszcze z czasów dzieciństwa. Był politykiem Stronnictwa Narodowego, pisarzem i intelektualistą, który w międzywojniu stanął na czele głośnej „wyprawy na Myślenice”, stanowiącej zbrojny akt sprzeciwu wobec polityki sanacji i uprzywilejowanej pozycji gospodarce Żydów. Z tego właśnie powodu Doboszyński odsiadywał wyrok w łwowskim więzieniu i tam też na prośbę jego siostry Jadwigi Malkiewicz odwiedziła go Zofia. W czasie wojny Adam przebywał w Wielkiej Brytanii, a wkrótce po jej zakończeniu powrócił do kraju, choć musiał ukrywać się przed władzą pod fałszywym nazwiskiem. O tym wszystkim Zofia dowiedziała się od przypadkowo spotkanej w Krakowie Jadwigi.

k która żaliła się, że brat jest bardzo schorowany i potrzebuje pomocy. Siostrze Izabeli nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, rzuciła wszystko i ruszyła do Wrocławia, proponując Adamowi gościć w domu wypoczynkowym Sióstr Miłosierdzia w Zembrzydowicach. Przebywała tam przez miesiąc, a zaraz potem, 3 lipca 1947 roku, został aresztowany. Po dwuletnim niemal śledztwie, 18 czerwca 1949 roku, stanął przed Sądem Wojskowym w Warszawie. Oskarżony o to, że w latach 1933–1945 był agentem niemieckiego wywiadu, że imputował „społeczeństwu polskiemu faszystowską doktrynę polityczną”, że szpiegował na rzecz Amerykanów i współorganizował w kraju Stronnictwo Katolicko-Narodowe jako „ośrodek dywersji politycznej i wywiadu” – skazany został na karę śmierci. W stenogramie rozprawy zachowało się streszczenie ostatnich słów oskarżonego, który miał powiedzieć: „W tej chwili, w obliczu śmierci [...] jako wierzący katolik podtrzymuję całą mocą tę przysięgę na rany i mękę Chrystusa – i dodam w tej chwili – na zbawienie duszy mojej, że nie byłem nigdy w służbie niemieckiej, amerykańskiej ani żadnej innej”. Akt oskarżenia sformułowany został głównie w oparciu o zeznania samego Doboszyńskiego, który, nie będąc w stanie wytrzymać tortur, potwierdził najbardziej absurdalne zarzuty „Cztery doby byłem bity i męczony bez przerwy, tj. raczej prawie bez przerwy – wyznawał przed sądem. – Po tych czterech dobach [...] postanowiłem przyznać się do czynów niepopelnionych”. Wyrok wykonano 29 sierpnia 1949 roku.

Torturowany Doboszyński zeznał podczas śledztwa, że pomocy w kraju udzieliła mu m.in. Zofia Łuszczkiewicz. Tymczasem ona, nie przeczuwając niczego złego, w lipcu 1947 roku wyjechała do Paryża, a potem do Rzymu na kanonizację św. Katarzyny Laboure. Nie mając pojęcia, co jej grozi, wróciła do kraju. UB ujęło ją w sierpniu 1948 roku, zaraz po tym, jak na wysłane do niej fałszywe zawiadomienie zjawiała się w Wadowicach po odbiór rzeczy przyznanych dla przedszkola.

► Na mękach

Pierwsze dwa lata aresztu śledczego były najstraszniejsze. Na samym początku próbowano nakłonić ją do współpracy bez użycia siły, kusząc obietnicą wolności, pieniędzmi, dobrami materialnymi dla klasztoru i jej rodziny. W zamian miała podpisać podpisany jej protokół, którego treść brzmiała mniej więcej tak: „Ja, niżej podpisana, Zofia Łuszczkiewicz, siostra Izabela z Zakonu Sióstr Miłosierdzia, zeznaję, że mój dobry znajomy, Adam Doboszyński, powiedział mi w 1947 roku, że papież Pius XII przysłał go do Polski, a konkretnie do ks. kard. Adama Sapiehy i do oo. Redemptorystów. Jego wizyta w Polsce miała wiązać się z głównym zasadniczym zadaniem

– utworzenia na terenie demokratycznego polskiego państwa siatki szpiegowskiej działającej na korzyść Niemców i Watykanu”. Z tego wszystkiego wynikało, że miała przyznać się do szpiegostwa na rzecz Niemców, i to z polecenia Ojca Świętego i kardynała Sapiehy... Cóż za wyrafinowane kłamstwo!... Kategoryczna odmowa z jej strony, a nawet groźba, że gdyby spróbowali sfalszować jej podpis, wówczas ona wykrzyczy to głośno na procesie, coraz gorzej wpływała na śledczego. Wprawdzie usiłował ją jeszcze przekonać, że Doboszyński do wszystkiego się przyznał, ale w gruncie rzeczy myślał już o tym, by się z nią ostatecznie rozprawić. Gdy Zofia zażądała konfrontacji z Doboszyńskim, „grzeczny dotąd ubeek – jak odtwarza tę scenę Szymon Nowak – nie wytrzymał i powalił mocnym ciosem niepokorną zakonnicę na podłogę. Siostra Izabela podniosła się powoli, plując krwią i wypływając przy okazji trzy wybite zęby. – Zabrać ją! – wrzasnął oficer UB. – Zapaskudzi mi podłogę, ta szmata. – A potem rzucił jeszcze jadownicę: – To my decydujemy, kogo z kim skonfrontować, jasne?”. Tego dnia, mimo iż pobita i upokorzona, odniosła swe pierwsze moralne zwycięstwo nad oprawcami. Takich bitew, jako więźniarce, przyszło jej stoczyć jeszcze bardzo wiele, zwłaszcza że okrutni kaci, na czele z osławionym kapitanem Józefem Różańskim i sekundującym mu Ludwikiem Serkowskim, czynili wszystko, by ją złamać i zmusić do złożenia fałszywych zeznań.

Przesłuchania ciągnęły się bez końca, pytali ją o wszystko – skąd zna Doboszyńskiego, na czym polegała jej współpraca z dywizją śląską AK, co wie o organizacji WiN i jaką rolę w niej odegrała. „Opowiedzcie nam – naciskali, świecąc jej reflektorem w twarz – o obywatelu USA o nazwisku Józef Onka. Kim był »Aleksander«? Czy zamordowała pani podporucznika Bojanowskiego z UB? Kto krył się pod kryptonimem »69«, a kto pod »71«? W jakich okolicznościach spotkała pani po wojnie Doboszyńskiego?”. Gdy zbyt długo milczała albo udzielała enigmatycznych odpowiedzi, ubeccy brali ją na męki. Siostra Izabela w swoich wspomnieniach wyznaje: „W ciągu dwóch miesięcy, prawie dwóch lat, przeszedłam okropne śledztwo i przebywałam w okropnych warunkach higienicznych, na betonie i sienniku, można powiedzieć o głodzie, a śledztwo odbywało się po parę godzin kilka razy w ciągu 24 godzin. [...] Oprócz bicia, przysiadów w liczbie do dwóch tysięcy naraz, miałam jeszcze tzw. stójki. Polegały one na tym, że w czasie zimnych i mroźnych dni stałam boso na betonie w koszuli tyłem do okna i tuż pod oknem, z którego wyjmowano szyby. Na domiar wszystkiego jeszcze w nocy zlewano mnie konewkami zimnej wody. Po 14 dniach i nocach takiego stania (bo nawet do podanego mi jedzenia nie pozwalano mi usiąść) będąc już

cała spuchnięta, straciłam przytomność i ocknęłam się w szpitalu więziennym”.

Wreszcie po wszystkich tych udrękach i przymusowym „dochodzeniu do siebie” Zofię doprowadzono na rozprawę do sąsiedniej celi. Gdy otwarcie zaprotestowała przeciwko temu, że nie odczytano jej aktu oskarżenia, zmieszani sędziowie odroczyli sprawę o dwa tygodnie, a wtedy już padły konkretne zarzuty. Oskarżano ją m.in. o przynależność do tajnej organizacji WiN, przekazywanie tajemnic państwowych i materiałów wywiadowczych Józefowi Once, o kontakty z emisariuszem Adamem Doboszyńskim, o współudział w zamordowaniu ubeka Bojanowskiego i o umożliwienie ucieczki więźniowi UB. Wyrok zapadł 23 września 1949 roku. Zofię Łuszczkiewicz skazano na piętnaście lat więzienia. Na tym jednak się nie skończyło, bo sprawę wznowiono i już w marcu 1950 roku znów stanęła przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie. Tym razem wymierzono jej trzykrotną karę śmierci i pozbawiono praw obywatelskich.

Potem jeszcze, myśląc, że może ulegnie, ubecy poddawali ją szatańskim pokusom współpracy, mamiąc perspektywą wolności... Wystarczyło, by poszła na ugodę i przyznała się do szpiegowania na rzecz Watykanu, a ocali życie... Lecz ona mimo wszystko pragnęła pozostać nieugięta tak jak Chrystus na pustyni, którego nieustannie prosiła o siłę przetrwania. Nie dała się zastraszyć i nie uległa nawet wtedy, gdy pewnego wieczoru drzwi jej celi otworzyły się niespodziewanie i poprowadzono ją w głąb więziennych lochów, gdzie zwykle odbywały się egzekucje. Zrozumiała wszystko. Klawisz ustawił ją pod murem i chciał przesłonić oczy. Odmówiła. Poprosiła tylko o księdza. Ubecy roześmiali się drwiąco. „Przecież wy jesteście już prawie świętą. Po co wam ksiądz?” – skwitowali. Dano jej pięć minut, by mogła się pomodlić, a ona zapytała jeszcze, czy przed egzekucją zostanie jej odczytana jakaś formuła. W odpowiedzi doszedł ją tylko ich diabelski śmiech. Po kilku może sekundach usłyszała trzask przeładowywanej broni... W myślach usiłowała jeszcze dokończyć słowa psalmu „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś...”. I wtedy „gruchnęły strzały, wzbudzając falę powietrza i atakując bębni w uszach. Zawirowało jej w głowie, ugięły się pod nią nogi, ale nie upadła. Nie czuła bólu. W uszach słyszała szumiący chichot ubawionych ubeków”. Wszystko, co się tu wówczas wydarzyło, nie było w istocie egzekucją, ale jakąś nieludzką inscenizacją w demonicznej oprawie. „Koniec na dzisiaj – krzyknął jeden z dreczycieli. – Wyrok odraczamy do następnego razu. Kiedy? Nie wiadomo”. Nie raz jeszcze Zofia Łuszczkiewicz przeżywała podobne chwile grozy, patrząc prosto w twarz śmierci i urągającym jej prześladowcom.

► Światło w tunelu

Wiosną 1950 roku karę śmierci zamieniono jej na dożywotnie więzienie. Dwa lata spędziła w warszawskim areszcie na Rakowieckiej, trzy – w Inowrocławiu, pozostałe – w bydgoskim Fordonie. O Inowrocławiu powiedziała potem, że to „polskie Auschwitz”. Tam zamknięto ją na trzynaście miesięcy w izolacie. Na pierwsze widzenie z rodziną pozwolono siostrze po dwóch latach odbywania kary, a przez osiem zabraniano korzystania z sakramentów i mszy świętej, nie mówiąc o posiadaniu w celi różańca i książeczki do nabożeństwa, które dostała dopiero w ostatnim roku swojej więziennej gehenny. Rodzina Zofii nie ustawała w staraniach, by wyrwać ją z tej otchłani. Przez lata spływały do Rady Państwa niezliczone prośby o rewizję wyroku i ulaskawienie. Żaden jednak z tych listów, pisanych przez jej matkę, nie został rozpatrzony pozytywnie. I tak upływały lata – szare, ponure, przesycone bólem, lata modlitwy i duchowego wtajemniczenia, lata konfrontacji dobra i zła, wewnętrznej walki ze słabościami ludzkiej natury. Tak mijał czas niekończącej się rozmowy z Bogiem...

Cały ten szereg dni i nocy upiornie wlokących się w mrokach celi przerwała niespodziewana wieść. Oto na fali amnestii, w listopadzie 1952 roku, zamieniono jej dożywocie na karę dwunastu lat pozbawienia wolności. Prawdziwy przełom w jej życiu miał nastąpić dopiero trzy i pół roku później, kiedy to z powodu złego stanu zdrowia otrzymała warunkowe zwolnienie, opuszczając mury fordońskiego zakładu karnego. Jeszcze w tym samym roku, decyzją Najwyższego Sądu Wojskowego, została całkowicie zwolniona z odbywania kary. Niedługo jednak dane jej było cieszyć się wolnością. Męki fizyczne i psychiczne, jakich doświadczyła przez te wszystkie lata, odcisnęły na niej niezatarte piętno – w ubeckich katowniach na zawsze utraciła zdrowie. Jej ciało zżerała gruźlica kostno-stawowa i rak złośliwy szczęki, który rozwijał się w miejscu wybitych na przesłuchaniu zębów. Na wolności wyznała: „Jestem poważnie chora. Przeżyłam [...] operację i czeka mnie następna. Bogu się jednak oddałam, tak jak czyniłam to zawsze podczas ośmiu lat więzienia, i jestem spokojna”. Jej ziemską wędrówkę, znaczoną czynieniem dobra i cierpieniem, zakończyła się 8 sierpnia 1957 roku, niedługo po opuszczeniu więziennych murów. Umierała w ukończonym Krakowie, gdzie kiedyś przyszła na świat. Tam też spocząć miały jej ziemskie szczątki pochowane w grobowcu Sióstr Miłosierdzia na cmentarzu Rakowickim. W 1993 roku Zofia Łuszczkiewicz oczekiwała się rehabilitacji – Sąd Wojewódzki w Warszawie unieważnił komunistyczne wyroki i orzekł, że wszystko, co czyniła, było „walką o niepodległy byt Państwa Polskiego”.

Ewa Polak-Palkiewicz

Śmierć lepsza od skazy



„Gdyby Helenka nie była arystokratką, to byłaby prawdziwą artystką” – mówiła jej nauczycielka muzyki, jeszcze przed I wojną światową. „Tańczyć, śpiewać, grać, malować, pisać wiersze, deklamować...” – to było zawołanie jej lat dziecięcych. Tymczasem życie miało dla Heleny z Broel-Platerów Mycielskiej inny scenariusz. Nigdy jednak jej kodeks zasad życiowych nie uległ zmianie. Jak stoi w herbie rodu Platerów: *Melior mors macula* – Śmierć lepsza od skazy.

Pewnego razu, a było to w ciepłe majowe popołudnie, bawiliśmy się z Haneczką na ganku, obok liczni goście siedzieli w fotelach ogrodowych ustawionych na gazonie, a wszyscy spoglądali z zachwytem na wspaniałą perspektywę pięknie utrzymanego ogrodu i parku, na rząd palm i drzewek cytrynowych w wazonach wzdłuż alei oraz na kwitnący w dole sad. Łatały motyle, gdzieś z oddali, od strony wsi, słychać było rzewną muzykę weselną. Pachniały kwiaty, pachniała zieleń, śpiewały ptaki w parku. Było bogato i spokojnie. Któryś z gości recytował wiersze Kochanowskiego. Stary Władysław na wielkiej tacy roznosił ciastka i kawę. Nastała chwila ciszy, wszyscy trwali jakby w olśnieniu, niemym zachwycie, nieruchomo. Nagle Mama nieoczekiwanie powiedziała, jakby trochę do siebie: – To nie będzie trwało, nie można wierzyć w coś takiego, to nie jest normalne, to jest za piękne, to się skończy... – Co się skończy? – pytali ze zdumieniem bliżej siedzący. – To wszystko, co widzicie i czujecie w tej chwili – powiedziała cicho Mama”.

Był koniec lat 30. Zapamiętał to popołudnie Hieronim Mycielski, przytoczono jego słowa we wspomnieniach jego matki, Heleny z Broel-Platerów Mycielskiej (1906–2008), „Pośród klęsk i zwycięstw”. Opowieści skreślonej piórem spadkobierczyni tradycji starego rodu, której bohaterowie udowodnili swoim życiem, że czymś cenniejszym i bardziej twórczym niż arystokratyzm praw jest arystokratyzm obowiązków.

Jako dziewczynka i młoda panna, otoczona czułością najbliższych i dostatkiem, mieszkanka pałacu w Białaczowie (ziemia opoczyńska), a po zamążpójściu dworu w Boryniczach pod Lwowem, miała przed sobą wspaniałą przyszłość. Gwarantowało ją domowe wychowanie, wykształcenie w najlepszych uczelniach Polski i zagranicy, rozmach gospodarczy majątku, pasje rodziców, zwłaszcza ojca, Zygmunta Broel-Platera, jednego z wybitnych społeczników sfery ziemianско-arystokratycznej, później szczęśliwe małżeństwo i narodziny udanych dzieci. Jednak ponad połowa jej życia upłynęła w warunkach zgola odmiennych od tych, których zapowiedź przynosiły obrazy szczęśliwego dzieciństwa i młodości.

Prawie osiemdziesiąt lat później jej syn, ojciec Ludwik Mycielski, benedyktyn, rekoлекcjonista i pisarz, zapisał w swoich notatkach: „[...] teraz, w lutym 2003 roku, odczuwam pragnienie, by jak najszybciej znowu być w Nowej Hucie u mojej dziewięćdziesięciosiedmioletniej matki: by ucałować jej ręce. Naznaczone są miłością naszego Boga. Poważne. Wielkie jak ręce ojca. Muskuly wyrobione pracą na roli, pracą w orborze, dojeniem twardych krów. [...] Palce stworzone do delikatnego pędzla, do klawiatury fortepianu, do delikatnej lutni – są grube, opuchnięte od wielokrotnych odmrożeń przy

zimowym wyrębie lasu. Oczy bystre – choć już nie widzą, inteligencja błyskotliwa, pamięć fenomenalna – pamięć zwłaszcza o aktualnych potrzebach innych: blisko i daleko”.

► Wielka tułaczka

Lektura pamiętników Polaków ze sfer ziemiańskich dotyczących ostatnich stu kilkudziesięciu lat przypomina w wielu partiach klasyczny western. Najistotniejsze zdarzenia dzieją się podczas podróży. Przed naszymi oczyma przesuwają się dziesiątki wozów zaprzężonych w konie, na które w pośpiechu ładuje się odzienie, żywność, część umeblowania. Broń myśliwska zostaje zakopana. Cenne przedmioty rozdaje się zaufanej służbie. Ta podróż to ucieczka, wszędzie czując zasadzki, piętrzą się przeszkody, przybywa prześladowców. Wokół płoną dwory i wsie, obok taborów cwałują rasowe konie. Dopiero co urodzone dzieci płaczą w objęciach matek i opiekunek. Mężczyźni bronią swoich, są zaprawieni w walce. Potrafią też zaskoczyć okupantów z Zachodu literacką niemiłą, rozładować groźną sytuację nieoczekiwanym żartem, przestraszyć agresorów albo ośmieszyć ich tak, że im w piętę idzie. Wreszcie hojnie nieraz wspomóc biedniejszych od siebie uciekinierów.

Takich podróży z licznymi dziećmi, coraz skromniejszym dobytkiem i topniejącym w oczach inwentarzem było na przestrzeni lat 1939–1953 w rodzinie Heleny i Ludwika Mycielskich osiemnaście. Podróżowali na bardzo duży nieraz dystans; tuż po wojnie między dawną Galicją a Olsztyniem. Pomiedzy podróżami – rozsiane na pograniczu stref okupacyjnych – niepewne krótkotrwałe siedziby (do dworu w Boryniczach nie było już powrotu). Czy to jak w czasie wojny, jeszcze magnackie – choć już wyzębione z powodu braku opału, ogołocone z dzieł sztuki, przeludnione, ciasne, bo choć rezydowały w nich niemieckie sztaby, przysparzały licznych uciekinierów; czy to przewiozyczne, w wiejskich chatach, kątem u ludzi. I niestannie – aż do połowy lat 50. ubiegłego wieku – zagrożone nagłym wtargnięciem obcych, z powodu donosu, zawiści czy intrygi lokalnego aparatczyka.

Tym jednak, co najbardziej przy opisie tych quasi-westernowych „przygód” uderza, jest pogoda ducha autorki, płynąca z niezachwianej wiary w Boga. A wraz z nią zdolność do dostrzegania nie tylko szlachetności wielu spotykanych podczas drogi dobrodziejów – przyjaciół i spontanicznych ratowników, „mężów opatrnościowych” – lecz przede wszystkim iskry Bożego przeznaczenia. Stałe, niezmiennie przeświadczenie, które pomaga znieść każdą stratę, każde rozstanie, każdą uciążliwość: „Widocznie tak musiało być”. I płynący stąd spokój.

„Kiedy Panu Bogu nie dajemy szans, On dla przeprowadzenia swojej zbawczej woli używa ludzi – niekiedy ludzi bez serca, zaślepionych w swej nienawiści, złych. Gdyby nie ci ludzie, co dziś byłoby z naszymi dziećmi?” – pyta autorka wspomnień. „Czy pozostając w Bukach [gdzie mąż Heleny, Ludwik Mycielski był leśniczym i skąd Mycielskich brutalnie wyrzucił ubowiec – przyp. EPP], bylibyśmy w stanie tak je wspierać, żeby zdobyły wykształcenie?... Czy pozostając w Bukach, Staś zostałby benedyktynem?” – pisała.

► Godnie przejść przez bagno

Autorka potrafi dostrzec niezamierzony komizm wielu sytuacji; mimo upływu lat ma poczucie humoru młodej panny. I szerszy ich kontekst, którego rozpoznanie pozwala utrzymać równowagę psychiczną pośród szalejących katastrof. Pisząc o swojej babce ze strony mamy, Helenie Brzozowskiej, przedstawia postać jak z filmu. „Babunia była »nie z tego świata« [...] wysoka, uśmiechnięta, schludnie na czarno w długiej sukni ubrana matrona, w koronkowym zawsze czarnym czepeczku na głowie... który nazywała »kłafurką«. Według niej: Nie powinno się mówić: »Jak się masz?«, lecz: »Jak się ma twoja dusza?« Wzbudzało to śmiech rodziny mojego Ojca, zwłaszcza stryja Józia. Wymyślano na temat twardych Babuni przekonania, opartych na ascetycznym jej życiu, absurdalne legendy. Kiedyś zobaczyłam Babunię bez czepeczka... Zawstydziałam się... Wuj Władysław, brat Mamy, gdy kiedyś zdarzyło się, że spotkał rano nauczycielkę swoich dzieci, a u koszuli nie zdążył zawiązać krawata, bardzo zażenowany zakrywał ręką kołnierzyk i wycofał się szybko z przeprosinami... Babunia była energiczna, gdy chodziło o wypełnienie własnych obowiązków oraz obowiązków podległych jej osób (między innymi nas, dzieci), ale tylko u siebie, w swoim domu. Panowały tam niepodzielnie logika i spokojny dobrobyt. Służba, także rusińska (kozacka), trzymała się tam latami”. O starszym bracie Ludwiku: „Ludwik zadziwiał sprawnością jeździecką – woltyżerką, którą wypraktykował w szkole kawaleryjskiej w Grudziądzu. Samodzielnie wyćwiczył mrozącą krew w naszych żyłach dzigitówkę – czerkieską sztukę polegającą na tym, że w galopie zbierał zębami leżącą na ziemi czapkę...”.

Wojna zastała Mycielskich w rodzinnym majątku męża, Borynicze, siedzibie ordynacji, pod Lwowem. Uniknięcie losu wielu ziemian na terenach pogranicza polsko-ukraińskiego, okrutnych mordów lub zsyłki w głąb Sowietów było znakiem, że podejmując swoją tułaczkę – a bohaterowie tej opowieści nigdy nie brali pod uwagę ucieczki z Polski – mogli liczyć na specjalną ochronę. Jednym z ratujących starsze dzieci Mycielskich przed bandami grasującymi w okolicy Borynicz na początku wojny był Ukrainiec Nykoła Onim, mąż służącej

Mycielskich, oraz jego wuj – „inteligentny chłop”, który od razu dostrzegł historyczne podobieństwo sytuacji uciekinierów z realiami ukrywania dzieci rodzin arystokratycznych we Francji podczas rewolucji. „Ów gospodarz i jego żona najserdeczniej się nimi zajęli, jakoby swymi krewnymi... Dzieci nasze spały z nimi razem w łóżkach”.

Trzeba dodać, że Helena Mycielska miała osobowość niezależną i wojowniczą; zawsze była twardym orzechem do zgryzienia dla swojego otoczenia, zarówno przed wojną, jak i w nowym ustroju. Towarzyszyły jej często pretensje i zarzuty sąsiadów (nawet ziemian). Mieszkając w latach 30. pod Lwowem i będąc wielką panią, traktowała przyjacielsko i wielkodusznie ludność ukraińską i próbowała pozyskiwać jej uczucia dla Polski. Nie wnikając w jej intencje („Czy ją okradli, czy ona kogoś okradła, w każdym razie podejrzana osobistość...” – jak ujmuje to w pamiętniku), „polscy patrioci” montowali przeciw niej front obmowy, insynuacji i oskarżeń...

Rzecz szczególna, w czasie wojny ratowali Mycielskich z różnych opresji nawet ludzie w hitlerowskich mundurach. A ich dzieci na skutek wycieńczenia podróżą poważnie chorowały. „Ofiarowałam mu [austriackiemu lekarzowi wojskowemu, który uratował życie półtorarocznego syna – EPP] złoty dukat węgierski z Matką Boską, który miałam przy bransoletce”. Wśród pomagających był wcielony do gestapo Czech Benesch, parokrotnie podejmujący ryzyko aresztowania dla ocalenia życia Ludwika Mycielskiego. Niemcy mieli zresztą dziwną słabość do arystokracji. Z tego powodu wiele zachowań, które w innych okolicznościach spowodowałyby niechybną śmierć lub wysłanie do obozu, uchodziło. Wyrabana prosto w oczy prawda (niemczyzną zwaną Hochdeutsch) robiła prawie zawsze lepsze wrażenie niż błagania o litość czy podporządkowywanie się. Taka postawa rodziców hartowała też dzieci, które stawały się zdolne do godnego przejścia ciężkich prób.

Dwukrotne aresztowanie męża, Ludwika Mycielskiego, skończyło się jego uwolnieniem. Gestapowscy nie udowodnili mu winy; jednej z kuzynek, Marii z d. Esterhazy Mycielskiej, udało się ich oblaskawić za pomocą tłustej gęsi i wieprzowiny („Maryszka! Ta to miała odwagę i dobroć niespożyta. Wyciągnęła z więzienia chłopą Grochulę i innych. Jeździła rzemiennym dyszlem od Przemyśla do Jarosławia i niejeden więzień wykupiony jej prowiąntem unikał obozu śmierci”). Życzliwy Czech w mundurze niemieckim przekazywał aresztowanemu z własnej inicjatywy listy od żony, zignorował też donos do gestapo o tym, że „Pan hrabia ma schowaną broń”, który miał przesądzić o karze śmierci.

Helena i Ludwik Mycielscy nigdy nie odpowiadali nienawiścią na nienawiść. Przeciwnie, klękając razem z dziećmi do wieczornej modlitwy, wymieniali nazwiska swoich prześladowców, prosząc o ich nawrócenie.

Lista się wydłużała. Gdy ktoś im groził, Niemiec, Rosjanin czy Polak, Helena potrafiła z powagą i spokojem przestrzegać, by nie robiono nikomu z rodziny krzywdy, bo to kończyło się często dla sprawców jakimś nagłym nieszczęściem.

► Białoczerwony bukiet pod pomnikiem Lisa-Kuli

Autorka wspomnień pisanych dla dzieci i wnuków zwyczajem polskich matron, które zdają sobie sprawę z tego, jak bezcennym skarbem jest świadomość własnej przeszłości w kolejnych pokoleniach, była wyczulona na wszystkie „cudowne interwencje”, którym poświęcała zawsze dziękczynny akt strzelisty, nie rozgadując się zbyt, bo przecież pisała dla tych, z którymi rozumiała się w pół słowa. Warto zacytować dwa wydarzenia, gdy musiała sprostać wyzwaniom, od których, zgodnie z kodeksem zachowań rodzinnych, nie było wymówek.

Oto pierwsze tygodnie wojny: „Naścia Somek za (półgłówkiem) bogatym Kosteckim z Ostrowa była wtedy naszą praczką i służącą i ona to dostała za zadanie zapakować do kufru »co lepsze rzeczy« z naszych szaf... Ja jakoś nie miałam czasu tym się zająć. Zachodziłam do »chaterek fornalskich« i do wsi – próbując uspokajać, i poszłam z kilkoma kobietami pieszo siedem kilometrów do naszej parafii w Brzozdowcach... Śpiewaliśmy po drodze »Śliczna Matko Miasta Lwowa, Maryjko«. Brzmiało to tragicznie. Lwów był bombardowany”.

Obrazek z 1942 roku, z Przemyśla: „Raz, przechodząc przez plac na Zasaniu zauważyłam kilku oficerów niemieckich, uderzających z cynicznym śmiechem w pomnik bohatera Legionów, Lisa-Kuli. Był odlany z brązu. Ludzie przystawali oniemieli z wrażenia czując, że ten zabytek, z którego byli dumni, padnie ofiarą nienieckiej zachłanności. Przekonałam się wtedy, że niespodziewanym gestem można ludzi »zastrelić«, jak to robili owi Niemcy. Jakoś przy następnych odwiedzinach Taty, był to chyba czerwiec, piękna pogoda, ubrałam się w jedyną elegancką suknię, jaka mi została z Borynicz, kapelusz panama od siostr Taty i postanowiłam... O Boże! Drzę dotąd ze strachu, ale czułam, że nie mogę inaczej, że trzeba ludziom podnieść zupełnie upadłego ducha. [...] Wstąpiłam do apteki, zażyłam waleriany, kupiłam bukiet, duży, czerwonych i białych goździków i dalej, w samo południe, na plac na Zasaniu pod ów pomnik. Tak, ale wszystkie ulice dochodzące do placu były obstawione wartownikami wojskowymi w hełmach i z karabinami. Bo właśnie mieli walić ów pomnik. [...] Ale jak rzucić ten bukiet o kolorach narodowych na pożegnanie Lisowi-Kuli? Platformka wąska, można się skompromitować nie umiając jak ja w ogóle coś rzucić

i trafić, jak to potrafiłby każdy chłopiec. Idę ja spokojnie po tych schodach, a serce mam w gardle. Aniele Stróżu!!!... Nie, nikt nic nie zauważa. I hop! Poleciał mój bukiet w górę, jak mi się zdawało że trzy metry i, o radości, osiadł ślicznie na platformce. Teraz już tylko zejść spokojnie, o! jakbym na przykład wychodziła ze sklepu. [...] Podobno mój bukiet paradował jeszcze kilka dni pod nogami Lisa-Kuli, zanim przenieśli rusztowanie i pracę burzycielską na tę stronę”. Helena Mycielska była w tym czasie mężem zaufania Rady Głównej Opiekuńczej (RGO) i współpracowała przy organizowaniu pomocy żywnościowej dla najbardziej dotkniętych wojenną biedą. Prowadzące tanią kuchnię Siostry Rodziny Marii utrzymywane były przez rodziców jej męża.

W miarę jak topniała w oczach brylantowa riwiera (rodzaj ozdobnej kolii), którą autorka wspomnień nalażyła pod białe pasy podczas ucieczki z Borynicz 18 września 1939 roku, przybywało ludzi pomagających im i modlących się za nich. Podczas krótkiego wypadu do Lwowa, podczas wojny niemiecko-sowieckiej Helena Mycielska odnalazła przy katedrze ormiańskiej matkę swojego zamordowanego przez Niemców spowiednika. Dwa brylantyki wydłubane z broszki zapewniły jej opał na zimę.

Rok po roku, miesiąc po miesiącu jedna z najpotężniejszych finansowo rodzin w Galicji ogoławana była ze wszystkiego. Po wojnie pozbawiona własnego domu i okradana niekiedy nawet przez tych, których ratowała od głodu i bezdomności pod swoim prowizorycznym dachem. Helena była do pracy fizycznej zaprawiana od pierwszego dnia wojny. Już w zimie 1939/1940, przemieszkując z dziećmi w Białaczowie (gdzie wewnątrz rodzinnego pałacu okupował grubiański Oberleiter Wabnitz z psychopatyczną folksdeutcherką Wiktorią) zarabiała na wyżywienie rodziny, ucierając na tarce ziemniaki i wypłukując z nich krochmal, który suszyła, by uzyskać mąkę ziemniaczaną. Ciasteczka własnego wypieku sprzedawała w Opocznie.

Autorka wielokrotnie akcentuje swoją postawę ziemniarską, a nie „inteligencką”: przywiązanie do wsi i prostoty życia „zgodnego z naturą”, umiejętność społecznego obcowania z ludźmi niższej sfery; jako chlebobdawczyni starała się otaczać ich opieką. Może dlatego w najtrudniejszych latach powojennych Mycielscy otrzymywali pomoc m.in. od dawnej służby i byłych pracowników ordynacji; jeden z nich, zesłany przez bolszewików do Kazachstanu, zdołał przedostać się na Zachód i z Londynu przesyłał paczki żywnościowe. Cieszyli się też przyjaźnią pracowników lasu, rolników z sąsiedztwa, gdy niedawny ordynat na Boryniczach otrzymał od władz PRL na krótki czas posesadę leśniczego w Bukach, w Olsztyńskim, a jego żona własnoręcznie uprawiała niewielki kawa-

łek ziemi. Byli wtedy szczęśliwymi posiadaczami ko- były Lilanty, krowy oraz kozy, stopniowo dorobili się stadka gęsi i paru świnek. [...] poradzili nam sąsiedzi Zabuzacy utrzymać je przy życiu, żywiąc je pokrzywami polanymi chudym mlekiem i – ku naszemu zdumieniu – »jabłkami« świeżego końskiego nawozu. Był więc on skrzętnie zbierany spod Lilanty. Pokrzywy cięłam sierpem w lesie za jeziorem i przynosiłam w dużej, płóciennej plachcie na plecach... Tak świnki dotrzymały do jesieni i potem dały się ładnie utuczyć”. Gdy w latach 50. ich najmłodszy syn, wówczas kilkuletni, po raz pierwszy odwiedził swoją babcię w Krakowie, zdumiony rozglądał się po mieszkaniu i pytał: „Gdzie babcia ma krowę?”.

► Gdyby Helenka nie była arystokratką...

„Gdyby Helenka nie była arystokratką, to byłaby prawdziwą artystką” – mówiła jej nauczycielka muzyki, jeszcze przed I wojną światową. „Tańczyć, śpiewać, grać, malować, pisać wiersze, deklamować...” – to było zawołanie jej lat dziecięcych. Najbardziej kusiło ją malarstwo. Po ukończeniu gimnazjum siostr Sacré Coeur i studiach pedagogicznych na Sorbonie zdobyła jeszcze w Warszawie odpowiednie dyplomy w zakresie sztuk plastycznych. Pod koniec życia opublikowała tomik wierszy zdradzający oryginalny talent poetycki. W latach 50. zatrudniono ją w Bytomiu w warsztacie malarskim Opery Śląskiej jako pracownicę fizyczną. [...] szczytem inicjacji w odwrócone warunki społeczne była obecność moja w kulisach na próbie kostiumowej jednej z oper Moniuszki, gdzie stałam właśnie jako robotnica w przybrudzonym farbami fartuchu, a na scenie uwijały się butnie postacie szlachciców i szlachcianek w kontuszach i osiemnastowiecznych robronach – w balowych, jedwabnych sukniach o konstrukcji kloszowej. [...] Poczulałam się w roli naszych białaczowskich pracowników garderobianych, które na końcu galerii przesiadywały godzinami, szyjąc dla nas i naprawiając odzież. W lecie widywało się je na schodach odpoczywające po sprzątaniu naszych panieńskich pokoi”. Słuchała śpiewu artystów podczas prób, baryton Andrzeja Hiolskiego ceniła najbardziej i nawet mu o tym powiedziała. [...] co go jednak mogła obchodzić biedna ciura w granatowym roboczym kitlu i jej opinia! Nie dałam jednak za wygraną i moją radość słuchową wyraziłam, malując dla niego, w bardzo ładnie pomyślane wzory, pas slucki, który mu służył do kontusza weselnego chyba w »Strasznym dworze«. Na odwrocie namalowałam maleńki mój herb...”. Wielki artysta niczego jednak nie zauważył...

Po „wyzwoleniu” bogactwo duchowe wyniesione z domu – lojalności małżonków, solidarności rodziców i dzieci oraz rodzeństwa, a nade wszystko wiara i nigdy nie odrzucone zasady, a także talenty i wykształcenie –

włało się w koleiny rzeczywistości peerelowskiej. Wypełniło wszystkie zagłębienia, znalazło boczne, nieodkryte jeszcze koryta, tworzyło przyjazne jeziora. Oazy innego sposobu życia. Życia na przekór schematowi, który miał wchłonąć mieszkańców socjalistycznej Polski. Jego warunkiem miało być zniszczenie wszystkiego, co przypomina „pańską Polskę”.

Mycielscy należeli właśnie do tych wyjątków. Nigdy się nie przystosowali. Żyli tak jak chcieli, płacąc wysoką cenę pogardy ze strony grup, które dały się duchowo sterroryzować komunistom, ubóstwa i wczesnego rozdzielania z dziećmi. „Inteligenci, zwłaszcza miejscy, dawali się zastraszyć. Inni, w tym ignoranci religijni, przyjmowali komunizm jako ideę wyzwolicielską ze wszelkiego ucisku. Jakże srodze się zawiedli!” – podsumowywała Helena Mycielska. „Sympatyczna moja koleżanka nasiąknięta już, jak niemal ogół inteligencji ówczesnej, propagandą komunistyczną, w chwilach wolnych prowokowała mnie jako przedstawicielkę ancien régime: – To szlachta zgubiła Polskę w XVIII i XIX wieku. Gdy mi tak kilka razy przemówiła... odezwałam się i ja: – A ktoś miał wtedy »gubić«? Mieszczanie? Chłopi?...”

Dwie córki i dwóch synów Mycielskich w bardzo młodym wieku musiało uczyć się daleko poza miejscem zamieszkania rodziców. Z powodu grożących im represji córka Maria i syn Jacek znaleźli się na emigracji. Stanisław został benedyktynem – ojciec Ludwik Mycielski OSB – najpierw w opactwie tynieckim, potem w Lubiniu i wreszcie w Biskupowie na Opolszczyźnie, który to klasztor założył. Helena Mycielska zamieszkała wraz z mężem najpierw w Bytomiu, potem w Nowej Hucie i podjęła pracę katechetki przy parafii, angażowała się też w pomoc ludziom starszym i wyobcowanym. Przez wiele lat z własnej inicjatywy, jako wolontariuszka, katechizowała i otaczała opieką duchową rodziny Cyganów. W 1998 roku Ojciec Święty uhonorował ją Orderem św. Sylwestra.

► Pośmiejmy się z tego figla!

Pamiętnik Heleny Mycielskiej jest hymnem na cześć wspólnoty wiary i potęgi duchowej polskiej kultury. „Tamta Polska” nie była taka rozgadana jak dziś. Liczył się konkret. On był sprawdzianem postawy moralnej. Rzadko się pamięta, że w warunkach wojennych i powojennych jedni Polacy ratowali drugich od śmierci czasem także najzwyczajniejszym noclegiem pod własnym dachem, często we własnym łóżku, litrem mleka, garścią kartofli. Refleks i pomysłowość były nieoszacowanej wartości. Ludzie rozumieli się doskonale bez słów. Nie tracili czasu, spieszyli się, by zdążyć z pomocą na czas. Po latach tułaczki nie uległ zmianie kodeks zasad życiowych

rodziny, tak jak stoi w herbie rodu Platerów: *Melior mors macula* – Śmierć lepsza od skazy. Przy każdym życiowym potrzasku towarzyszyły bohaterom tej wędrówki błogosławieństwo: znak Krzyża kogoś kochającego i współczującego, modlitwa rodziców za dzieci i dzieci za rodziców. Szept matki: „Boże, ufam Tobie”.

Gdy miejsce urodzenia i szczęśliwego dzieciństwa autorki wspomnień, piękny klasycystyczny pałac Małachowskich i Broel-Platerów w Białaczowie został zagrabiony przez komunistów i utworzono tu dom opieki dla ludzi starych i chorych, patronowała nowym jego mieszkańcom do końca swych lat, sama mieszkając od 1968 roku w małym „metrażu” w nowohuckim bloku.

Kiedy wraz z dziećmi i ich rodzinami Helena Mycielska zdecydowała się obchodzić uroczystości swoje stulecie urodzin, powiedziała: „Trzeba rzeczywiście rozsyłać zaproszenia, bo przecież tak wiele ludziom zawdzięczamy! [...] Mam wrażenie, że Panu Bogu będzie się podobać, gdy wspólnie pośmiejemy się z tego figla: bo kto to widział – żyć sto lat?”.

Choć Helena Mycielska przeżyła w PRL wiele upokorzeń, choć była zmuszona do pracy ponad siły, w pamiętniku pisanym dla swoich dzieci nie odnajduje się nuty buntu czy rozżalenia. Co więcej, pozostanie w Polsce po II wojnie światowej było oczywistym wyborem obojga małżonków. Nie była to postawa typowa dla arystokracji. Mimo niezliczonych szykan ze strony komunistów ani Helena, ani jej mąż Ludwik nigdy nie myśleli o emigracji. Dlaczego? – Z przedednia ucieczki mojej młodej rodziny na Zachód (w 1971 r.) zapamiętałem wielkie zmartwienie mojego Ojca: „Polska was traci...” – mówi syn Jacek Mycielski. – Natomiast po odzyskaniu niepodległości ja sam uczulem wielką satysfakcję, gdy nasz syn, po tylu latach na obczyźnie, ostatecznie wrócił do kraju (2003 r.) i tylko w Polsce widzi przyszłość dla siebie i swojej wielodzietnej już rodziny. Sprzeciw Rodziców wobec emigracji wynikał z troski o nasz kraj. Wpierw wojny, potem emigracje, do tego komunistyczne pranie mózgow – co się stanie dalej z tą opustoszałą ojczyzną, o której dobro od pokoleń tak walczylży? Co się stanie z pielęgnowanymi od pokoleń wartościami? – pyta.

Może więc należałoby skorygować uwagę wstępną, o podobieństwach tych wspomnień do scenariusza westeru? Czyż pierwowzorem każdej prawdziwej opowieści tułaczkiej w naszej części świata nie jest ucieczka z Betlejem? Samotne przedzieranie kochającej się Rodziny przez pustynię do Egiptu? A potem powrót – równie trudny, wręcz heroiczny, najeżony niebezpieczeństwami, ogromnym ryzykiem – do Nazaretu? ■

Wszystkie cytaty za: Helena z Broel-Platerów Mycielska, „Pośród klęsk i zwycięstw”, Rosikon Press, Warszawa 2018.

Czym jest agresywna ideologia walki z hejtem, którą jesteśmy indoktrynowani od czasu zabójstwa Pawła Adamowicza? Józef Mackiewicz opisywał krótko po II wojnie światowej bliźniaczo podobną ideologię walki o pokój na świecie, w ramach której intelektualiści zachodni działali na rzecz podboju świata przez Związek Sowiecki. W książce „Zwycięstwo prowokacji” mamy cytowany poniżej obszerny fragment, w którym Mackiewicz wskazuje, jaki rodzaj pokoju sławią intelektualiści:

„Korespondent »Figaro Litteraire« pyta Quasimodo, czy to prawda, że odmówił podpisu pod protestem przeciwko uwięzieniu pisarzy węgierskich? – »Tak«, odpowiada laureat Nagrody Nobla, »gdyż okoliczności zaistniałe w Budapeszcie

nie były mi znane...« Zapytany o życie literackie w Moskwie, do której często zagląda, odpowiada: »Życie literackie w Moskwie rozwija się normalnie, bez żadnego nacisku z zewnątrz... Naturalnie są pewne granice, związane w sposób naturalny z każdym społeczeństwem politycznym. Inaczej nie bywało nawet w Grecji za czasów Periklesa«.

Jeżeli bywają klasyczne przykłady hipokryzji, to niewątpliwie tego rodzaju odpowiedź winna być do nich zaliczona. Naturalnie też nikt na Zachodzie nie będzie twierdził, że Quasimodo, że podobni mu pisarze i artyści nagradzani są, lub w inny sposób robią karierę, dlatego że są komunistami lub prokomunistami. Zarzut tego rodzaju odrzuca się normalnie z pogardą i wzruszeniem

Józef Mackiewicz

Zaczynamy gnić

„... bez znajomości historii nie ma kultury”

Z limuzyny wysiada między innymi mój dobry znajomy, Polak, były wyższy urzędnik kolejowy dyrekcji wileńskiej, teraz – przedstawiciel polsko-komunistycznej Prawdy Wileńskiej. Taki jak dawniej, gdy chadzał po tym samym dworcu, jak po własnym podwórku, tłusty na twarzy, rubaszny w gestach. Lubił popić przy bufecie, pogadać z dyżurnym przodownikiem policji, pochwalić się wpływami w wyższej hierarchii urzędniczej, patriotyzmem polskim, nabożnością, nawet antysemityzmem. Dwadzieścia lat wiernej służby w polskim urzędzie państwowym i dwa miesiące w prasie bolszewickiej. Tak, to on. W pumpach, z bródką, pewny siebie i... z ogromną czerwoną kokardą w klapie. Rok jeszcze nie minął, gdy pamiętam... ach, co tam, głupstwo wszystko. Mam suche oczy i sucho mi w gardle.

ramion. Jeżeli chodzi o ich oblicze światopoglądowe, to cechuje się ich jako ludzi będących: »za pokojem«. W ten sposób slogan: »Pokój« wynosi się ponad inne wartości bezwzględne, jak: prawda, wolność myśli, wolność ruchu, dobro jednostki etc. Wszystko jest mniej warte od względnego pojęcia »pokoju«, gdyż wiadomo, że w istocie nie chodzi tu o pokój bezwzględny, a jedynie o – pokój ze światem komunistycznym”.

I wystarczy – dziś również wiadomo, że nie chodzi o zwykłą walkę z hejtem, a obronę przed hejtem świata postkomunistycznego. Poniżej zaś przedrukujemy kolejny artykuł Józefa Mackiewicza, na trochę inny, ale powiązany z cytowanym tematem. Właściwie nie powinniśmy mówić „artykuł”, bo jak to w przypadku wielkich tekstów Mackiewicza bywa, jest to właściwie literatura pisana w formie artykułu...

5 sierpnia 1940 był dniem upalnym. Rano przybyłem do Wilna dla załatwienia kilku sprawunków i po południu miałem wracać pociągiem podmiejskim na wieś. W dusznej atmosferze wisiały nieruchawo transparenty czerwone. Z każdej nieomal witryny wyzierał portret Stalina, częściowo już wyblakły od słońca i popstrzony przez muchy. Chodniki były nagrzane, przechodnie spoceni. Na placu przed dworcem kolejowym zbitą cizbą stał tłum ludzki, a z trzech ulic wylotowych napływały wciąż nowe grupy manifestantów.

Łatwo było odgadnąć, że maszerowali wszyscy, kogo rozkaz maszerowania dosięgał bezpośrednio. Szli dorośli i dzieci. Jak się później okazało, dzieci te trzymane były od rana bez obiadu w szkołach, a później tkwiły na skwarze. Leniwie kołysały się transparenty i sztandary czerwone. Nad kurzem wzbijającym nogami, nad zaduchem ludzkim płynęły dźwięki „Międzynarodówki”.

Z trudem lawirując, przeciskałem się w kierunku poczekalni dworcowej. Jeszcze dwa – trzy razy zapytałem przechodniów na chodniku o przyczynę uroczystości. Nikt nie wiedział. Uroczystości, pochody i manifestacje odbywały się teraz zbyt często.

– Zapytaj pan tych, co idą – mruknął któryś.

Obok maszerowała właśnie delegacja – sądząc z zewnętrznego wyglądu – jakiegoś artelu rzemieślniczego.

– O co chodzi? – spytałem szeptem zacnego majstra, który nie mógł złapać nogi w szeregu.

„Bez znajomości historii nie ma kultury” – takie jest niesłychanie ważne motto tego tekstu. Opowiada on o początku procesu gnicia społeczeństwa pod rządami komunistycznego reżimu. Niby wszyscy zwykli ludzie są przeciw, klną pod nosem, napotkanego autora pocieszają, że jeszcze będzie mógł pisać – jak bolszewików szlag trafi – ale publicznie już uczestniczą w narzuconych im rytuałach, które mają doprowadzić do przeorania ich świadomości. Następuje więc – świetne określenie Mackiewicza – proces gnicia, powolnego rozkładu.

Skutki tego procesu odczuwamy do dziś i w pewnym stopniu dotyczą one każdego z nas. Czy nie stąd wynikają nasze kłopoty z czynem, z organizowaniem się, ze stawianiem oporu obcym manipulacjom? Czy nie z powodu naszej beczynności cały obszar wpływów na prawicy zagospodarowała rosyjska agentura i jej poputczicy? ■

W tej chwili poznałem go: szewc z ul. Zarzeczej. Poprawił nogę i maszerował teraz jak stary komunist. Udał, że mnie nie zna.

– O ważne rzeczy chodzi – odpowiedział.

W poczekalni dworca panował tłok nieopisany. Nikogo nie wypuszczano na peron. Pociągi miały odejść później. Trzeba czekać. Wielu próbowało się przepchnąć koło biletera, ale w drzwiach stał bojec z czterograniastym bagnetem na karabinie. Kontroler w przejściu patrzył tępo przed siebie. Na czapce jego widniała gwiazda, daszek opadał na oczy... W zmarszczkach twarzy taił się brud stacyjny i zniechęcenie.

– Panie! – wołała jakaś kobieta, zaciągając z wileńska – niechaj pan zlituj się, mnie dzieci czekają w domu.

– Nie ma tu żadnych „panów” – odburknął kolejarz. Kobieta się cofnęła.

– Jak do niego, cholera, mówić? – zapytała szeptem sąsiadkę.

– Wiadomo jak: powiedz pani „towarzyszu”.

– Towarzyszu!... – zaczęła znów tamta biadającym tonem i urwała raptownie.

– Nie można teraz. Czego się pchacie? Ech, naród jaki niezorganizowany! – zawołał oficer NKWD, wyrastając nagle w przejściu.

Okrzyk, który się zerwał z jego ust, nie był groźny, nie poparł go też ani przekleństwem, ani srogą miną. Raczej stanowczość i dobrze wyreżyserowana perswazja brzmiały w jego głosie. I wtedy ten „nieorganizowany naród” zaczął się cofać, tłocząc się nagle do tyłu, jak uprzednio tłoczył się ku przodowi. Ktoś rozduśił babie w ścisłu pusty kosz. Syknęła, ale nie ośmieliła się krzyknąć. Czy wszystkich skierowane

były na tego uzbrojonego męża NKWD z wyrazem przymilnego strachu. W kącie koło drzwi kwiliło dziecko. Obok leżało kilku drwali wprost na cemen- cie, rozłożywszy swój skromny posiłek pomiędzy pi- ly, siekiery, płwociny i niedopałki papierosów. „Nie- zorganizowany naród” bab, dzieci, robotników, wyle- niałych inteligentów, który w tak podniosłej chwili ośmielał się wysuwać swe indywidualne interesy, je- chać dokąds za indywidualnymi biletami, spędzony został do tej dusznej poczekalni i zamknięty na razie na klucz, aby nie przeszkadzał „narodowi zorgani- zowanemu” na placu przed dworcem w jego manife- stacji...

Dowiedziałem się wreszcie, że manifestacja odby- wa się ku czci delegatów litewskich, którzy przywieź- li z Moskwy uroczystą zgodę Rady Najwyższej ZSRR na włączenie Litwy do związku wolnych narodów. Za oknami zagrała muzyka.

Wielkie okna dworców kolejowych, dzień i noc w ciągu wielu lat wpatrzone w miasto przed podjaz- dem, z biegiem czasu zachodzą bielmem kurzu. W dodatku pajak ze strony zewnętrznej rozpostarł swą pajęczynę, więc patrzyłem przez nią jak przez kratę więzienną na tę najbardziej podłą manifesta- cję, na jaką zdobyć się może zbiorowisko ludzkie: bezwolne stado wiwatowało z okazji utracenia wol- ności, z okazji przywiezionego mu jarzma, udawało radość. Usprawiedliwiała okoliczność, że znaczna większość nie wiedziała w ogóle o co w tej manife- stacji chodzi. Natomiast wiedziała z całą pewnością i przekonaniem, że poszła na nią i pójdzie na każdą następną manifestację, że nie odmówi swego udziału, pokornie i bezwolnie, we wszystkim, czego od „mas pracujących” będzie się wymagało w przysz- łości. Tylko za samo miano przynależności do tych „mas”. Bo bez tego grozi utrata posady, prześladowa- nia, więzienie, głód, wrota NKWD. Podły strach o ru- bel w kieszeni, o własną skórę, o mleko dla dziecka, o prawo patrzenia na własne podwórko, strach – naj- bardziej przyjemne z ludzkich uczuć – stanowił bramę triumfalną dla delegatów powracających z Mo- skwy: bramę udekorowaną czerwonymi flagami.

Wmaszerowała kompania honorowa wojska li- tewskiego. Zdrowe, silne chłopcy w stalowych heł- mach, z karabinami w rękę, z których od 15 czerwca 1940 nie padł ani jeden strzał protestu, ani jeden – w obronie ich ojczyzny.

Oficer wyjął szablę z pochwy. Przyjemnie mignęła w słońcu wydłużona stal. Ale nie po to, by rąbać wro- gów, jak to przysięgał przed Bogiem. W tej chwili po śmiesznych frazesach „Bóg i Ojczyzna” depcze,

chrząc butami, cały naród, kroczący w manife- stacji komunistycznej. I oficer daje klingą znak, i kompania honorowa prezentuje broń przed zej- ściem wolności do – grobu. Zagrział hymn sowiec- ki. Delegaci litewscy wychodzą z dworca.

Poprzez cieniutką kratę zakurzonej pajęczyny wi- dzę limuzynę, która lśniąc lakierem na słońcu okrąża plac i zatacza się pod samo niemal okno. Przywiozła przedstawicieli prasy miejscowej. Z limuzyny wysia- da między innymi mój dobry znajomy, Polak, były wyższy urzędnik kolejowy dyrekcji wileńskiej, teraz – przedstawiciel polsko-komunistycznej Prawdy Wi- leńskiej. Taki jak dawniej, gdy chadzał po tym sa- mym dworcu, jak po własnym podwórku, tłusty na twarzy, rubaszny w gestach. Lubił popić przy bufecie, pogadać z dyżurnym przodownikiem policji, po- chwalić się wpływami w wyższej hierarchii urzędni- czej, patriotyzmem polskim, nabożnością, nawet an- tysemityzmem. Dwadzieścia lat wiernej służby w polskim urzędzie państwowym i dwa miesiące w prasie bolszewickiej. Tak, to on. W pumpach, z bródką, pewny siebie i... z ogromną czerwoną ko- kardą w klapie. Rok jeszcze nie minął, gdy pamię- tam... ach, co tam, głupstwo wszystko.

Mam suche oczy i sucho mi w gardle.

Znałem go rzeczywiście od bardzo dawna. Zna- łem jego żonę, ot, taką sobie, miłą, gościnną mieszc- ką, bezpretensjonalną i bardzo nabożną. Kiedyś, pa- miętam, u nas na wsi rozszalała się burza. Piorun trzasnął w sosnę, drugi rozłupał starą jabłoń. Na świecie zrobiło się czarno. Wtedy to ona, ruchem peł- nym zaufania, z książeczki do nabożeństwa wyjęła święte obrazki i ustawiła każdy w innym oknie, a sa- ma spokojnie uklękła. Burza się kończyła.

Marzeniem jej był Rzym. Na rok przed wojną z drobnych oszczędności urzędnika polskiego dał się uciulać kapitalik wystarczający na udział w wyciecz- ce do Rzymu. Pojechała. Po powrocie zbyt rozwlekłe i drobiazgowo opowiadała najdrobniejsze szczegóły. A to ją, zemdloną w Bazylce Św. Piotra, podejmował gwardzista papieski, to znówuł papież...

W okresie bolszewickim zostaje „uprawdomem” (administratorem domów znacjonalizowanych). Po- kłóciła się z pewnym lokatorem Żydem i krzyczała do niego: „Jak towarzysz śmie! Ja, stara komunist- ka!...” – i ręce ściśnięte w kulaki przyciskała do swych miękkich, trochę już zwidłych piersi.

Robotnicy, tłukący kamienie pod domem na szo- sie, pocieszali mnie:

– Jeszcze pan będziesz pisał. – Jak Polska wróci. – Jak bolszewików diabli wezmą.

Tego dnia na podwórzu pobliskiej szkoły ludowej wyznaczony był wiec przedwyborczy. Te „pierwsze wolne wybory” odbywały się w ten sposób, że nikt

nie wiedział, kim są kandydaci, i skąd się u nas w kraju wzięli. Ale też nikt absolutnie tą sprawą się nie interesował, nie pytał i oczywiście – nie protestował. Przyjęto jako rzecz jawną i najzupełniej normalną, że wszystko jest z góry narzucone, od kandydatów aż do treści ich przemówień i uchwał „mas pracujących”. Musi być też napisane w gazetach, rozplakatowane po ulicach, że wybory są „najwolniejsze na świecie”, i że „pierwszy raz w historii kraju odzwierciedlać będą prawdziwą, niefałszowaną wolę ludu pracującego”. To wszystko na opak uważano za rzecz najzupełniej normalną.

Dlaczego? Doprawdy, diabli wiedzą, dlaczego.

Poszliśmy razem. Przede mną szedł kamieniarz o mocno czerwonej, przepitej trochę twarzy. Kulął przy tym na jedną nogę, za to tym energiczniej wymachiwał lewą ręką, rozczapierzając dlaczegoś wszystkie palce. Droga wypadła przez las sosnowy. Jego rozpięta, niedbale puszczana bluza rozdymała się na wietrze przesłaniając mi widok. Z tyłu szła w milczeniu reszta robotników, i do nich to pokrzykiwał kulawy, nie odwracając głowy:

– Ja im dam wybory, taka ich mać, tam i nazad i w poprzek! To oni myślą, że oni z robotników mogą wariatów strugać! Zaczekajcie chłopcy, my im jeszcze pokażem.

– Daj Antoś lepiej spokój – odezwał się któryś i obojętnie splunął na wrzosa.

Ale kulawy uspokoił się dopiero przy zbliżaniu do szkoły. Tam na ganku wisiała już czerwona flaga. Pod nią tkwiło dwóch policjantów litewskich, jeszcze w dawnych, „burżuazyjnych” mundurach, ale bez naramienników. Znak Pogoni zastąpiła gwiazda na czapkach. Poniżej na stopniach stał mówca, nie znany nikomu w okolicy. Przed furtką mała szara limuzyna, przez której szybę dostrzec było można młodą dziewczynę. Przeglądając się w lusterku szofera, malowała sobie usta.

Mówca mówił długo i monotennie, słuchano go poziewając w zgodnej ciszy. Oklepane, wyświechtane, zbanalizowane do niemożliwości frazesy padały równo jak krople z dachu. Znać zresztą było, że agitator jest zmęczony, że już tuzin podobnych wieców dziś odklepał, i że wszędzie mówił to samo, z tą samą intonacją i tym samym gestem. Tłum stał lub siedział na trawie, nie okazując żadnego zainteresowania. Nawet oświadczenie, że „głosowanie jest obowiązkiem obywatelskim”, przeto w dokumentach stawiane będą pieczątki, nawet ten zastraszający przymus nie był nowością, i wiadano o nim zawczasu.

Siedziałem na trawie, pośrodku podwórza, gdy mówca kończąc przemówienie krzyknął: „Niech żyje Republika Radziecka!” – „Niech żyje ojciec i nauczyciel mas pracujących, nasz kochany wódz i towarzyszu, genialny Stalin!”

– Niech żyje! – ryknął pierwszy kulawy kamieniarz i szeroko wymachując lewą ręką w rozpiętej bluzie zasłonił mi znowu widok podobnie jak tam w lasku.

– Niech żyje! – wrzaśnięto ze wszystkich stron.

Policjanci stanęli na baczność. Wszyscy zerwali się z miejsc. Zostałem sam jeden na trawie, pośrodku podwórza, tak jak siedziałem, a w tej chwili jak rozduszony robak wśród depczących wokół nóg i wzniesionych do góry rąk. Wstałem w końcu, splunąłem i powlokłem się drogą do domu. Po chwili dopędzili mnie powracający z wiecu robotnicy.

Szli milcząc, jakby żując coś niesmacznego, coś co przeczuwali – nie da się łatwo strawić. Na zakręcie minął nas samochód i ciężko buksując, torował sobie w piachu drogę na następny wiec. Z okna wychyliła się ta sama dziewczyna i powiewała czerwonym szalem, machając swą chudą ręką, wystającą z rękawa równie czerwonej bluzki. Uśmiechała się przy tym, tym standardowym, typowym, sztucznym sowieckim uśmiechem, którego pełno na każdym zdjęciu, plakacie, fotografii kinowej, ilustracji gazetowej, o którym twierdzą szpalty sowieckie, wypływane codziennie z maszyn rotacyjnych, że zaświtał na ustach jako radość z wolności i szczęścia. Lepki, fałszywy, gadzinowy uśmiech spodłonej maski ludzkiej.

I znów pierwszy kulas, a za nim kilku innych podnieśli ręce i odkiwali przyjaźnie. Po czym odwracając głowę kulas odezwał się spokojnie, cedząc rzeczowo przekleństwo:

– Paszła ona k p.... matieri! k... czerwona!

– Ot, Żydówka parszywa – mruknął na wpół do siebie. – Może ona i nie Żydówka, a tak, prosto bl...

Pozostał nam jeszcze kawałek drogi piaszczystej, wyboistej, pod górę. Z lewa, wysoko nad sosnami, przypiekało słońce. Daleko, daleko już, ginął w zieleńi obłok kurzu za samochodem.

– Taksówką, taka ich mać, rozjeżdżają. Komunisty, mać ich... – odsapnął kulawy, któremu iść było ciężko.

Nie wytrzymałem:

– To po jaką cholerę darliście się „Niech żyje!”, jeśli teraz przeklinacie.

Nastała chwila ciszy, i tylko w ostatnim skwarze brzęczały jesienne muchy.

No... a to jakże inaczej?... – odpowiedział kamieniarz i odwrócił ku mnie swą nalaną twarz, na której malowało się szczere zdziwienie. ■

Przedruk za: „Wiadomości” 1947 nr 24 (63).

Tuż przed końcem 2018 roku na Netflixie pojawił się film „Bandersnatch”, będący nową, interaktywną odsłoną serialu „Czarne lustro” („Black mirror”). Co nowa forma telewizyjnej rozrywki nam daje, a co odbiera?

ACCEPT



Krzysztof Karnkowski

BANDERSNATCH, CZYLI COŚ ZA COŚ

REFUSE

JOHANN PRAS

O d emisji pierwszego odcinka „Czarnego lustra” upłynęło już osiem lat. W tym czasie zmieniło się całkiem sporo. Prawa do serii od Anglików wykupili Amerykanie z Netfliksa, powstały cztery sezony, na które złożyło się 19 odcinków i odcinków specjalnych, wreszcie – przedstawione na ekranie wizje świata stały się jeszcze bardziej realne. „Czarne lustro” w wielkim skrócie stanowi jedno wielkie, ubrane w maskujący kombinezon fantastyki ostrzeżenie przed tym, jak technologie mogą nas – w najlepszym razie – rozczarować. W najgorszym zaś zmienić życie bohaterów w piekło.

► Niekończący się koszmar

Ten ostatni aspekt jest chyba najciekawszy, choć na dłuższą metę męczący. W kilku odcinkach serialu wykorzystując nowoczesne techniki sterowania umysłem bądź wytwarzając odpowiednie warunki w otoczeniu – oczywiście z pomocą zaawansowanej techniki – bohaterom fundowano niekończący się koszmar, powtarzającą się w nieskończoność egzekucję bądź całkowite społeczne odrzucenie. Co ważne, choć karty odkrywano powoli, zawsze okazywało się w końcu, że kara spotykała winnych – morderców, pedofilów... Lecz prowokowała też pytania o granice tej kary w chwili, gdy człowiek ma możliwość być dla siebie i innych już nie tyle sądem, ile sądem ostatecznym. Technika z „Czarnego lustra” umie bowiem cierpienie rozciągnąć w nieskończoność, zbawienia jednak nie potrafi zaoferować.

W innych, na pozór łagodniejszych w wymowie opowieściach, pokazywano nam takie sytuacje, jak usługa cyfrowego klonowania osób zmarłych, doprowadzona do perfekcji rodzicielska kontrola czy przymusowe, systemowe kojarzenie w pary. I choć odcinki te obeszły się z reguły trochę łagodniej ze swoimi bohaterami, to gdy przychodzi czas na refleksję, okazuje się, iż nie są wcale mniej przerażające. Nowe techniki magazynowania naszej pamięci lub usuwania z życia nieprzyjemnych bodźców – cóż może być w tym złego? – można zapytać w pierwszej chwili. Tymczasem pytanie to nie tylko zostaje zadane, lecz także pada na nie odpowiedź. Co stanie się, gdy nadopiekuńcza matka w każdej chwili będzie mogła spojrzeć na świat oczami swojego dziecka, dziecko zaś zamiast każdego zagrożenia zobaczy tylko niewyraźną plamę? Co dostrzeże najbliższa nam osoba, mogąc dowolnie przeglądać nasze zapisane na dysku wspomnienia? A co uda się zobaczyć przełożonym? Odpowiedzi w trzecim sezonie „Czarnego lustra”.

► Prorocтво i obserwacja

W historii opowiedzianej w inauguracyjnym trzecim sezonie odcinka pt. „Na łeb, na szyję”, w którym o naszej pozycji decydują punkty na bieżąco przyznawane nam przez innych użytkowników social mediów, dla pokolenia po trzydziestce (a może już po czterdziestce, tak szybko się to zmienia) wydaje się to wizją nieodległej przyszłości, dla trochę młodszych bywa już teraźniejszością. Jeszcze nieinstytucjonalizowaną, lecz przecież tworzącą się w towarzyskich czy klasowych (w szkolnym znaczeniu) hierarchiach. „Czarne lustro” jest tu więc równocześnie prorocтwem i obserwacją, czasem też inspiracją, pojawiają się bowiem kolejne serialowe i popkulturowe produkcje, w których można znaleźć części lub nawet spore fragmenty filozofii zawartej w tym projekcie. Jako przykład mogę podać tu choćby niedawną pierwszą narodową produkcję Netfliksa z... Tajlandii, gdzie utrzymany w konwencji szkolnego horroru serial „Dziewczyna znikąd”, niestety na razie niedostępny w Polsce, ze wspomnianego „Na łeb, na szyję” czerpie w sposób wręcz nieprzyzwoity, a i tak wychodzi z tego obronną ręką.

► Mrugając do widza

Jak do tego wszystkiego ma się „Bandersnatch”? To samodzielny film, do serii nawiązujący specyficznym klimatem, lecz jednak zupełnie inny, nie tylko z racji interaktywności. Scenariusz napisał, jak we wszystkich odcinkach, Charlie Brooker. Reżyserią zajął się David Slade, odpowiedzialny wcześniej za jeden z dziwniejszych odcinków serii – „Metalhead”. Na szczęście jedynym nawiązaniem do tamtej opowieści są plakaty reklamujące grę pod tym samym, choć inaczej zapisanym tytułem jako element scenografii. „Bandersnatch”, czyli pierwszy interaktywny film Netfliksa, polega na pozostawieniu widzowi decyzji co do zachowań bohatera. Część wyborów prowadzi do takich samych zakończeń, inne, pozornie błahe, kierują jednak akcję w zupełnie innym kierunku. Trudno mówić tu o czasie trwania filmu. Pierwsze możliwe zakończenie może pojawić się raptem po kilku minutach. Jeśli jednak widz zdecyduje się na pozostawienie wyborów sprzętowi, odkrywać będzie kolejne wersje wydarzeń, na które składa się ponad 300 minut materiału. Jest to telewizyjna wersja gier paragrafowych, wydawanych w latach 80. książek, w których w podobny sposób – przechodząc do kolejnych, wskazanych ściśle stron, można było wybierać różne wersje przebiegu wyda-

rzeń. Co ciekawe, Netflix wykorzystał hasło reklamowe jednej z takich serii, której twórcy obecnie procesują się o to z nadawcą.

Być może to zresztą element zaplanowanej strategii tworzenia powiązań między latami 80., w których – nietypowo dla „Czarnego lustra” – umieszczonej akcję, a teraźniejszością. Film opowiada historię Stefana, niestabilnego emocjonalnie chłopaka piszącego grę komputerową, opartą na grze paragrafowej pod tym samym tytułem. Autor książki zwariował i zamordował żonę, wcześniej tracąc poczucie rzeczywistości i tworząc teorie o wpływie obcej ingerencji na życie ludzi. Nie będzie chyba przesadnym zaskoczeniem, że podatnemu na tego rodzaju wpływy chłopakowi szaleństwo to bardzo szybko się udzieli. Co więcej, będzie to, chcąc nie chcąc, nasza wina. Oto bowiem niewinne z pozoru wybory, takie jak wskazanie myszą lub pilotem gatunku płatków śniadaniowych czy wrzucanie do walkmana kasy, jakich dokonamy za bohatera, doprowadzą go do obsesji, że ktoś nawet błahе życiowe decyzje podejmuje za niego. To chyba najciekawszy myk twórców „Bandersnatcha”. W stopniu przewidzianym przez scenarzystów, stopniowo łądujemy w tym świecie jako postać tak samo pełnoprawna (i tak samo niepełnoprawna) jak Stefan. Będziemy mogli narzucić mu błahе lub kluczowe życiowe wybory, nie znając ich konsekwencji i poruszając się jedynie w ramach możliwości przewidzianych przez scenarzystę. Im zresztą dalej zabrnijemy w ten zwariowany w sensie dosłownym świat, tym więcej będzie takich mrugnięć okiem do widza, a w niektórych wariantach wręcz zamienia się one we wspólną kpinę w konwencji. Tyle że prawie zawsze będzie się to odbywać kosztem bohatera, jego pracy lub zdrowia psychicznego.

► Interaktywnie znaczy lepiej?

Jest to zabawa specyficzna, w której bardziej wrażliwy i refleksyjny widz znajdzie sporo ważnych pytań, może nawet o sprawy zasadnicze, choć napisać, że pozna lepiej samego siebie, to byłaby już jednak przesada. Dla wielu widzów ważnym elementem jest też nostalgia za starymi grami i archaicznymi komputerami, na które od kilku lat panuje środowiskowa moda. W ich potrzeby film – zrobiony przez takich samych maniaków (i takich samych maniaków pokazujących) – trafia idealnie. Choć jednak wszystko opiera się na intrygującym pomyśle, zawiera sporo mocnych scen, zaś postaci skonstruowane są na tyle wiarygodnie, na ile pozwala sama formuła mocno umownej rzeczywisto-

ści, zmiana filmu fabularnego w interaktywny nie odbywa się całkowicie bez strat dla niego. W chwilach, gdy bohater czeka na naszą decyzję, akcja w naturalny sposób spowalnia, lata dziurę udawanym zawahaniem. Takich momentów będzie zaś minimum kilkanaście, najpewniej zaś o wiele więcej. Można więc zaryzykować stwierdzenie, że zwłaszcza przez pierwsze fragmenty (trudno pisać tu o minutach, ponieważ czas trwania całości jest bardzo płynny) akcja traci trochę przez przyjętą konwencję interaktywną. Jeśli jednak poszczęści się nam przy wyborach lub poczekamy, aż telewizor lub komputer zrobią to za nas i doprowadzą nas do odpowiedniego miejsca, zostanie nam to wynagrodzone.

Czy „Bandersnatch” wybroniłby się jako samodzielny i tradycyjny odcinek „Czarnego lustra”? Prawdopodobnie tak. Stałby się kolejnym – po „Wersji próbnej” i „USS Callister” – epizodem z grą komputerową w roli głównej. I kolejnym filmem, w którym zaciera się granica między twórcą, dziełem i odbiorcą, nawet bez uciekania się do zabawy z pilotem. Choć to odległe skojarzenia, gdzieś w tyle głowy majaczyło mi „W paszczy szaleństwa” Johna Carpentera, lecz również o wiele nowszy brytyjski serial „Utopia”, który z „Czarnym lustrem” łączy wspólne pochodzenie – brytyjski Channel 4. Zadowoliliby fanów popkulturowych wspomnień z lat 80. i teorii spiskowych, a być może ułatwiły zadanie recenzentom, którzy mogliby o fabule opowiedzieć nieco więcej, bez obawy, że odbiorą potencjalnym widzom część frajdy. A tak, cóż, sam mam wrażenie, że napisałem o niej trochę za dużo. Wspominałem już o postaciach. Tych na ekranie pojawia się tak naprawdę tylko kilka, jednak są one wiarygodne, również w tym, co stanowi o ich specyfice, czasem bliskiej szaleństwa lub przekraczającej jego granice. Czy będzie to sam Stefan (Fionn Whitehead), kolega, genialny twórca gier (Will Poulter), lekko egzotyczny właściciel wytwórni (komik Asim Chaudhry), pani psycholog (Alice Lowe), wreszcie próbujący jakoś okiełznać szaleństwo Stefana ojciec (Craig Parkinson). Przy czym wiarygodność ta dotyczy zarówno wyglądu, jak i zachowania oraz psychologicznego tła bohaterów.

Podsumowując, „Bandersnatch” broni się zarówno jako interaktywny eksperyment, jak i jako fabuła, tyle że nie udało się jeszcze dojść w tej nowej formie do perfekcji, która pozwoliłaby stworzyć bezstratną dla obu elementów syntezę. Jesteśmy jednak na dobrej drodze. Jeśli więc ktoś ma wolnych kilka godzin, lubi „Czarne lustro” i tęskni za latami 80., nie ma się właściwie nad czym zastanawiać. ■

Królowe londyńskiego jazzu

Polityczny chaos w Wielkiej Brytanii wydaje się nie mieć końca. Pretensje o brexit i skostniałe społeczeństwo stały się także tematem młodych muzyków jazzowych. Ich polityczny protest zanurzony jest do tego w niezwykłej muzyce.

W asza królowa jest gadem" – krzyczy strona tytułowa albumu. Niby nic nowego, niechęć i ostre słowa skierowane do monarchini znane są co najmniej od pamiętnych popisów punkowców z Sex Pistols. Shabaka Hutchings, lider Sons of Kemet, to gwiazda młodej londyńskiej sceny jazzowej. Obok Kamasię Washingtona jest obecnie chyba najbardziej popularnym saksofonistą na świecie.

Z Amerykaninem łączy go jednak niewiele. Gdy w 2018 roku Washington wydał kolejny monumentalny album „Heaven and Earth” (pisał o nim we wrześniowym wydaniu „Nowego Państwa”), Shabacka Hutchings współpracował jednocześnie z kilkoma skromnymi składami (Sons of Kemet to zaledwie ułamek jego twórczości). Do swojej gry nie potrzebuje rozbudowanych orkiestr, chóru czy popkulturowych kostiumów Kalifornijczyka. Siła muzyki Hutchinsa polega na byciu naturalnym, a jej niebawala ekspresję osiąga przy zastosowaniu minimalnych środków.

„Your Queen Is A Reptile” to przy okazji jeden z najbardziej rozpolitykowanych albumów młodego saksofonisty. Lista zarzutów, które padają pod adresem angielskiej królowej, jest dość długa i rozciąga się od postkolonialnej polityki aż po brexit. Hutchings na miejsce obecnej monarchini proponuje własne kandydatki, a każdej z nich dedykuje oddzielny utwór. Listę nazwisk wypełniają przede wszystkim czarnoskóre działaczki społeczne, a wśród nich legendarna abolicjonistka Harriet Tubman, jedna z liderów sprzeciwu wobec apartheidu Albertina Sisulu czy brytyjska polityk Doreen Lawrence, której syn został zamordowany w Londynie w wyniku rasistowskiego ataku.

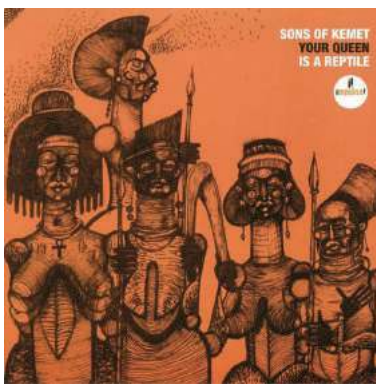
Zapatrzenie w czarnoskóre ikony nie jest przypadkowe. Londyńskie środowisko jazzowe tworzą przede wszystkim potomkowie afrykańskich i karaibskich imigrantów, a wychowany w Barbadosie Shabaka Hutchings jest właśnie jednym z jego liderów.

Na płycie energia eksploduje niemal z każdej sekundy nagrań.

Oстрым słowom towarzyszy żarliwa muzyka, której siłę napędową budują dość nietypowo jak na kwartet aż dwie perkusje. Współpraca perkusistów Seby Rochforda i Toma Skinnera robi ogromne wrażenie, a rytm, który wyzwala, zatrzymuje momentami dech w piersiach. Chwilę wytchnienia odnajdziemy w najbardziej wyciszonym i melodyjnym utworze „My Queen Is Nanny Of The Maroons”, by po chwili znów pędzić za szalonymi dźwiękami. Łącznikiem między saksofonem Hutchingsa a sekcją rytmiczną jest tubista Theon Cross. Jego pozornie nieporęczny instrument nabiera tu zupełnej lekkości i uniwersalności zastosowań. Wreszcie główny dyrygent albumu – Sha-

baka Hutchings, którego sposób grania jest niezwykle ekspresyjny, a jednocześnie głęboko zakorzeniony w tradycyjnym jazzie. Na płycie odnajdziemy wielorakie inspiracje, tym razem dominuje jednak Afryka z jej potężnym rytmem, który z biegiem utworów obrasta w kolejne dźwięki.

Na albumie nie zabrakło także gości, pojawia się m.in. znakomita saksofonistka Nubya Garcia. I to też kolejna cecha bardzo charakterystyczna dla londyńskiej sceny jazzowej. Przez poszczególne projekty przewijają się muzycy z różnych grup, za każdym razem wnosząc coś nowego do tej żywiołowej muzyki. ■



Sons of Kemet, „Your Queen Is A Reptile”, Impulse!



Natalia Ostrowska
ekspert RG SWS

Zakład Ubezpieczeń Sprawdzających

Przez ostatnie lata wydaje się, że główne działania ZUS sprowadzają się do kontrolowania prawidłowości zasad wypłacania zasiłków chorobowych i macierzyńskich. Szacuje się, że co roku Zakład przeprowadza kontrolę u ponad 500 tys. osób na zwolnieniach lekarskich. W większości przypadków są to kobiety w ciąży lub przebywające na zasiłku macierzyńskim.

Do tej pory ZUS najczęściej kwestionował zasiłek macierzyński kobiet prowadzących własną działalność gospodarczą. Prawo pozwalało im bowiem na podniesienie składki chorobowej, co oznaczało wyższy zasiłek chorobowy, a później macierzyński. Bywało, że tuż po założeniu działalności i opłaceniu jednej najwyższej składki w wysokości około 3,5 tys. zł przysługiwał zasiłek macierzyński w wysokości około 6 tys. zł miesięcznie.

W przypadku krótkiego prowadzenia działalności, a wysokiego zasiłku macierzyńskiego, ZUS najchętniej swoje podejrzenia opierał na fikcyjności prowadzenia działalności. Wówczas wdrażano procedurę: prowadzącą działalność kobietę poddawano kontroli, która polegała m.in. na wyjaśnieniu, czy firma działała naprawdę, a więc czy przynosiła dochody, czy miała klientów, czy istnieli w niej pracownicy, czy firma reklamowała swoje usługi itd. Często kobiety zgłaszające się do zasiłku otrzymywały w piśmie szereg pytań, na które udzielały odpowiedzi. Gdy ZUS był usatysfakcjonowany, po pisemnej korespondencji świadczenie zostało wypłacone. Wtedy jedynym minusem było opóźnienie w wypłacie świadczenia. Bywało jednak i tak, że ZUS kwestionował prawo do pobierania zasiłku. Przeważnie tłumaczono to fikcyjnością działalności w celu zdobycia korzyści z wypłacania świadczeń, czyli – mówiąc prościej – próbą wyłudzenia zasiłku. Sprawy często kończyły się w sądzie na korzyść kobiet, bowiem – po pierwsze – nie ma w prawie zakazu prowadzenia działalności przez kobiety w ciąży, po drugie – wysokość opłacanych składek chorobowych jest dobrowolna.

Przepisy jednak zmieniły się i obecnie wygląda to inaczej. Wysokość zasiłku macierzyńskiego po zmianie przepisów wynika nie tylko z wysokości opłacanych składek, lecz także czasu ich opłacania. Chcąc uzyskać uprawnienia do maksymalnie wysokiego zasiłku, należy zapłacić przynajmniej dwanaście wysokich składek. Kontrole ZUS przeniosły się więc na osoby zatrudnione na etacie.

Składki, często wysokie, odprowadzane podczas trwania umowy, nie budzą zastrzeżeń ZUS-u. Kiedy

jednak ubezpieczeni zgłaszają się po wypłatę zasiłku chorobowego lub macierzyńskiego, mogą zacząć się kłopoty. ZUS może bowiem stwierdzić, że ustalenie tak korzystnych warunków wynagrodzenia miało na celu wyłącznie uzyskanie wysokich świadczeń z tytułu niezdolności do pracy. Na podstawie obowiązujących przepisów wydawał więc decyzję, przyznając prawo do zasiłku od niższej kwoty. Przy czym, jak podkreślał sąd, sposoby jej ustalania były bardzo różne. Za wytyczne można było na przykład przyjąć minimalne wynagrodzenia do analogicznego dla pracownika na podobnym stanowisku lub ustalić je na podstawie wykształcenia i doświadczenia. Pokrzywdzeni odwoływali się do sądów, ale te w podobnych sprawach wydawały różne wyroki.

Po stronie ZUS-u stanął Trybunał Konstytucyjny, który orzekł w wyroku z 29 listopada 2017 roku, że ZUS ma prawo kwestionować wysokość składek na ubezpieczenie społeczne, jeżeli uzna, że firmy świadomie zawiązują zarobki pracowników w celu wyłudzenia przez nich zasiłku chorobowego. „ZUS ma obowiązek stać na straży praworządności oraz podejmować z urzędu lub na wniosek stron wszelkie czynności niezbędne do dokładnego wyjaśnienia stanu faktycznego” – podkreślił w uzasadnieniu wyroku jeden z sędziów TK.

Trudno się nie zgodzić, ZUS jako instytucja państwowa powinna stać na straży praworządności, zwłaszcza że na zasiłki jako podatnicy składamy się wszyscy. Niepokój budzi jednak to, jak głęboko Zakład może ingerować w ustalenia, które powinny obejmować jedynie pracodawcę i pracownika. Natomiast w obecnym przypadku dochodzi do tego, że to obywatel musi się w sądzie bronić przed ZUS, tymczasem to Zakład powinien udowadniać na drodze sądowej złamanie prawa przy zawieraniu umowy o pracę. Może to prowadzić również do tego, że pracodawcy będą bali się zatrudniać kobiety, a tym bardziej oferować im wysokie wynagrodzenie. Co więcej, przedsiębiorcy znów stają do nierównej walki z urzędnikami, których uprawnienia są wyższe, a być może i za wysokie. ■

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

Antoni Rybczyński

Lodówka kontra telewizor. Rosjanie boją się roku 2019

Inaczej niż rok temu, Rosja wchodzi w 2019 rok z dominującym pesymizmem, niskimi oczekiwaniami i pogłębiającym się rozczarowaniem. Miniony rok nie spełnił oczekiwań społeczeństwa – piłkarski Mundial i wybory prezydenckie w żaden sposób nie przełożyły się na poprawę warunków życia. Przeciwnie. Korzystając z Mundialu, władze ogłosiły podniesienie wieku emerytalnego o pięć lat.

FOT. MARINA LISIENKA / PAP/IMP/AGS

Ten rok zaczął się pechowo. Wybuch w Magnitogorsku 31 grudnia można uznać za zły omen. Kilka dni później, w innym mieście, doszło do kolejnego wybuchu gazu. Znow były ofiary. Tak jak te eksplozje można uznać za symbol fatalnej infrastruktury cywilnej w Rosji (choć w przypadku Magnitogorska pojawiło się później oświadczenie dżihadystów, że to oni przeprowadzili zamach), tak symbolem słabości armii było zderzenie się dwóch myśliwców Su-35. Na arenie międzynarodowej też początek roku nie był udany – na Ukrainie ostatecznie usamodzielniała się Cerkiew prawosławna. Ale to nie polityka zagraniczna czy bezpieczeństwo martwią Rosjan. Tym razem interesują ich przede wszystkim sprawy krajowe – i to te społeczno-gospodarcze. W grudniowym sondażu Centrum Lewady aż 57 proc. ankietowanych spodziewa się pogłębienia kryzysu gospodarczego w Rosji. Choć formalnie kryzysu nie ma, jest tylko stagnacja. Ale nawet to wskazuje, jakie są nastroje.

przeznaczyć je na państwowe inwestycje w programy socjalne. Ile z tego „wyparuje” pod drodze, a ile zostanie źle zainwestowane? O ile podwyżkę VAT od razu odczuwa całe społeczeństwo – kupując choćby chleb czy masło w sklepie – o tyle jednak dużo bardziej wyniszczające dla popularności władz jest podnoszenie wieku emerytalnego.

W czerwcu 2018 roku rząd zaproponował program reformy, który przewiduje m.in. podniesienie wieku emerytalnego do 65 lat dla mężczyzn i do 60 lat dla kobiet. Ekonomiści są zgodni: tak trzeba. Ale politycznie to jedna z największych porażek Putina od 2000 roku. To złamanie niepisanej umowy społecznej, która mówi, że zdecydowana większość Rosjan akceptuje autorytarne rządy w kraju i agresywną politykę zewnętrzną, ale w zamian korzysta z socjalnych profitów i naftowych zysków państwa. Tyle że petro-prosperity się skończyła, zarobki i poziom życia przestały rosnąć, a wreszcie teraz trzeba zaciskać pasa. Władza postanowiła zrzucić to na zwykłych oby-

ROSYJSKIE WŁADZE JUŻ DAWNO ZNALAZŁY SOBIE ALIBI: ZA WSZYSTKIE PROBLEMY ODPOWIADA ZACHÓD, KTÓRY NAŁOŻYŁ NA ROSJĘ SANKCJE PO ANEKSJI KRYMU W 2014 ROKU. JAKO GŁÓWNEGO WINOWAJCĘ WSKAZUJE SIĘ USA.

► Drenowanie kieszeni

Odsetek Rosjan, którzy uważają, że rok 2019 będzie gorszy niż poprzedni, wzrósł z 16 do 33 proc. w porównaniu z przełomem lat 2017 i 2018. Ale nie ma się co dziwić. Rok 2019 do historii przejdzie bowiem jako czas wprowadzenia dwóch najbardziej niepopularnych w czasach Putina reform. Chodzi o podwyżkę VAT z 18 do 20 proc. oraz rozpoczęcie procesu podnoszenia wieku emerytalnego. Paradoks polega na tym, że VAT idzie w górę w momencie, gdy Rosjanie biednieją już cztery lata pod rząd. A przecież w budżecie pieniądze są. Nadwyżka w 2018 roku przekroczyła 3,4 bln rubli. Projekt na 2019 rok zakłada zaś nadwyżkę na poziomie niemal 2 bln rubli. Ale rząd tłumaczy, że chodzi o pozyskanie dodatkowych 600 mld rubli na realizację majorowego dekretu prezydenta, przewidującego redukcję biedy w Rosji. Tak więc władza odbierze pieniądze wszystkim, także tym biednym, aby

wateli. Dla zdecydowanej większości rosyjskich emerytów ich świadczenie to pewny i ważny składnik domowego budżetu. Bo i tak niemal wszyscy dorabiają, a często nawet to emerytura jest dodatkiem. Podniesienie wieku oznacza, że ten zastrzyk gotówki nastąpi później. Wielu poczuło się okradzionymi. Część osób zresztą nowego, wyższego wieku emerytalnego po prostu nie dożyje.

W efekcie choć gospodarka wcale nie jest w recesji, jak to było przez dwa lata po tąpnięciu cen ropy w 2014 roku i nałożeniu sankcji zachodnich, badania pokazują, że większość Rosjan myśli, iż jest kryzys. Widać to w wydatkach gospodarstw domowych. A sondaż z października 2018 roku dotyczący długoterminowych planów pokazał, że 46 proc. Rosjan „nie wie nawet, co się z nimi wydarzy w ciągu kilku najbliższych miesięcy”. To o 10 punktów procentowych więcej niż w maju 2016 roku. To nie sankcje są jednak największym problemem gospodarki. Dominacja państwa w biznesie, korup-

cja, nepotyzm i policyjna presja – to prawdziwe powody stagnacji. A tu działań naprawczych państwa trudno się spodziewać.

► „Projekty narodowe” a wychodki

Putin wciąż mówi o „przełomie”, ale dekrety prezydenckie nie zmieniają realiów stagnacji. Na Forum Gajdara w styczniu szef Izby Obrachunkowej, podobno bliski Putinowi Aleksiej Kudrin, powiedział, że osiągnięcie wzrostu 3–3,5 proc., aby wejść do piątki największych gospodarek świata, nie jest możliwe tylko dzięki realizacji projektów narodowych. Kudrin wzywa do strukturalnych reform. Tymczasem rząd za pomocą 12 projektów narodowych planuje realizować dekret Putina o celach rozwoju Rosji do 2024 roku. W ciągu ostatniego roku Putin co najmniej trzy razy wzywał do technologicznego „przełomu”, który tchnie nowe życie w gospodarkę i podniesie standardy życia – w ośrodku do narodu w marcu 2018 roku, w mowie inauguracyjnej nową prezydenturę (maj 2018) i na dorocznej konferencji prasowej 20 grudnia 2018 roku. I nic. Zakłęcia w gospodarce nie działają. Jest nawet gorzej. Wspomniany Kudrin ostrzegł jeszcze w listopadzie 2018 roku, że gospodarka jest w jednym z najdłuższych i najgłębszych kryzysów od drugiej wojny światowej. Nawet jeśli zachodnie sankcje to niejedyny i nie główny powód stagnacji, to na pewno jeden z najważniejszych powodów odbicia się gospodarki – gdyż blokują transfer technologii i utrudniają zewnętrzne finansowanie.

Bank Światowy zrewidował swoją prognozę, obniżając wzrost gospodarczy w Rosji w 2019 roku do 1,5 proc. A i tak wydaje się to zbyt optymistyczne. Inflacja przyspieszyła, a dochody gospodarstw domowych spadają. Szczególnie alarmująco wygląda rosnący odsetek niespłaconych kredytów hipotecznych. Realnym problemem państwa jest obecnie niezdolność podwyższenia poziomu życia ludności. Przez cztery ostatnie lata Rosjanie stracili 10–15 proc. swoich dochodów. W 2018 roku, gdy urzędnicy mówili o rekordowym wzroście realnej płacy – o 9 proc. – dochody Rosjan i tak praktycznie nie wzrosły. Według szacunków Izby Obrachunkowej, w 2018 roku Rosjanie stali się bogatsi maksymalnie o... 0,4 proc. Według Rosstatu, liczba Rosjan żyjących poniżej oficjalnego progu ubóstwa (miesięczny dochód poniżej 11 280 rubli) od trzech lat przekracza 19 mln. Obecnie 57 procent Rosjan jest zadłużonych, przy czym połowa z nich w co najmniej dwóch bankach lub firmach pożyczkowych. Nawet jeden z prezydenckich instytutów badawczo-naukowych w listopadowym raporcie napisał, że 22 proc. Rosjan żyje w biedzie, a kolejne

36 proc. ma problem, by kupić coś poza jedzeniem i ubraniami.

Ostatnio Rosstat opublikował raport, z którego wynika, że 35 mln Rosjan żyje w domach lub mieszkaniach bez toalety w środku. 47 milionów nie ma ciepłej wody bieżącej, 29 mln nie ma w ogóle bieżącej wody, a 22 mln nie ma centralnego ogrzewania. A to są wszystko dane oficjalnej państwowej instytucji... Tylko dwie trzecie mieszkańców putinowskiego mocarstwa ma wygody typowe dla normalnego rozwiniętego społeczeństwa (bieżąca woda, toaleta, ogrzewanie oraz gaz lub prąd). Już kilkanaście kilometrów za Moskwą zaczyna się dramat.

► Lodówka atakuje

Jeszcze do niedawna nie miała ta bieda wpływu na notowania reżimu. Ale i to się zaczyna zmieniać. W sondażu państwowego (!) ośrodka WЦИОМ w styczniu 2019 roku tylko 33,4 proc. Rosjan zadeklarowało, że ufa Putinowi. To najniższy wynik w historii. I nie widać, by Putin wiedział, jak temu zapobiec. Wcześniej miał więcej szczęścia niż własnych umiejętności. W dwóch pierwszych kadencjach (2000–2008) właściwie nie musiał nic robić. Hossa na rynkach naftowych napędzała gospodarkę i podnosiła poziom życia Rosjan. Na scenie międzynarodowej Zachód miał Putina za cenionego partnera, m.in. w wojnie z islamskim terroryzmem, i przymykał oczy na kolejne autokratyczne działania prezydenta Rosji. Dziś ceny ropy spadają, a w relacjach z Zachodem trwa kryzys. Krymska euforia już dawno wyparowała, a przeciętny Rosjanin przeniósł uwagę z telewizora na lodówkę – jak zauważyła publicystka Tatiana Stanowaja. Krymski sukces dziś zaczyna być postrzegany jako strategiczny błąd Putina. Coraz więcej Rosjan uważa, że aneksja Krymu wywołała nową zimną wojnę z Zachodem i spowodowała większe problemy gospodarcze w kraju.

Dotychczas Putinowi udawało się na ogół unikać odpowiedzialności za niepopularne decyzje władz i problemy Rosji i Rosjan. Winni byli zawsze ci sami: Zachód, rząd, niekompetentni i skorumpowani urzędnicy. Sondaż Lewady z końca listopada ubiegłego roku zapewne zaniepokoił Kreml bardziej niż wyniki wskazujące na to, że coraz mniej Rosjan głosowałoby na Putina (56 proc. wobec 66 proc. rok wcześniej). To ostatnie łatwo odwrócić różnymi trickami politycznymi. Gorzej, gdy 61 proc. ankietowanych mówi, że Putin ponosi pełną odpowiedzialność za problemy Rosji. A 22 procent twierdzi, że ponosi on częściową odpowiedzialność. Jeszcze nigdy nie było tak wysokiego odsetka Rosjan (82 proc.) widzących w Putinie nie dobrego cara, lecz prezydenta z racji

pełnionego stanowiska odpowiedzialnego nie tylko za to co dobre, lecz także za to co złe.

Grudniowe badanie pokazało, że 53 proc. Rosjan oczekuje dymisji rządu Dmitrija Miedwiediewa. To najgorszy taki wskaźnik rządu rosyjskiego od 2002 roku. Przeciwnie jest 40 proc. W listopadzie za dymisją było 33 proc. Główny powód niezadowolenia? Polityka ekonomiczna i socjalna. 57 procent Rosjan wini rząd za nieskuteczną walkę ze wzrostem cen i spadkiem dochodów ludności. Politolog Dmitrij Orieszkin mówi, że wyniki badań nastrojów społecznych jednoznacznie wskazują, że „łodówka przeszła do ataku w relacjach z telewizorem”. Ale też trudno się spodziewać, by niepopularność rządu miała skłonić Putina do wymiany rządzących. Ekipa Miedwiediewa od dawna pełni rolę zderzaka, przyjmując na siebie najwięcej krytyki za niepopularne działania społeczno-gospodarcze. W „Grze o tron” pojawia się kultowe już stwierdzenie: „To co martwe, umrzeć nie może”. W warunkach rosyjskich, odnosząc się do wyników popularności rządu Miedwiediewa, można użyć takiej parafrazy: „To co leży na dnie, utonąć nie może”.

► Sfrustrowany jak Rosjanin

Władze już dawno znalazły sobie alibi: za wszystkie problemy odpowiada Zachód, który nałożył na Rosję sankcje po aneksji Krymu w 2014 roku. Jako główne winowajcę wskazuje się USA. To kryzys w relacjach z Waszyngtonem i niespełnione nadzieje po szczycie w Helsinkach były największym rozczarowaniem w polityce zagranicznej Rosji w 2018 roku. Dużym problemem stała się decyzja Trumpa o wyjściu USA z traktatu rozbrojeniowego INF. Putin podjął wyzwanie i strasząc nowymi typami broni (z rakieta Awangard na czele), wprowadza Rosję na ścieżkę wyścigu zbrojeń. Co nie może się skończyć dla Moskwy dobrze. Ale mimo wszystko Putin najlepiej odnajduje się na szczytach międzynarodowych czy gdy w otoczeniu generałów straszy nowymi raketami. Polityka krajowa zaczyna go nużyć. Mówienie o emeryturach czy wizyty w miejscu katastrof, jak w Magnitogorsku, to przykry uciążliwy obowiązek. Już nawet telekonferencja z obywatelami miesiąc po prezydenckiej inauguracji wypadła słabo – widać było, że Putina momentami w ogóle nie interesuje, co mówią rodacy. Coraz rzadziej również Putin wybiera się na krajowe wycieczki. Efekt? W fasadzie wizerunkowo-propagandowej budowl pod tytułem „dobry car, zły bojarzy” pojawia się coraz więcej rys. Rosjanie w terenie widzą, że Putin coraz mniej się nimi interesuje i coraz gorzej dyscyplinuje miejscowe władze. Zresztą spektakularnym przykładem takich zaniechań była seria porażek obozu kremlowskiego w jesiennych wyborach regionalnych.

Zakończone kilkoma poważnymi porażkami kandydatów popieranych przez Kreml oznaczają, że „krymski konsensus jest martwy” – twierdzi Kontantin Gaze. Związany z Carnegie Moscow Center publicysta napisał 21 września, że wybory „ujawniły, iż rosyjskie społeczeństwo jest sfrustrowane, niepewne przyszłości, naelektryzowane nastrojami protestu”. Rosjanie są zły już niemal w takim stopniu, jak w 2011 roku, gdy także zimą doszło do największych antyrządowych demonstracji od początku panowania Putina.

Ale wysoki stopień negatywnej oceny instytucji władzy nie przekłada się na gotowość do protestów na ulicach czy do strajków. Tutaj reżim może się póki co czuć bezpiecznie. Tyle że oprócz ulicznych demonstracji jest jeszcze jedna forma wyrażenia potencjału protestu – głosowanie. Już ostatniej jesieni podczas wyborów gubernatorów, w czterech regionach kandydaci władzy nie zdołali wygrać w pierwszej turze, a w drugiej ludzie głosowali na każdego, byle nie z Jednej Rosji. W tym roku regionalne wybory różnego szczebla mają się odbyć 8 września. Rosjanie będą wybierać liderów aż 16 podmiotów Federacji, w tym gubernatora Sankt Petersburga. W Moskwie odbędą się zaś wybory do miejskiej Dumy. Ostatnia jesień pokazała, że wybory znów zaczynają przedstawiać dla reżimu poważne zagrożenie. Właśnie jako możliwość wyrażenia przez ludzi protestu przeciwko panującej sytuacji. Bezpieczniej i wygodniej jest raz czy dwa razy pójść i wrzucić anonimowo kartę z głosem przeciwko kandydatowi obozu rządzącego, niż ryzykować wejście w tłum demonstrantów, pod pilne oko mściwej bezpieki. Aleksiej Nawalny już promuje taktykę skonsolidowanego głosowania przeciwko kandydatom Jednej Rosji w wyborach dowolnego szczebla. Nawalny proponuje, by w każdym okręgu wskazać jednego, najbardziej popularnego kandydata opozycji (i systemowej, i niesystemowej) i popierać go przeciwko kandydatowi władzy. Ale nie wiadomo, czy to zda egzamin. Jakby co, Rosjanom pozostaje jeszcze jedna forma okazania stosunku do władzy: przyszłowiowe głosowanie nogami.

Według Rosstatu w latach 2012–2017 z kraju wyjechało na stałe 1,7 mln ludzi. Tyle że to drastycznie zaniżona liczba. Wystarczy porównać oficjalne dane rosyjskie z danymi imigracyjnymi innych państw, do których przyjeżdżali Rosjanie. Na przykład według administracji imigracyjnej USA, do tego kraju przyjechało w 2017 roku sześć razy więcej Rosjan, niż twierdzi Rosstat. Jeśli chodzi o Czechy i Węgry, ta różnica jest jeszcze większa: 12 i 14 razy. Rosja Putina zmierza wielkimi krokami ku sytuacji, gdy w kraju żyć będą już tylko wojskowi, policjanci, urzędnicy oraz ci, którzy nie mogą wyjechać za granicę, czyli głównie ubodzy obywatele. ■

Niechciane dziecko Willkommenskultur

Olga Doleśniak-Harczuk



Spółeczeństwa równoległe Berlina, Kolonii, Essen, zatopione w formalinie, odgrozione szkłem słoika od kraju-żywiciela. Mała Anatolia, mały Damaszek, mały Bejrut. Niby wszystko takie małe, a jednak na tyle istotne, by frapować nie tylko speców od integracji czy tropiące sensację media, lecz także niemiecki wymiar sprawiedliwości. Klany przestępcze, mordy honorowe, raperzy flirtujący z gangsterami. Świat poza zasięgiem tubylczych władz, socjologów, psychologów, nieczuły na zachwyty religią multi kulti, zaimpregnowany na postulat „reformy islamu na wzór Lutra”. Spółeczeństwo równoległe niczym sieć eksterytorialnych korytarzy przecinających Niemcy na dwa obozy. Co innego jednak nosić chustę i preferować halal, a co innego mordować i grabić, jakby państwa nie było. Jakby państwo było... teoretyczne.

W 2015 roku, z nastaniem kryzysu imigracyjnego, temat paralelnych struktur zakreślonych od lat 60. XX wieku wewnątrz Niemiec jakby przybrał. Politycy i dziennikarze zajęli się nowymi przybyszami z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Zadawano sobie pytania o to, ilu ich przyjechało, jaka jest struktura demograficzna nowego żywiołu ludzkiego, gdzie ich zakwaterować, ilu z nich może na miejscu, w ciepłarnianych warunkach zachodniego państwa opiekuńczego rozwinąć potencjał terrorystyczny, a kto ma szansę na reedukację w duchu niemieckiego Ordningu. Związki pracodawców cieszyły się na nową siłę roboczą, organizacje pozarządowe i firmy konsultingowe liczyły na wpływy z tytułu wsparcia udzielanego podmiotom rządowym w związku z kryzysem. O tym, że się w swoich oczekiwaniach nie przeliczyły, świadczy niedawna odpowiedź rządu niemieckiego na zapytanie Alternatywy dla Niemiec (AfD) o koszt tego wsparcia. W połowie stycznia tego roku Berlin przyznał, że od 2015 roku na opłacenie zewnętrznych firm doradczych specjalizujących się – jak się okazuje – również w kwestii imigracji, wydano z kasy państwa blisko 60 mln euro, z czego 48 mln trafiło na konto firm doradzających Federalnemu Urzędowi ds. Migracji i Uchodźców (BAMF). Przy okazji ujawnienia tej informacji wyszło na jaw, że funkcję doradcą przy tym urzędzie pełnił również były jego szef, Frank-Jürgen Weise, który kierował BAMF od września 2015 do końca 2016 roku. Następnie z kontraktem doradcy przez kolejny rok udzielał swojemu byłemu pracodawcy porad z pozycji pełnomocnika Federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ds. Integralnego Zarządzania Uchodźcami, otrzymując w 2017 roku wynagrodzenie w wysokości 83 tys. euro. Politycy AfD nie kryli satysfakcji, mogąc wykaazać, że państwo nie dość, że marnotrawi pieniądze podatnika na zewnętrznych doradców (warto sobie przypomnieć, jakie zwykany spotkały ostatnio za podobny proceder szefową niemieckiego MON-u, Ursulę von der Leyen), to jeszcze wysoko postawieni urzędnicy państwowi dorabiają sobie do pensji, żerując na znajomościach w aparacie władzy. Niemcy nie przepadają za takimi aferami. AfD wie, w jakie tony uderzyć, by zapunktować, zwłaszcza przed majowymi wyborami do Parlamentu Europejskiego i tymi do landtagów na wschodzie kraju zaplanowanymi na wrzesień.

► Ja wam wszystko przetłumaczę

Wracając jednak do zainteresowania niemieckiej opinii publicznej m.in. imigrantami starszej fali –

do dopiero na przełomie marca i kwietnia 2016 roku na czołówki gazet wróciły doniesienia o poczynaniach arabskich klanów, sztandarowych reprezentantów przestępczego sektora społeczeństwa równoległego. Członkowie grupy przenikali w charakterze tłumaczy do instytucji odpowiedzialnych za zarządzanie kryzysem uchodźczym. Jak ustaliła rozgłośnia RBB, przez dziewięć miesięcy pięć osób związanych z arabskim półświatkiem udzielało się w Krajowym Urzędzie Zdrowia i Spraw Socjalnych (LaGeSo), będącym pierwszym w Berlinie przystankiem dla setek tysięcy imigrantów. Już w styczniu 2016 roku eksperci bili na alarm, że arabskie klany mają oko na nowo przybyłych muzułmanów i będą spośród nich werbować nowych członków. Za najbardziej narażone na aktywność przestępców uznano wtedy ośrodki dla uchodźców, które już wcześniej zaczęły przyciągać na przykład salafitów. Sebastian Fiedler, przewodniczący Związku Zawodowego Policji Kryminalnej (BDK) w Nordrhein Westfalen, po pamiętnych zajściach sylwestrowych w Kolonii ostrzegł, że arabscy kryminaliści szukają kontaktu z imigrantami z Bliskiego Wschodu w ośrodkach i za pośrednictwem portali społecznościowych. Fiedler mówił, że imigranci zarobkowi z Algierii, Maroka i Tunezji mogą być zatrudniani przez doskonale znane niemieckiej policji arabskie klany przestępcze do rozbojów i kradzieży. Ekspert zalecał wtedy monitoring w ośrodkach dla uchodźców. Dzięki kamerom proceder miał zostać przynajmniej pod kontrolą. Nie przewidział jednak, że to niemieccy urzędnicy wypuszczą wilka do owczarni i jeszcze mu zapłacą za pomoc.

Według „Berliner Zeitung” „tłumacze” z LaGeSo należeli do palestyńskiego klanu Abou-Chaker. Policja szacuje, że w samym Berlinie mieszka od 300 do 500 członków tej rodziny, która nosi wszelkie znamiona zorganizowanej grupy przestępczej. Członkowie klanu trudnią się wymuszaniem haraczy, handlem bronią i narkotykami oraz kontrolą seksbiznesu wokół reprezentacyjnego KuDammu. Prokuratura w Berlinie kilka lat temu uznała działalność klanu za przestępczą. Samą rodzinę otacza nimb nie tylko kryminału, lecz także pewnego rodzaju prominencji, a to za sprawą popularnego w Niemczech rapera Bushido, o czym za chwilę.

► Chłopak z klanu – ochrona doskonała

Kiedy wybuchła afera z arabskimi tłumaczami w LaGeSo, do władz w Berlinie dotarło, że przyjmując blisko 1,8 mln nowych kandydatów na przyspieszone kursy integracyjne, do tej pory nie zdołały przekonać do integracji licznej społeczno-

ści mużułmańskiej, potomków Gastarbeiterów tureckich, drugiej i trzeciej generacji uchodźców z Libanu, Kurdów, obywateli Tunezji, Maroka i wielu innych. Przy czym klany arabskie to najtrudniejszy przeciwnik, „integracjoodporny” z natury i przekonania. Problem nie umknął uwadze intelektualnego zaplecza CDU. Na łamach wydawanego przez Fundację Konrada Adenauera magazynu „Die Politische Meinung” (numer maj/czerwiec 2018 r.) poświęconego przestępczości w Niemczech o klanach ciekawie pisał Karlheinz Gaertner, były komendant główny policji berlińskiej. „Jeszcze bardziej bezczelni, pozbawieni skrupułów, agresywni i pazerni!” – cytuje zawołanie klanów Gaertner, tłumacząc, że klany opracowały własny kodeks stojący w sprzeczności z zasadami państwa prawa i jest to już stan nie do odwrócenia, wini przy okazji politycznych decydentów za wieloletnie patrzyenie przez palce na kryminalistów, na wychodzenie im naprzeciw z fałszywie pojętą tole-

► Atak serca na zawołanie

Berlin to bastion około 25 klanów arabskich, każdy z nich liczy od 50 do 500 członków, a sześć ma opinię organizacji przestępczych. W latach 90. policja alarmowała, że tylko w dzielnicy Neukölln działa dwanaście libańsko-kurdyjskich familii. W tym czasie uspokajano jednak, że rodziny to głównie uciekinierzy wojenni i z pewnością wrócą jeszcze do swoich ojczyzn, kiedy sytuacja się uspokoi. Stało się inaczej. Klany zostały, ich członkowie okazali się odporni na integracyjną misję państwa niemieckiego, pierwsze co zrobili to „porządek na dzielnicy”, czyli wygryzienie niemieckiej przestępczości zorganizowanej z terenu, który od razu uznali za własny. I tak jest do dziś. To oni rządzą, zbierają haracze, zastraszają nadgorliwych stróżów prawa, podsyłając na przykład pod szkoły, do których uczęszczają ich dzieci, czarne limuzyny na zasadzie „jak będziesz zbyt dociekliwy, coś się stanie twoim

KAŻDY KTO CHOĆ RAZ ZAPUŚCIŁ SIĘ W OKOLICE EMSERSTRASSE, PODSKÓRNICIE WYCZUJE,
ŻE TO TEREN WYJĘTY SPOD PRAWA. ARABSKIE KAFEJKI Z AUTOMATAMI, SHISHA-BARY,
TURECKIE PIEKARNIE, CO KILKA METRÓW KIOSK, JAKIŚ PUNKT USŁUGOWY
– WSZYSTKO W RĘKACH KLANÓW.

rancją na ustach. Tolerancją, która w oczach „panów dzielnicy” jest niczym innym jak wyrazem słabości i poddaństwa, jedynie prowokującą do przekraczania kolejnych granic w państwie, które mają za nic.

Gaertner wspomina o skoku arabskich kryminalistów na dom towarowy KaDeWe w 2015 roku, o zuchwałej kradzieży z Bode Museum ważącej 100 kilogramów złotej monety Big Maple Leaf w marcu 2017 roku. Kilka tygodni temu zaczął się w Berlinie proces trzech sprawców tego rabunku, wszyscy należą do arabskiej familii, jeden z nich był zatrudniony w muzeum w charakterze... ochroniarza. Były komendant przytacza ponadto rozmowy z młodocianymi członkami klanu, którzy nawet złapani na gorącym uczynku bez cienia skruchy w szczegółach opowiadają policjantom o swoim „fantastycznym życiu poza prawem”. – Czego wy chcecie, gliny? Mamy super życie! Rozbijamy się luksusowymi wozami, mamy kasę, wynajmujemy polskie prostytutki, kupujemy wia-grę i całą noc szalejemy w najlepszych hotelach Berlina – cytuje jednego z nich Gaertner.

bliskim”. Kiedy dochodzi do policyjnej akcji, mężczyźni są agresywni, a ich matki, żony, siostry symulują zawał serca i napady wszelkich innych chorób, kończy się rozróbą na setki głosów. Jedni mdleją, inni wyciągają noże.

Kryzys migracyjny dodatkowo uskrzydlił wyobraźnię i zmysł biznesowy arabskich klanów. – Interes z uchodźcami stał się w międzyczasie bardziej opłacalny niż handel narkotykami – komentował już trzy lata temu Heinz Buschowsky (SPD), do 2015 roku burmistrz sławnego Neukölln. Buschowsky wie, co mówi, łącznie 16 lat rządził w jednej z najbardziej problematycznych dzielnic Berlina, a swoje spostrzeżenia spisał w dwóch bestsellerowych książkach. Dziś jego słowa przypominają sobie policjanci, regularnie zatrzymujący młodocianych uchodźców z nowej fali sprzedających narkotyki w berlińskich parkach i na stacjach metra. Dealerzy mają podrobione papiery, z fałszywą datą urodzenia, im młodszy, tym niższa kara albo żadnej kary. I o to chodzi. Po co narażać członków klanu, jak można nastoletnich Syryjczyków, Irakijczyków, Marokańczyków, nowych żołnierzy ćwiczonych w lojalności do ręki, która ich karmi.

► Witać się w Arablandzie

Każdy kto choć raz zapuścił się w okolice Emserstrasse, krzyżowanie z Hermannstrasse na Neuköllnie nazywanym przez policjantów „Araberland”, podskórnie wyczuje, że to teren wyjęty spod prawa. Arabskie kafejki z automatami, shisha-bary, tureckie piekarnie, co kilka metrów kiosk, jakiś punkt usługowy – wszystko w rękach rodzin. Każda sprzeczka, nawet pozornie niewinna, może się zakończyć masową bijatyką. Kiedy jeden członek klanu ma zatarg z policją, na odsiecz przybywa kilkadziesiąt osób, policja nie ma szans w starciu z taką masą. W internecie krążą nagrania tego typu zdarzeń filmowanych na Neuköllnie, ale i na Weddingu, kolejnym zagłębiu klanów. Nie inaczej jest w Essen, przy okrytej złą sławą Kreuzeskirchstrasse w północnej części śródmieścia grasuje kilka klanów liczących łącznie od 12 do 15 tys. członków. Niemcy prowadzący w tej okolicy sklepy są szantażowani, dochodzi do wyłudzeń, kryminaliści mają za nic policję, ekipa telewizyjna, która chciała sfilmować ulicę i jej mieszkańców, została brutalnie potraktowana, wszystko w asyście sparaliżowanego strachem stróża prawa. Policja w Essen nie jest w 100 procentach strachliwa, stara się jak może, ale jak widać – może niewiele. Walczy póki co z klanami, kontrolując arabskich kierowców luksusowych aut, przy kontrolach padają pytania o źródła dochodu. Regułą jest, że kierowca to bezrobotny żyjący z zasiłku, a auto jest zarejestrowane na słupa. Po dwóch, trzech dniach samochód wraca do klanu, policja rozkłada ręce. Rodziny mogą sobie pozwolić na opłacanie niemieckich prawników, którzy zawsze znajdą sposób na obronę kryminalnego procederu. Jeden z takich adwokatów pytany przez ARD o sytuację, w której policjantka została dotkliwie pobita przez członków klanu, tłumaczył, że to policja doprowadziła do eskalacji, ponieważ wysłała niedoświadczonych ludzi, „którzy przecież powinni sobie zdawać sprawę, jak drażliwie klany reagują na widok funkcjonariuszy”... I tak w kółko.

► Dobrze rady Khalila

W Niemczech wiele domów wynajmowanych na potrzebę zakwaterowania imigrantów jest w rękach libańsko-kurdyjskich. I państwo płaci im za to niemałe pieniądze. Jak podawał w 2016 roku magazyn „Focus”, na przykład za 20-metrowy pokój, w którym umieszczono pięcioosobową rodzinę z Syrii, państwo płaci właścicielowi lokum 3,7 tys. euro miesięcznie. Absurd, ponieważ w Berlinie można już spokojnie wynająć mieszkanie za około

1000–1800 euro, i to znacznie większe. Ale na próżno doszukiwać się tu logiki. Presja, by jak najszybciej zakwaterować jak największą liczbę imigrantów, zwłaszcza w początkowej fazie kryzysu, była bardzo silna, urzędnicy nie mieli ani czasu, ani mocy przerobowych, by sprawdzać, do kogo należy nieruchomość i dlaczego cena wynajmu jest tak wygórowana. Wymarzona sytuacja dla struktur mafijnych. W ostatnich miesiącach coś się jednak ruszyło. W Berlinie zajęto 77 nieruchomości należących do jednego z libańskich klanów. Jak tłumaczy anonimowy były członek klanu, a dziś pracownik społeczny w służbie niemieckiego aparatu urzędniczego, nazywany w mediach Khalilem, najboleśniejszy cios w klany to właśnie ten zadany w ich finanse. Khalil proponuje, by powiązać wypłacanie rodzinom arabskim świadczeń socjalnych na dzieci z ich uczęszczaniem do szkoły, większość dzieci klanowych nie uznaje szkoły, zdobycie jakiegokolwiek wykształcenia w tym środowisku uchodzi za kolejne skażenie niemieckością. Tajemnicą poliszynela jest to, że oficjalnie klany żyją z socjału, nieoficjalnie z kryminalnego procederu. Przykład z Essen to jeden z tysięcy. W Turcji są całe wioski żyjące z pieniędzy przesyłanych przez arabskie klany, które stamtąd przybyły do Europy w latach 80. Willa na willi i zadowoleni z niemieckich krewnych starszaki, którzy w końcu „żyją po ludzku”. Taki obrazek wyłania się przynajmniej z serii filmów dokumentalnych o życiu klanów, jakie w ostatnich dwóch latach wyprodukowała niemiecka telewizja publiczna, wysyłając swoich reporterów w ślad za odnogami berlińskich czy kolońskich rodzin.

► Bushido już nie lubi Mefista

„Żyjemy równolegle, mamy swoje zasady, porachunki załatwiamy w swoim sosie, nie dzwoniemy na policję. A gliny zawsze chcą widzieć Kanaka za kratami. [...] Wszyscy moi ludzie są na posterunku, czujni, bo już słychać strzały, dzieciaki jak żywa broń biegają dookoła, zadadzą cios bez wahania” – cedzi przez zęby serbski raper Crackaveli w utworze „Społeczeństwo równoległe”. Eko Fresh – gwiazda tureckiego rapu nad Sprewą – śpiewa o Turczyźnie zamordowanej przez brata za splamienie honoru rodziny – vide: romans z Niemcem. Na teledysku licha trumna rzucona w piach, płaczące kobiety i twardzi mężczyźni, którzy też się trochę smucą, ale sami nie mają lepszej recepty na „zepsute” siostry jak dźgnięcie nożem czy kula w skroń. Tunezyjsko-niemiecki raper Bushido, ikona raperskiego światka z Tempelhofu, w utworze „Mephisto” rozprawia się z cieniem przeszłości, z gangsterem, który wyciągnął do

niego rękę, by potem w zamian za opiekę i łatwe życie zażądać jego duszy. Przez ponad dziesięć minut Bushido opowiada o wybawcy-Mefistofelesie, który wkracza w życie zrezygnowanego chłopaka wychowywanego przez samotną matkę i spełnia każde jego życzenie, wynosi go na sam szczyt. „Przyszedł do niego i rzekł: Możesz mieć, co zechcesz, czekam na rozkazy. Nie chcę od ciebie wiele, jedynie twej duszy. [...] I nagle już nie musiał się o nic martwić, nowy sound electro, chłopak i getto, stał się biznesmenem, brutto przeszło w netto. [...] Dusza sprzedana, chłopak wspiął się na tron, idol dla wielu, ale z iluzją wolności, bo Mefisto miał swój plan [...]”. Duchy, które wezwał, oczekiwały trybutu, w głowie głosy, a na rękach krew, noce coraz dłuższe, ale niebo już bez gwiazd, dokądkolwiek poszedł, płonęła ziemia”.

Zorientowani w temacie odgadną w tytułowym Mefistofelesie Arafata Abou-Chakera, szefa palestyńskiego klanu, którego członkowie tak ślicznie bawili się w tłumaczy w LaGeSo. Arafat Abou-Chaker przez wiele lat był managerem Bushido, nie uniikał czerwonego dywanu, brylowanie wśród celebrytów sprawiało mu ewidentnie satysfakcję i co najważniejsze – podnosiło prestiż kryminalnego klanu. Drogi obu panów rozeszły się jednak, do rozwodu doszło wiosną ubiegłego roku. Bushido miał zacząć szukać ochrony u innego klanu. Arafat stracił nie tylko żylę złota, stawką był honor klanu, ochrony nie zmienia się jak rękawiczek. Bushido miał zapłacić za swoją niewdzięczność. „Nazwisko Abou-Chaker jest w Berlinie legendarne. Tak jak w latach 20. w Chicago legendarne było nazwisko Al Capone” – pisał jeszcze w 2008 na kartach swojej autobiografii Bushido. Potem członkowie klanu pojawiali się regularnie w jego teledyskach, a do mediów w 2010 roku wypłynęło kuriozalne upoważnienie udzielone Arafatowi przez rapera do „rozporządzania jego życiem”. Magazyn „Stern” obwołał na swoich łamach w 2013 roku ten dokument „aktem adopcijnym Bushido” przypieczętowanym przez Arafata Abou-Chakera. Panowie tak się lubili, że nawet zakupili dwie sąsiadujące ze sobą wille na przedmieściach Berlina. I nagle coś pękło. Z tekstu „Mefista” wylania się mroczny scenariusz szatańskiego mistrza i ubezwłasnowolnionego ucznia. A magazyn „Stern” tak jak wcześniej rozpisywał się o adopcji rapera przez gangstera, tak we wrześniu 2018 roku opublikował wywiad z Bushido i jego żoną, Anną-Marią Ferchichim, w którym oboje zwierzą się czytelnikom z piekła, jakie zgotował im szef klanu. – On decydował o całym życiu mojego męża. Oczywiście że teraz się boimy zemsty, tego, że ktoś wypali z broni do mojego męża, co dzień liczymy się z ta-

ką sytuacją, ale staramy się o tym nie myśleć, co innego nam pozostało? – mówiła żona rapera. Arafat miał zarządzać ich życiem w każdym aspekcie, to on zdecydował o tym, że pogrzeb matki Bushido zostanie odprowadzony zgodnie z tradycją islamską, gdzie kobiety nie mają prawa odprowadzić trumny do grobu. – Do końca byłam przy teściowej, pielęgnowałam ją w chorobie, a potem nie pozwolono mi jej nawet pożegnać – żali się Anna Maria. Raperska para chciała się wykupić, zapłacić za wolność, ale Arafat nie był ponoć zainteresowany. Zaczęły się dziać niepokojące rzeczy. Jakiś pożar w willi rodziny Bushido, ciężka atmosfera wokół muzyka, życie w ciągłym lęku. Kres ich kłopotów (czy w takiej sytuacji można mówić o szczęśliwym happy endzie?) nastąpił 15 stycznia tego roku.

Arafat został zatrzymany przez policję w berlińskim Sądzie Rejonowym przy Turmstrasse. Nie spodziewał się tak żenującego dla siebie finału, on, który obronną ręką wychodził z każdej afery, w sądzie stawiał się grzecznie ze swoim prawnikiem przy okazji zupełnie innej sprawy. Za uszkodzenie ciała został skazany na 10 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu, pierwszy wyrok w jego 42-letnim życiu. Szef klanu na sali sądowej zachowywał się jak na dobrej komedii, żartował z bratem, pełen luz. Najciekawsze nastąpiło jednak już po ogłoszeniu wyroku. Z sali wyproszono dziennikarzy, a Arafata zatrzymano. Zarzut: działania mające na celu porwanie członków rodziny rapera Bushido. W akcji uczestniczyło 100 funkcjonariuszy policji. Dzięki temu, że sąd jest powiązany podziemnymi korytarzami z więzieniem na Moabie, szef klanu udało się sprawnie aresztować, bez asysty rodzinnego tłumu i symulowanych ataków serca. Jak informuje dziennik „BZ”, aresztowanie Arafata było możliwe dzięki zeznaniom jednej z jego bratowych. Chodzi o żonę Yassera Chakera, która rozstała się jakiś czas temu z mężem i sama wychowuje ich wspólne dzieci, ale żyje w strachu, że klan je uprowadzi. Jak widać, pęknięcia wewnątrz klanu i pierwiastek kobiecy mogą pogryźć nawet Mefistę. Byłaby to przestroga dla reszty rodzin. Bushido i tak pewnie nie zazna spokoju. Chyba że już ma nową ochronę, która będzie go teraz strzec przed byłą. Media niemieckie sugerowały, że taki scenariusz jest prawdopodobny. Jak twierdził w dokumencie ZDF jeden z członków berlińskiego klanu Malik: „W Niemczech każdy raper ma swoją ochronę, nic nie dzieje się bez jej wiedzy, przecież na takiego artystę wszędzie czyhają rekiny, ktoś musi dbać o jego interesy”. Tak, interesy to rzecz ważna. A Mefisto ma pełne racie roboty. Musi tylko lepiej uważać na kobiety. ■

Hanna Shen



HUAWEI

Chińska soft power zagroża Polsce

Zatrzymanie chińskiego szpiega, który współpracował z byłym funkcjonariuszem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, pokazało, że zagrożenie dla Polski ze strony Chin to nie bajka. I jest to niebezpieczeństwo nie tylko gospodarcze, lecz także militarne, zagrażające też wolności wypowiedzi, wolności akademickiej, a nawet wolności w strefie kultury. Zagrożenie to nasze elity od lat ignorują.

Według twórcy koncepcji soft power Josepha S. Nyea miękka siła to zdolność państwa do pozyskiwania sojuszników i zdobywania wpływów dzięki atrakcyjności własnej kultury, polityki i ideologii. Pod koniec lat 80. Chiny na pewno nie mogły stanowić dobrej marki ze względu na masakerę na placu Niebiańskiego Spokoju (Tiananmen) w 1989 roku. Na początku tego wieku jeden z chińskich think tanków zasugerował ówczesnemu prezydentowi Hu Jintao, aby w celu ocieplenia wizerunku władze położyły nacisk na chińską kulturę. W ciągu swojej historii Państwo Środka było najeżdżane przez inne narody, jednak kultura chińska nie straciła na swojej wielkości. Skoro jest ona tak silna – dedukowali naukowcy think tanku – trzeba ją wykorzystać do promocji komunistycznej ideologii. Można więc na przykład otworzyć Instytut Konfucjusza (IK), który nie tylko będzie propagował idee tego myśliciela, ile służył partii. I tak dziś Komunistyczna Partia Chin Ludowych (KPCh) umacnia swoje wpływy w świecie, przedstawiając się jako spadkobierczyni konfucjonizmu, który wcześniej zniszczyła.

► Chiński koń trojański

Joshua Kurlantzick, autor książki „Urokliwa ofensywa – jak chińska polityka miękkiej siły zmienia świat”, określa tę strategię jako jedną z bardziej udanych taktyk zastosowanych przez chińskich komunistów. Głównie narzędzia chińskiej soft power – instytuty Konfucjusza – teoretycznie mają propagować kulturę i język chiński, rozwijać międzynarodową współpracę kulturalną oraz działania na rzecz przyjaznych stosunków między krajami. Jednak aktywność IK zakłada także łamanie zasad, jakie przez lata wypracowały sobie zachodnie państwa, m.in. niezależność akademicką i swobodę wypowiedzi. O tym, dlaczego instytuty Konfucjusza są chińskim koniem trojańskim, napisała w artykule, jaki ukazał się 9 maja ubiegłego roku w amerykańskim piśmie „Foreign Policy” Rachelle Peterson. Autorka poświęciła dwa lata na badanie działalności IK w Nowym Jorku i New Jersey. Zwróciła uwagę m.in. na to, że w umowach o utworzeniu IK podpisanych przez uczelnie i stronę chińską istnieją zapisy, zgodnie z którymi uniwersytety te muszą przestrzegać praw i przepisów obowiązujących w Chinach. W ten sposób wprowadza się cenzurę na uczelnie, które powinny być miejscem wolnej i nieskrępowanej debaty.

Ale eksperci zwracają uwagę na jeszcze jedno zagrożenie, jakie stwarzają instytuty Konfucjusza. Według byłego oficera kanadyjskiego wywiadu Michaela Juneau-Katsuya agencje wywiadowcze w wielu państwach mają informacje potwierdzające, że IK jest również wykorzystywany do szpiegowania i zbierania danych. Ju-

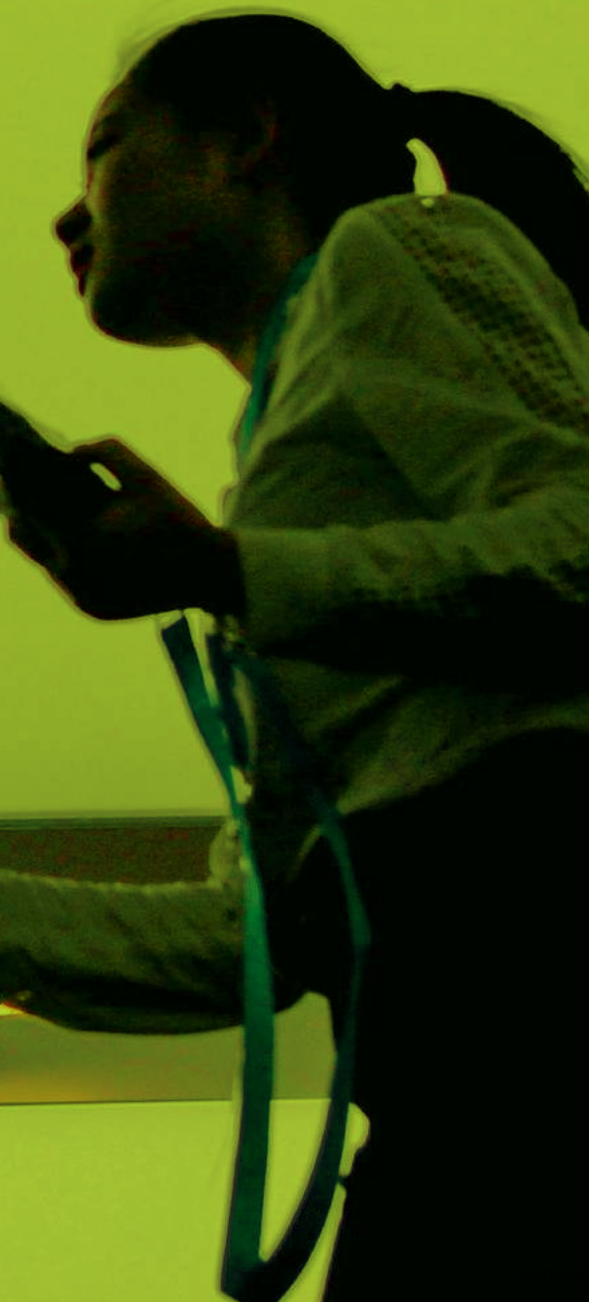


foto: mat.pias

neau-Katsuya uważa, że fakt, iż Komunistyczna Partia Chin tworzy instytuty Konfucjusza w szkołach, oznacza, że działalność agenturalna koncentruje się na przyszłych pokoleniach.

W Polsce instytuty Konfucjusza działają na: Uniwersytecie Jagiellońskim, Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytecie Wrocławskim, Uniwersytecie Gdańskim oraz na Politechnice Opolskiej. Działają też klasy konfucjańskie w kilku szkołach. Dziś na świecie widzimy masową akcję rozwiązywania współpracy z IK – rozpoczęło ją w USA. W Polsce mimo zagrożeń takich kroków wciąż nie podjęto.

► Charyzmatyczny szpieg z Huawei

ChRL postawiła też na technologie mające konkurować z dominującymi na Zachodzie firmami i być dla nich alternatywą. Stąd w Chinach zamiast Google mamy Baidu, a w miejsce Twittera – Weibo. Dużym sukcesem okazała się ekspansja za granicę firmy Huawei. Guo Wengui, chiński miliarder ubiegający się o azyl w USA i współpracujący w tej chwili m.in. z byłym doradcą prezydenta Donalda Trumpa – Stevenem Bannonem – w celu ujawnienia korupcyjnych działań komunistycznych Chin, mówi o Huawei, że jest jedną z 10 firm „w stu procentach kontrolowaną przez chińską armię”. Według Guo „ludzie na Zachodzie nie mają racji, mówiąc, że to są przedsiębiorstwa biznesowe czy firmy wyłącznie wywodzące się z Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW). Ich szefowie mają trzy tożsamości: po pierwsze – wojskową, każdy ma własny numer identyfikacyjny w ChALW; po drugie, znajdują się oni na liście osób wspieranych i chronionych przez chińskie władze; po trzecie, mają przywileje dyplomatyczne nadane im przez chińskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych”.

Co do zatrzymanego w Polsce Chińczyka pracującego w Huawei – Wang Weijinga, który używał także imienia Stanisław – wielu chińskich komentatorów wolnych mediów, tj. działających poza terytorium Chin i niekontrolowanych przez KPCh, nie ma wątpliwości, że mężczyzna był szpiegiem. Może świadczyć o tym m.in. jego życiorys – ukończył Uniwersytet Języków Obcych w Pekinie, czyli zarówno kuźnię kadr dyplomatycznych, jak i fabrykę szpiegów Państwa Środka, a przed Huawei pracował już w chińskiej placówce dyplomatycznej w Gdańsku. O tym, że placówki ChRL w Polsce są ważnym elementem budowy siatki szpiegowskiej w Europie, można było się już przekonać, gdy w czerwcu ubiegłego roku w Szwecji obywatel ChRL został skazany za szpiegostwo na rzecz Chin. Sprawa miała polski wątek, ponieważ mężczyzna został zatrzymany w czasie powrotu z Warszawy, gdzie przekazywał zgromadzone informacje oficerowi wywiadu z Amba-

sady ChRL w Polsce. Z placówki pobierał też wynagrodzenie. Stanisław Wang od lat brylował na biznesowych salonach, był zapraszany na duże imprezy, spotykał się z tuzami polityki i biznesu w Polsce.

► Niezauważane zagrożenie militarne

W programie „TweetUp Republika” w Telewizji Republika w lutym 2018 roku obecny wiceminister cyfryzacji Adam Andruszkiewicz stwierdził, że Chiny nie są zagrożeniem militarnym dla Polski. Niestety, to kolejna wypowiedź przedstawiciela naszego establishmentu świadcząca co najmniej o ogromnej naiwności w podejściu do komunistycznych Chin.

Chiny są zagrożeniem militarnym dla Polski. Świadczą o tym m.in. rosyjsko-chińskie ćwiczenia wojskowe na Bałtyku, które odbyły się dwa tygodnie po wizycie prezydenta USA Donalda Trumpa w Polsce w lipcu 2017 roku. Manewry te były nie tylko symbolem ścisłych relacji strategicznych między Moskwą i Pekinem, lecz także pokazem chińskiej siły oraz próbą zastraszenia sojuszników USA. W komentarzu na łamach dziennika Komunistycznej Partii Chin „Global Times” stwierdzono, że manewry pokazały, jak „zdecydowana jest strategiczna współpraca chińsko-rosyjska”. Gazeta podała ponadto, że miejsce manewrów nie było przypadkowe: „Morze Bałtyckie ze strategicznej strefy buforowej zmieniło się w pierwszą linię obrony dla rosyjskiego bezpieczeństwa narodowego ze względu na ekspansję po zakończeniu zimnej wojny NATO i EU na wschód”. „GT” odniósł się także do wypowiedzi polskiego szefa MON-u Antoniego Macierewicza, dotyczącej rosyjsko-chińskiej współpracy. „Polski minister obrony oskarżył Rosję i Chiny o tworzenie strategicznego sojuszu, który jest zagrożeniem dla świata. W świetle krytyki ze strony państw NATO, Chiny nie powinny wycofywać się ze swojego obecnego stanowiska. [...] Odpowiednie wejście na »podwórka« państw NATO, takie jak Atlantyk, Morze Śródziemne i Morze Bałtyckie, pokazuje pewność siebie i siłę Chin”.

Także tak promowany w Polsce Nowy Jedwabny Szlak m.in. według raportu amerykańskiego think tanku Center for Advanced Defense Studies to nie tylko projekt infrastrukturalny, lecz także logistyczna baza dla chińskich sił zbrojnych.

W wywiadzie z 11 września ubiegłego roku dla amerykańskiego konserwatywnego serwisu internetowego The Washington Free Beacon zastępca amerykańskiego sekretarza obrony do spraw Azji i Pacyfiku Randall Schriver także zwracał uwagę, że czołowym graczem w chińskim projekcie Nowego Jedwabnego Szlaku jest Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. Według Schrivera chińska ekspansja wojskowa i ekonomiczna „wspomagają się i uzupełniają”. „Tam, gdzie

Chiny używają narzędzi ekonomicznych, często robią to, aby uzyskać dostęp do kolejnych terytoriów i zakładać tam potencjalne bazy militarne” – dodał urzędnik Pentagonu.

► Likwidować niewygodny przekaz w mediach

Ważnym narzędziem soft power dla Chin są media. Propaganda rozpowszechniana przez media kontrolowane przez KPCh nie jest już tak toporna jak oferowana niegdyś przez Radio Pekin. Dokonano modernizacji chińskiej agencji prasowej Xinhua, na którą – tak jak na Reutersa – powołują się dzisiaj czołowe wydania gazet czy wiadomości telewizyjnych na świecie. Ale Xinhua nadal podlega Radzie Państwowej, czyli najwyższemu organowi władzy wykonawczej ChRL. Dziennikarze pracujący dla tej agencji muszą regularnie brać udział w szkoleniach ideologicznych. Centralna Telewizja Chińska (CCTV), stacja państwowa, zatrudniła zagranicznych dziennikarzy, a widzowie w Azji mogą dziś dzięki przekazowi satelitarnemu oglądać przygotowane przez reporterów najnowsze wydania wiadomości. Zarówno ta telewizja, jak i agencja Xinhua podpisują umowy ze stacjami i agencjami innych krajów w celu wymiany materiałów. Dla chińskich władz to kolejna okazja, by serwować swoją propagandę lub – jak to ujął prezydent Xi Jinping – we „właściwy sposób opowiadać o Chinach”.

Amerykańscy politycy od lat zwracają uwagę, że podczas gdy stacja CCTV może nadawać w USA, a chińskie media swobodnie docierają do czytelników na Zachodzie, to chińska cenzura blokuje w swoim kraju dostęp do wielu zagranicznych mediów.

Pekin „blokuje” – stara się wykluczyć z debaty o Chinach – także zagranicznych dziennikarzy ukazujących prawdziwe oblicze komunistycznego reżimu w Państwie Środka. Pod koniec 2015 roku władze Chin Ludowych wydalili ze swojego państwa Ursulę Gauthier, korespondentkę francuskiego tygodnika „Le Nouvel Observateur”. Była to reakcja na artykuł dziennikarki, w którym wykazała, że pod pretekstem walki z terroryzmem komunistyczne władze ChRL nasilają prześladowania wobec wyznającej islam ujgurskiej ludności w prowincji Xinjiang. Pekin zażądał od dziennikarki przeprosin za tekst opublikowany w prasie francuskiej. Kiedy korespondentka odmówiła, cofnięto jej akredytację, zmuszając do opuszczenia Chin po sześciu latach pracy w tym kraju.

Ta chińska cenzura – kontrolowanie, kto ma prawo pisać o Chinach, analizować sytuację w Państwie Środka – dotarła już do Polski i jest dowodem na to, że Pekin może ingerować w wolność przekazu w naszym państwie. W czerwcu 2016 roku w czasie wizyty prezydenta Xi Jinpinga w Polsce dwóm polskim dziennikarzom,

od lat opisującym min. prześladowania w Chinach, cofnięto akredytację w wyniku nacisków na polskie władze ze strony chińskiej. Sytuację tak opisał w „Gazecie Polskiej Codziennie” Wojciech Mucha: „[...] KPRM najpierw przysłała potwierdzenie akredytacji dla korespondentki »Codziennej«, jednak ostatecznie jej nazwisko nie znalazło się na liście dziennikarzy, którzy mogli wziąć udział w spotkaniu premier Szydło i prezydenta Xi. Jak poinformowała nas służba prasowa KPRM, na liście »nie wystarczyło miejsca« dla Hanny Shen. Z kolei jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, powodem niedopuszczenia naszej dziennikarki była interwencja komunistycznych władz ChRL-u. Nie był to też jedyny przypadek odmowy akredytacji. Według naszych ustaleń bez odpowiedzi z KP i KPRM zostało zgłoszenie dla korespondenta i fotoreportera gazety »Epoch Times Deutschland« Tomasza Ozimka, znanego z krytycznego nastawienia do władz w Pekinie”.

► Kultura pod okiem KPCh

Władze Chin próbują także mieć wpływ na to, jakie wydarzenia kulturalne dotyczące Chin odbywają się w Polsce. Sponsorują i promują występy chińskich teatrów i oper, które są pod kontrolą Pekinu, a utrudniają występ grup niezależnych od KPCh. Tak jest w przypadku zespołu artystyczno-widowiskowego Shen Yun pokazwanego na deskach najlepszych teatrów świata na Zachodzie. Niedawno Rita Cosby, amerykańska dziennikarka, córka powstańca warszawskiego Ryszarda Kosobudzkiego, wydała taką recenzję Shen Yun. „Przedstawienie, jakie właśnie widziałam, zapiera dech w piersiach. Jest poruszające, jest przejmujące. To historia o odwadze, o docenianiu historii, o szacunku dla wspaniałego narodu chińskiego. Mam nadzieję, że cały świat to zobaczy”. Przedstawienia Shen Yun nie mogą jednak zobaczyć widzowie w Warszawie. Dyrekcja Teatru Wielkiego w stolicy nie jest zainteresowana wynajmem sali Shen Yun, bo obawia się reakcji Ambasady ChRL w Polsce.

Shen Yun to grupa założona przez chińskich imigrantów w USA, a więc jej widowisk KPCh kontrolować nie może. Nie może wykorzystać zespołu do promowania własnej, komunistycznej propagandy i dlatego zadaniem chińskich dyplomatów na całym świecie jest blokowanie występów Shen Yun za granicą. Udało się to na Ukrainie, gdzie odwołano występ Shen Yun w 2010 roku, w Narodowym Akademickim Teatrze Opery i Baletu w Odessie. Zerwano kontrakt i anulowano wizy tancerzom i orkiestrze Shen Yun w momencie, gdy do Kijowa przybył ówczesny szef chińskiego MSZ-u Yang Jieqi. Do dziś udaje się też blokować Shen Yun w Warszawie, co pokazuje, jak duże są już wpływy chińskie w strefie kultury w naszym kraju. ■

Gdy chrust staje się niepotrzebny



Stefan Czerniecki
czerniecki.net



Przyjechali z różnych stron świata. Niektórzy wydają się bardzo podekscytowani „świętą kąpielą”, która nastąpi za chwilę. Część oczekuje swojej kolejności w ciszy i spokoju. Czarnoskóry mężczyzna siedzący samotnie na końcu odmawia różaniec. Przed nim czteroosobowa rodzina. Jeszcze nie wiedzą, że będą się musieli rozdzielić.



Złoczone drzwi zdobią wejście do Bazyliki Matki Boskiej Różańcowej

Hrabia Bernard – belgijski polityk i mecenas nauk – dobrze zna wartość swojego ulubionego pracownika. Piotr przecież nigdy go nie zawiódł. W przyszłym roku na swoje sześćdziesiąte urodziny hrabia będzie chciał go szczególnie uhonorować. Jakoś się odwiedziczyć. Ale to dopiero za rok. Póki co Piotr musi się jeszcze troszkę pomęczyć. I zasłużyć. Choćby pracą przy wycince drzewa. Robotnik będzie więc pomóc innym w przypałacowym zagajniku. Na miejscu prędko zabiera się do pracy. Odwraca się, aby chwycić opartą na pobliskiej sośnie siekierkę. „Uważaaaaj!” – gardłowy głos jednego ze ścinających konary przeszywa leśną głuszę. Za późno. Drzewo spada niczym gilotyna. Piotr nie zdąża z reakcją. Momentalnie czuje dziwne ciepło w okolicy lewego kolana. Pień drzewa miażdży mu nogę. Słychać krzyki kolegów. Piotr czuje, jak ktoś silną ręką pomaga mu usiąść. Wszystko jednak dzieje się jakby za mgłą. Mężczyźnie zaczyna zbierać się na mdłości. Zaraz zemdleje.

► Boso przez potok Gave

Jak co czwartek Bernadetta ruszyła w las. Matka prosiła ją rano, aby naniósł trochę suchych gałęzi do paleniska w piecu. Chrust w domu powoli się kończył. Dziewczynka rażno wybiegła z domu. Na wspólną wyprawę

w las namówiła jeszcze siostrę Antonię i sąsiadkę Joannę. Biegły razem, nucąc cicho dziecięce piosenki. „Chodźmy pod grootę” – zaproponowała jedna z dziewczyn. „Ostatnio widziałam tam sporo gałęzi zwalonych przez wiatr”.

Z domów koleżanek do pobliskiej groty Massabielle nie było daleko. Przyjemny spacer przez las sprawiał dodatkowo, że lutowy mróz szybko przestał przeszkadzać dziewczynkom. Na koniec trzeba było jeszcze tylko przejść przez huczący potok Gave okalający grootę niczym warkocz. Biegące nieco z przodu Antosia i Asia dotarły nad brzeg pierwsze. Zdjąwszy prędko buciki, bosso zaczęły brodzić przez potok, skacząc z kamyka na kamień. Gdy nadeszła wreszcie Bernadetta, dziewczynki były już prawie po drugiej stronie strumienia.

Biorąc z nich przykład, dziewczynka bez zastanowienia schyliła się, aby zdjąć buciki. Gdy to robiła, naraz zerwała się wokół dziwny wiatr. Pierwszy zew tego dnia. Dziewczynka zdziwiła się. Gdy powiew ustał, Bernadetta usłyszała coś przypominające dźwiękiem grzmot. Odruchowo obejrzała się za siebie, patrząc w niebo. Ale ono nie zdradzało żadnych przejawów mającej nadciągać burzy. Po krótkiej chwili odgłos jednak znów się powtórzył. Dziewczynka raz jeszcze podniosła głowę znad butów. Tym razem w kierunku skalnej groty, z której miała wrażenie, że dochodzi ów tajemniczy pomruk.



Jan Paweł II był pierwszym papieżem, który przybył do Lourdes

Zobaczyła kołyszący się krzak dzikiej róży. Po chwili zaś z głębi grotu nad rośliną wypłynął niewielki obłok. Za nim w powietrzu Bernadetta ujrziała tajemniczą postać. Kobieta. Piękną i zjawiskową. Odziana była w białą szatę z równie białym welonem. Pas przewiązany był niebieską szarfą. Na drobnych bucikach Bernadetta dostrzegła pozłacane żółte róże. Ten kolor był niemal identyczny jak kolor różańca, który Pani miała zawieszony na swym ramieniu.

► Amputacja

„Nie... To niemożliwe...” – szepcze do siebie hrabia, widząc Piotra niesionego na rękach pozostałych robotników. Widząc co się dzieje, Bernard du Bus de Gisignies nie czeka z decyzją ani chwili dłużej. Wzywa do pałacu znanych lekarzy. W sumie w ciągu kilku najbliższych miesięcy kontuzjowanego Piotra odwiedzi kilkunastu medyków. Na koszt hrabiego ropiejącą nogą będą zajmować się kolejni chirurdzy. Niestety bezskutecznie. Rany nie będą się goić. Pojawia się za to gangrena. Ropiejące przetoki. Zakażenie. Wreszcie do hrabiowskiej posesji przyjeżdża sam chirurg dworu królewskiego, profesor Thiriart. Ale i on nie ma najlepszej wiadomości. „Jedynym rozwiązaniem jest amputacja” – mamrocze skonfundowany

lekarz. „Nie zgadzam się...” – szepcze z wysiłkiem cierpiący coraz bardziej Piotr.

Nie zgodzi się na amputację także jurto. I pojutrze. Uparcie wierząc w wyzdrowienie. Wtedy też do hrabiowskiego pałacu jeden ze służących przynosi wieść o wznoszonej nieopodal kaplicy w Oostacker pod Gandawą. Kaplica jest dziękczynieniem Matce Bożej za Jej mające miejsce dziewięć lat temu cudowne objawienia we francuskich Pirenejach. W niewielkiej wsi Lourdes. Piotr podejmuje decyzję. Pragnie pojechać i pomodlić się w tej kaplicy. Słynącej z przypadków uzdrowień ludzi tam pielgrzymujących.

Jest 5 kwietnia 1875 roku. Piotr nieśmiało prosi żonę hrabiego o zapomogę, aby móc podróżować do Oostacker. Hrabina obiecuje dać pieniądze mężczyźnie. Wpierw jednak prosi, aby mogła obejrzeć raną od lat nogę. Po tym, gdy Piotr przystaje na jej prośbę, kobieta zapisuje w swym notatniku: „De Rudder odwinął bandaż nasiąknięte ropą i krwią. W całym pomieszczeniu czuć było naraz nieznośny fetor. Widać było, jak oba końce złamanych kości wystawały z ran”. Po dwóch dniach Piotr wraz z towarzyszącą mu małżonką wyrusza do Oostacker. Do kaplicy wzniesionej na cześć Matki Bożej z Lourdes.

► Różaniec z wodą święconą



Msza święta odprawiana w Grocie Messabielle

Panienka zatrzymała się przy krzaku róży i uśmiechnęła do Bernadetty. Patrzyła na dziewczynkę ze spokojem. Ta zaś nie wiedząc, kim jest tajemnicza postać, odruchowo zaczęła sięgać do kieszeni w poszukiwaniu różańca. Nigdy się z nim nie rozstawała. Wyjęła paciorki i zaczęła się modlić. Za kilka lat napisze o tym spotkaniu: „Spojrzałam w stronę groty i zobaczyłam, że z jej wnętrza wypłynął złocisty obłok, a tuż za nim wyszła tak niezwykle piękna Pani, jakiej nigdy w życiu nie widziałam. [...] Od razu popatrzyła na mnie, uśmiechnęła się i pokazała mi, bym podeszła do Niej, jak gdyby była moją matką. Cały mój strach zniknął, ale wydawało mi się, że straciłam świadomość tego, gdzie jestem. Przecierałam oczy, zamykałam je, otwierałam, lecz Pani wciąż stała na tym samym miejscu, dalej uśmiechając się do mnie, aż zrozumiałam, że to wszystko nie jest złudzeniem. Nie myśląc o tym, co robię, wzięłam w ręce swój różaniec i uklękłam. Pani skinęła głową na znak aprobaty i sama także wzięła do rąk różaniec, który miała przewieszony przez prawe ramie. Kiedy chciałam zacząć odmawiać różaniec i próbowałam podnieść dłoń do czoła, rękę miałam jakby sparaliżowaną i dopiero kiedy Pani się przeżegnała, ja mogłam zrobić to samo. Jednak modliłam się sama, a Pani tylko przesuwiała paciorki różańca w palcach, nie mówiąc nic. Dopiero na końcu każdej dziesiątki różańca odmawiała ze mną „Chwała Ojcu...”. Kiedy skończyłam, dała mi znak,

abym się do niej zbliżyła, ale się nie ośmieliłam. Wtedy nagle znikła”.

Stojące w pobliżu groty Antosia i Asia w pierwszej chwili nie rozumiały dziwnego zachowania przyjaciółki. Gdy ta jeszcze uklękła wpatrzona w ciemną jaskiniową grootę, zaczęły się z niej wprost naigrawać. Nieprzyjemne żarty ustąpiły jednak szybko dziecięcej ciekawości. Dziewczynki koniecznie chciały się dowiedzieć, co takiego Bernadetta zobaczyła. Gdy dziewczynka powiedziała, że w grocie Massabielle ukazała się jej tajemnicza kobieca postać, piękna i pełna pokoju, we trzy przyrzekły sobie, że nikomu o tym nie powiedzą.

Tymczasem już po powrocie do domów Antosia i Asia opowiedziały domownikom niezwykłą historię. Gdy wieść się rozchodziła, także sama Bernadetta była zmuszona opowiedzieć swojej mamie w szczegółach o tajemniczym spotkaniu nad potokiem Gave. Nie spotkało się to ze zrozumieniem. Matka czyniła córce wyrzuty, krzycząc, że to na pewno przywidzenia. Chcac uspokoić plotki we wsi, zakazała też Bernadecie chodzenia pod grootę. Ustąpiła dopiero w niedzielę, gdy stęskniona i zasmucona dziewczynka prosiła ją o cofnięcie zakazu. Bernadetta wyruszyła z dwiema kompankami. Tym razem niosąc ze sobą ampułki z wodą święconą. Cały czas mając w głowach sugestie tutejszego proboszcza, aby skropić tajemniczą postać, jeśli ta faktycznie znów się pojawi. Gdy dotarli do groty, rozpoczęły mo-



1858 rok – wtedy wszystko się zaczęło...

dlić się na różańcu. W pewnej chwili Bernadetka ponownie zobaczyła Panią. Drugie spotkanie zapisała potem w swoich wspomnieniach tak: „Zaledwie skończyłam pierwszy dziesiątek, ujrzałam tę samą Panią. Natychmiast zaczęłam kropić ją wodą święconą, mówiąc, aby została, jeśli przychodzi od Boga, a jeśli nie, aby odeszła. Równocześnie przyspieszyłam kropienie wodą. Pani uśmiechnęła się do mnie i pochyliła głowę. Im więcej kropałam, tym bardziej uśmiechała się i potakiwała głową. [...] Kiedy skończyłam różaniec, postać znikła”.

► Uzdrawienie

Po dotarciu na miejsce towarzysze Piotra ułożyli go w taki sposób, aby mógł widzieć postać Matki Bożej w kaplicy i był w stanie sięgnąć do pobliskiego źródła. Piotr uśmiechał się, patrząc na oostackerską Panią z Lourdes i zaczął się modlić. Przeprószył za grzechy, wzbudził sumienie, szukał pamięcią, czym jeszcze mógł obrazić Najświętszą Panienkę. Następnie podziękował za łaskę życia, za możliwość założenia rodziny, za pracę. Na koniec poprosił o uzdrowienie. I wtedy stało się coś niewytłumaczalnego. Piotr w nienaturalny sposób poczuł wezwanie, by samodzielnie wstać i podejść bliżej kaplicy. Wstał i podbiegł do postaci Matki Bożej z Lourdes. „Boże! Jestem uzdrowiony!” – krzyczał dając świad-

ectwo innym, że właśnie kolejna osoba została uzdrowiona. Żona Piotra zemdlła, a towarzysze podróży wprost nie mogli uwierzyć w to, co widzieli. Część podeszła do uzdrowionego, ciesząc się razem z nim. Kilkakrotnie obeszli grootę, śpiewając głośno maryjne pieśni. Przed chwilą byli świadkami cudu.

► Od uporu po nawrócenie

Matka Bernadetki słysząc kolejne opowieści o objawieniach, wpadła w złość. Zakazała dziewczynce wycieczek pod grootę. Od czego jednak są koleżanki? Tym razem te mamy. Oto bowiem jedna z nich, pani Peyret, bardzo wpływowa i bogata mieszkanka Lourdes, trawiona jednocześnie niezwykłą ciekawością co do objawień, jakie miała młodziutka Bernadetka, sugeruje Ludwice Soubirous, aby ta cofnęła córce zakaz wyprawiania się pod słynną grootę. Tak, by tym razem także ona miała okazję jej towarzyszyć. W ten sposób w piątek, 18 lutego 1858 roku, po wzięciu udziału w porannej Mszy świętej Bernadetta wraz z paniami Peyret i Millet wyrusza ponownie za potok Gave pod grootę Massabielle. Tego dnia znów widzi Piękną Panią. Tym razem po raz pierwszy słyszy Jej głos. „Czy będziesz uprzejma przychodzić tu przez piętnaście dni? Nie obiecuję ci szczęścia na tym świecie, lecz w innym” – mówi Matka Boża do dziewczynki.



Każdy pielgrzym chce zabrać do domu wyjątkową pamiątkę – wodę z cudownego źródła

W czasie kolejnych objawień dziewczynce będzie towarzyszyć już coraz więcej ludzi. 20 lutego Maryja nauczy Bernadettę modlitwy, którą ta będzie odmawiać codziennie przez całe swoje życie. Nigdy jednak nie przekaze jej treści nikomu. Podczas szóstego objawienia Matka Boża będzie prosić dziewczynkę o modlitwę za grzeszników. To właśnie wówczas niewierzący lekarz dr Dozous będzie chciał „zdemaskować oszustwo” i podejmie badania Bernadetki podczas jej ekstazy. Stwierdziwszy jednak, że dziewczynka nie udaje i że naprawdę doświadcza obecności wielkiej tajemnicy, sam zażnie się powoli nawracać.

► „Otworzył mi oczy”

Hrabia nie dowierza własnym oczom. „To się naprawdę dzieje!” – przebiega mu przez głowę, gdy wybie-

ga na taras swej posiadłości. Oto przez główną bramę jego dworu przechodzi właśnie Piotr z towarzyszami. Idzie na własnych nogach! Ten moment to także początek nawrócenia samego hrabiego Bernarda. Do tej pory jako antyklerykalny senator raczej stronił od zagłębiania się w sprawy duchowe. Do tego jako członek masonskiej partii był zobowiązany zwalczać Kościół. Po tym jednak, jak został świadkiem cudu, nie potrafił dłużej być nieuczciwy wobec samego siebie.

Kolejni medycy przybywają do pałacu hrabiego, chcąc zbadać anomalię, o której w Belgii robi się coraz głośniejsze. „Czy jest możliwe, aby 6 centymetrów brakującej kości w jednym momencie wzięło się tak z niczego?” – pytają jeden drugiego. Kolejni lekarze muszą okazać bezradność w stawianiu diagnozy. Wpierw doktor Affenaer przyznaje w szczerości Piotrowi, że ten faktycznie jest zdrowy: „Pańska noga jest nogą dziecka nowo naro-

dzanego. To, czego nie potrafiła uczynić medycyna, mogła dokonać wyłącznie Maryja” – dopowiada wzruszony. Za kilka tygodni w czasopiśmie „Revue des Questions Scientifiques” ukaże się tekst innego znanego lekarza, doktora Van Hoestenbergha ze Stalhille. Również ateista, który napisze, że „tego uzdrowienia nie sposób wyjaśnić siłami natury”.

Finalnie niezwykle przypadek zmasakrowanej nogi Piotra de Ruddera będzie badać specjalna komisja złożona z 22 lekarzy. Znajdą się w niej zarówno katolicy, jak i ludzie innych wyznań. A także ateści. Przypadek będą badać nie tylko w Belgii, lecz także w sąsiedniej Holandii, Anglii, Niemczech, we Włoszech. Wspomniany już doktor Van Hoestenbergha napisze po tych badaniach do swego przyjaciela list. Wśród wielu niezwykłych zdań zawrze tam również to: „Byłem niewierzącym, ale cud Piotra de Ruddera stworzył mi oczy”.

Nieprzypadkowo to właśnie ten sam lekarz siedem lat po śmierci Piotra de Ruddera będzie ekshumował jego ciało. Wyjmie piszczele oraz kości strzałkowe lewej nogi. Robiąc drobiazgową analizę raz jeszcze, da ostateczny dowód podwójnego złamania i cudownego uzdrowienia.

► Tajemnicze imię

Z czasem po nagłośnieniu pierwszych sześciu objawień młodej Bernadette do Lourdes zaczęło napływać coraz więcej ludzi. Niepokoiło to zwłaszcza ówczesne władze. Zaczęły więc rozsiewać plotki o oszustwie i konfabulacjach dziewczynki. Próbowano nawet zastraszyć Bernadettę i zabronić jej przychodzenia do grotty. Ta jednak nie wyobrażała już sobie dnia bez rozmowy z Maryją.

23 lutego 1858 roku podczas siódmego objawienia Matka Boża przekazała dziewczynce „trzy tajemnice” – dotyczące wyłącznie jej osoby. Tych tajemnic Bernadetta nigdy nikomu nie wyjawiała. Matka Boża poprosiła także o przekazanie księdzu proboszczowi prośby, aby wybudował w miejscu objawień kaplicę. Była to o tyle trudna misja, że tutejszy proboszcz, ksiądz Peyramale, nie wierzył w prawdziwość lourdzkich objawień. Poprosił więc dziewczynkę, aby ta namówiła Maryję na uczynienie jakiegoś czytelnego znaku. Poza tym Bernadetta miała zapytać tajemniczą Panią o Jej imię.

Podczas ósmego objawienia Matka Boża przekazała orędzie wzywające do pokuty i nawrócenia oraz do modlitwy o nawrócenie grzeszników. Dzień później, 25 lutego 1858 roku, wskazała słuchającej Jej dziewczynce miejsce pod skalną grotą. „Napij się z tego źródła, a potem się w nim obmyj” – poleciła łagodnym głosem. Dla Bernadetty było to dziwne, gdyż w miejscu wskazywanym przez Matkę Bożą była... lita skała. Nieco zakłopotana dziewczynka zaczęła więc rozgrzebywać ziemię dłoń-

mi. Po kilku minutach zobaczyła efekt. Obficie tryskające krystaliczną wodą źródło. Posłuszna prośbie, nabrała dłońmi mulistej cieczy i napiła się jej. Następnie obmyła sobie nią twarz.

Podczas szesnastego objawienia Bernadetta zapytała o imię pięknej Pani. „Jestem Niepokalane Poczęcie” – odpowiedziała za czwartym pytaniem. Nie zrozumiałszy kompletnie tych słów, Bernadetta pobiegła do proboszcza. Powtarzając je sobie na głos, aby nie zapomnieć. Ksiądz Peyramale gdy dowiedział się o odpowiedzi, był zaszokowany. Już wiedział, z kim rozmawia dziewczynka.

► Entuzjazm i spokój

Źródełko, które wytrysnęło podczas ósmego objawienia, bije do dziś i jest miejscem wielu uzdrowień. Obok grotty widać niewielki budynek. Przed nim długie drewniane ławki. Na nich siedzący mężczyźni (po lewej) i kobiety (po prawej). Przyjechali z różnych stron świata. Niektórzy wydają się bardzo podekscytowani tym, co nastąpi za chwilę. Część jednak oczekuje swojej kolejności w ciszy i pokoju. Czarnoskóry mężczyzna siedzący samotnie na końcu odmawia różaniec. Przed nim czteroosobowa rodzina. Jeszcze nie wiedzą, że będą się musieli rozdzielić. Mama pójdzie do części damskiej. Tata z dwoma synkami zostanie. A gdy przyjdzie ten moment, będą mogli cali zanurzyć się w niszę z cudowną wodą. Tą, której lokalizację wskazała sama Maryja.

Rocznie do Lourdes przybywa dziś nawet do 9 mln ludzi. Idą w pierwszej kolejności na główny plac Różańcowy pod przepiękną Bazyliką Niepokalanego Poczęcia. A także usytuowane niżej Bazylikę Różańcową oraz Bazylikę św. Piusa X. By następnie przejść wzdłuż nieraz potężnie wezbranej rzeki Gave do samej grotty. Gdy nie ma akurat żadnego nabożeństwa, mogą wejść do jej środka. Dotknąć wciąż ociekających wodą skał. Przyrzyć się dokładnie zlokalizowanemu w głębi po lewej stronie miejscu, w którym Bernadetta odkrywała cudowne źródło. Źródełko, z którego wodę dystrybuuje obecnie systemem specjalnych kanałów na teren całego sanktuarium. Do wspomnianych kąpeli czy do kraników, z których każdy pielgrzym może zabrać ze sobą do domu niepowtarzalną pamiątkę.

Historii podobnych do tej ze zmiażdżoną, a następnie uzdrowioną nogą Piotra znajdziemy dziś w świadectwach z Lourdes znacznie więcej. Tutaj w południowo-zachodnim skrawku Francji ludzie naprawdę widzą cuda. Każdego dnia. Przeszło 160 lat po słynnych lutowych wydarzeniach ludzie nadal chcą przychodzić pod niezwykłą grotę. Już nie po chrust, jak kiedyś święta Bernadetta. Raczej po krzesiwo. Aby rozpałić swą wiarę. Części nawet się to udaje. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Bunt też powinien mieć (chyba) sens

„Osobiście doszłam do wniosku, że Boga nie ma. Gdyby istniał, na te ciężkie czasy zesłałby nam nową wersję Koranu i Biblii w formacie PDF i umieścił je na swojej stronie internetowej. Bóg miałby też adres mailowy, konto na Facebooku, a na Instagramie zamieszczał selfie z aniołami. Oczywiście wszystkie jego profile obserwowałyby masy internautów” – tłumaczy swój brak wiary niemiecka Turczynka, Tuba Sarica, w książce napisanej z myślą o muzułmańskich nastolatkach borykających się, tak jak do niedawna ona sama, z problemem tożsamości uwięzionej między dwiema kulturami.

Tuba Sarica (31), potomkini tureckich gasterber-
terów, absolwentka germanistyki i medio-
znawstwa Uniwersytetu Kolońskiego, to mło-
dy głos Turków, którzy już urodzeni poza oj-
czyzną swoich rodziców i dziadków, przeszli do ofen-
sywy wobec niepisanych reguł życia w społeczeństwie
równoległym. W swojej bestsellerowej książce pod ty-
tułem „Wy hipokryci! Podwójna moralność i fałszywa
tolerancja – niemieckie i tureckie światy równoległe”
(2018) Sarica opowiada o doświadczeniach z turecką
społecznością mieszkającą w Niemczech. O ograni-
czeniach, z jakimi zmagala się jako nastolatka, a po-
tem dorosła kobieta, o tym, że nie ulegając presji wła-
snego środowiska, stała się cierniem w oku rodziny,
znajomych, sąsiadów, których przedstawia w książce
niczym prymitywne plemię żywiące się strachem
własnych dzieci i spędzające czas na obmyślaniu ko-
lejnych sankcji z sadyistyczną pasją nakładanych po-
tem na znienawidzoną młodzież. Takie przynajmniej
wrażenie można odnieść, czytając o perypetiach i pro-
blemach autorki.

► Koran tak, ale po niemiecku

Tuba zamiast tak jak jej siostra wyjść za mąż za przy-
kładnego muzułmanina (tak przykładowo, że to on
decyduje, czy żona może odwiedzić rodzinę czy nie, ale
to już raczej sprawa siostry, nikt jej nie zmuszał, przy-
najmniej Tuba milczy na ten temat), wyprowadziła się
z domu, poszła na studia, ukończyła je i wyskoczyła po-
za orbitę własnego matecznika. Autorka pisze o psie
uratowanym w Turcji, który w jej „wymyślonej oj-
czyźnie” (Sarica ma jedną ojczyznę – państwo niemiec-
kie) błąkał się od domu do domu, a w Niemczech zna-
lazł kochający dom i ludzi; pisze o młodym, bardzo
roszczeniowym Turku mającym głęboko zaawansowa-
ny instynkt posiadania, który widząc ją siedzącą z kole-
żanką w modnym kolońskim barze, dostał szału i kazał
natychmiast iść do domu. Pisze w końcu o swoim bun-
cie podczas lekcji recytowania Koranu, kiedy nie mo-
gła zaakceptować, że żaden z uczniów nawet nie wie,
co recytuje, ponieważ nie zna arabskiego, a czytanie
przekładu nie należy do dobrego tonu. Sarica nie chcia-
ła recytować czegoś, czego nie rozumiała, zakupiła tłumaczenie
niemieckie, wrzucała je demonstracyjnie do plecaka (zamiast w skupieniu studiować w pokoju),
a potem czytała w autobusie, czym mocno irytowała
najbliższych nieprzyzwyczajonych do tak nonszalan-
ckiego obchodzenia się z księgą. Bunt przybrał ciekawą
formę – po wyprowadzce z domu pierwszą rzeczą jaką
zakupiła, była Biblia, którą później chowała pod łóżko
za każdym razem, kiedy matka zapowiadała się z wizy-
tą. Nie, Sarica nie przyjęła chrześcijaństwa tak jak jej
starsza koleżanka, pakistańska pisarka Sabatina James,

również zbuntowana wobec islamu, ale w przeciwień-
stwie do Tuby skazana za konwersję na dożywotnią
ucieczkę przed palającą żądzą zemsty rodziną. Biblia była
psikusiem, a nie wyrazem pragnienia odmiany, za-
ciekawienia chrześcijaństwem, była jak tatuaż, który
znudzona nastolatka funduje sobie na szesnaste urod-
ziny, by wkurzyć konserwatywnych rodziców.

► Marzenie o hipsterskim Bogu

Tuba może pisać, co chce, jest dziś turecką celebryt-
ką, ateistką fantazującą o Bogu grającym w gry kompu-
terowe, Bogiem hipsterem zdolnym zadowolić gusta
XXI-wiecznych dzieciaków, a jej książka może być cieka-
wa dla nastolatków, ale nie zadowala bardziej wyrobio-
nego czytelnika. Fakt, że to właśnie książka Tuby stała
się jednym z przyczynków do odgrzania debaty o błę-
dach polityki integracyjnej w Niemczech, wystawia
dość smutne świadectwo jej uczestnikom. Z całym sza-
cunkiem dla cierpień tureckiej nastolatki z podkoloń-
skiej miejscowości, która jest zmuszana do czytania Ko-
ranu... żaden z jej opisów nie poraża, nie skłania do głę-
bszej refleksji. Nie ma w tym nawet grama emocji, jakie
wyczuwa się w książkach Sabatiny James, która w spo-
sób merytoryczny kreśli obraz prześladowań chrześcijan
przez rządy państw islamskich, pisze o morderstwach
honorowych i wymuszanych małżeństwach, wielokrot-
nie też stawiała w obronie Asi Bibi, domagając się od
państw Zachodu zaangażowania się w pomoc więzionej
chrześcijanki.

► Kaszanka niezgody

Problemy, na które zwraca uwagę James, u Sari-
cii nie występują. Patrząc, w jaki sposób kwestia od-
gradzania się pewnej części muzułmańskiej spo-
łeczności, postępującej gettoizacji tego środowiska
ze wszystkimi konsekwencjami (również tymi
o charakterze kryminalnym) jest tematyzowana
przez młode pokolenie, trudno się potem dziwić, że
najważniejszym tematem Konferencji Niemiecko-
Islamskiej w Berlinie staje się na przykład kaszan-
ka podana przez ministra Horsta Seehofera podczas
śniadania dla uczestników spotkania. O niczym in-
nym nie mówiono jeszcze przez tydzień po zakoń-
czeniu konferencji. Nie pomogły tłumaczenia, że
goście mieli do wyboru kilkanaście dań i nie moż-
na było przecież planować menu wyłącznie pod ką-
tem uczestników muzułmańskich, Niemcy też tam
byli, a oni z reguły z kaszanką problemów nie mie-
wają. Nieważne. Ważne, że zamiast na sprawach
naprawdę istotnych skupiono się na detalach. Tak
jak Tuba Sarica. Zagubiona, a nie odnaleziona mię-
dzy dwiema tożsamościami. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Japonia–Korea Płd.

18 stycznia sąd w Seulu oddalił apelację japońskiego producenta maszyn dotyczącą nakazu zapłacenia każdej z 17 południowokoreańskich kobiet 100 mln wonów (około 88 tys. dolarów) za wymuszoną pracę w czasie wojny. Jest to jedno z serii wielu podobnych orzeczeń, które zwiększają napięcie między Tokio a Seulem. Do tego dochodzi także kwestia odszkodowań dla niewolnic seksualnych w czasie japońskiej okupacji Korei.

W latach 1944–1945, gdy Półwysep Koreański był okupowany przez Japonię, 17 Kореańek zostało zmuszonych do pracy w japońskiej fabryce Nachi-Fujikoshi produkującej wówczas sprzęt wojskowy. W 2014 roku południowokoreański sąd nakazał japońskiej firmie, dziś zajmującej się m.in. produkcją robotów przemysłowych, wypłatę odszkodowania. Zakład próbował się od tego wyroku odwołać.

W listopadzie ubiegłego roku sąd w Korei Płd. nakazał japońskiemu gigantowi Mitsubishi Heavy Industries wypłatę odszkodowania w wysokości od 80 mln do 150 mln wonów (od 44 tys. do 133 tys. dolarów) 11 południowym Kореańczykom za ich niewolniczą pracę w okresie wojny.

Także w listopadzie 2018 roku władze w Seulu zdecydowały się zlikwidować finansowaną przez Japonię fundację pomocy kobietom, które były niewolnicami seksualnymi zmuszonymi do prostytucji przez japońskich okupantów w czasie II wojny światowej. Fundacja powstała w ramach dwustronnego porozumienia z 2015 roku, w którym Tokio i Seul zgodziły się „ostatecznie i nieodwracalnie” zakończyć spór, związany z niewolnictwem seksualnym z czasów wojny. Decyzję Korei Płd. o likwidacji fundacji odebrano jako chęć rewizji porozumienia, które nie cieszy się popularnością w południowokoreańskim społeczeństwie.

Wśród „infu” (po japońsku oznacza kobiety do pocieszania, a w rzeczywistości chodzi o niewolnice

seksualne) były nie tylko Kореanki, lecz także Chinki, Malajki, Filipinki i te, które urodziły się na Tajwanie, a także białe kobiety pochodzące z podbitych posiadłości kolonialnych lub pielęgniarki z personelu medycznego sił alianckich. Szacuje się, że liczba kobiet wykorzystywanych przez Japończyków wynosi 300–400 tys., a Kореanki stanowią tu najliczniejszą grupę – ponad 200 tys. Niewolnice seksualne traktowane były z wielkim okrucieństwem. Poza gwałtami na porządku dziennym były bicie, nacinanie ostrzami noży, przypalanie i duszenie. Władze Kraju Kwitnącej Wiśni przez dziesięciolecia po zakończeniu II wojny światowej odmawiały przeprosin za wyrządzone kobietom krzywdy, a to wpływało negatywnie na relacje między Seulem i Tokio. Jeszcze w 2007 roku obecny premier Japonii Shinzo Abe pozwolił sobie na uwagę, że tak naprawdę nie ma dowodów na to, iż kobiety były zmuszane przez japońskiego okupanta do nierządu. Jednak to właśnie ten sam polityk w grudniu 2015 roku wyraził „szczerze przeprosiny i żal” wobec tych wszystkich kobiet, które doświadczyły „nieuleczalnych, psychicznych i fizycznych cierpień”. W ramach osiągniętego wtedy przez Tokio i Seul porozumienia rząd Japonii postanowił przeznaczyć 1 miliard jenów (9,8 mld dolarów) na wsparcie byłych koreańskich niewolnic seksualnych.

W sierpniu ubiegłego roku Organizacja Narodów Zjednoczonych wezwała Japonię do otoczenia większą opieką i wypłacenia odpowiedniego zadośćuczynienia niewolnicom seksualnym japońskiej armii cesarskiej z czasów II wojny światowej, na co szef japońskiej delegacji przy ONZ, ambasador Masato Otake, oświadczył, że jego kraj wyraził przeprosiny i szczerzy żal. Dodał, że rząd w ramach zadośćuczynienia zaoferował „maksymalną możliwą pomoc”, tworząc fundusz na rzecz pomocy medycznej i finansowej wykorzystywanym kobietom.

► Chiny-Rosja

W kwestii wprowadzenia sankcji na firmy zaangażowane w budowę Nord Stream 2 komunistyczne Chiny opowiedziały się po stronie Rosji. 15 stycznia rzeczniczka chińskiego MSZ Hua Chunying stwierdziła, że USA i inne państwa powinny respektować prawo spółek do samodzielnego podejmowania decyzji o współpracy z firmami z innych państw, w tym w kwestii Nord Stream 2. Wypowiedź ta była odpowiedzią na list wysłany przez ambasadora USA w Niemczech Richarda Grenella do niemieckich spółek, w którym ostrzega je przed ewentualnymi sankcjami.

Poparcie dla Nord Stream 2 ze strony Pekinu pochwaliła rzeczniczka rosyjskiego MSZ. Moskwa dziękuje także Chinom za opowiedzenie się za jej stanowiskiem odnośnie do sytuacji wokół „Układu o całkowitej likwidacji pocisków rakietowych pośredniego zasięgu”. „W związku z tym jesteśmy wdzięczni Chinom za wsparcie w ramach pracy nad rosyjskim projektem rezolucji w sprawie Traktatu INF, chociaż nie został on przyjęty przez Zgromadzenie Ogólne, i potępienie przez Pekin planów USA odnośnie do wycofania się z porozumienia” – powiedział rosyjski ambasador w ChRL Andriej Denisow.

W relacjach chińsko-rosyjskich Pekin zwraca także uwagę na rosnącą wymianę towarową między oboma krajami. Według danych Głównego Zarządu Celnego Chin w okresie styczeń-listopad 2018 roku wzrosła ona o 27,8 proc. w porównaniu do analogicznego okresu 2017 roku i wyniosła 97,23 mld dolarów. Chiński eksport do Rosji wzrósł o 12 proc., do 43,45 mld dolarów, a import z Rosji – o 44,3 proc., wynosząc 53,78 mld dolarów. Rzecznik Ministerstwa Handlu Chin Gao Feng podkreślił, że Pekin jest gotowy kontynuować wysiłki w celu rozwoju stosunków chińsko-rosyjskich.

► Korea Płd.–Korea Płn.

W opublikowanym 15 stycznia przez Ministerstwo Obrony Korei Płd. raporcie dotyczącym obrony – tzw. Białej księdze – Korea Płn. nie została, jak w poprzednich takich dokumentach, określona jako wróg Seulu, chociaż oba kraje Półwyspu Koreańskiego nadal nie zawarły traktatu pokojowego. Biała księga stwierdza, że broń masowego rażenia posiadana przez Pjongjang jest ciągle zagrożeniem dla pokoju i bezpieczeństwa na Półwyspie Koreańskim, ale prowokacje militarne i cyberataki ze strony Korei Płn. nie zostały opisane jako główne zagrożenie dla Seulu. W dokumencie poruszono również kwestie polityki wojskowej krajów regionu i najważniejszych graczy na świecie, zwłaszcza zwrócono uwagę na konfrontację między Stanami Zjednoczonymi a Chinami, wzmocnienie japońskich sił samoobrony i zmiany w strukturze chińskich sił zbrojnych.

Biała księga po raz kolejny podkreśliła determinację Korei Płd., aby wzmocnić gotowość bojową kraju w rejonie wysp Dokdo¹ (określanych przez Tokio jako Takeshima), co do których prawa rości sobie także Japonia.

W dokumencie ministerstwa obrony przypomniano, że w 2018 roku Seul zdecydował się nie brać udziału w największych wspólnych ćwiczeniach wojskowych ze Stanami Zjednoczonymi, ale nie sprecyzował, czy zostaną one wznowione w przyszłości. Pod koniec ubiegłego roku Pentagon twierdził, że przewidziane na wiosnę 2019 roku manewry wojskowe USA i Korei Południowej „Foal Eagle” odbędą się w okrojonej formule.

► Chiny-Iran

Chiny planują zainwestować 3 mld dolarów w irańskie pola naftowe. Chiński gigant naftowy Sinopec negocjuje z irańskim National Iranian Oil Company (NIOC) kontrakt dotyczący eksploatacji pola naftowego Jadawaran w zachodnim Iranie.

Według „The Wall Street Journal” Chiny żądają od Iranu daleko idących ustępstw, na przykład zgody na to, by pole Jadawaran rozwijało się przy użyciu chińskiego sprzętu, a zwrot poniesionych kosztów nastąpił niezwłocznie po przeprowadzeniu testów eksploatacyjnych. Chińska propozycja ma doprowadzić w ciągu pół roku do podwojenia wydajności pola Jadawaran, tj. zwiększenia wydobycia do 180 tys. baryłek dziennie. Jadawaran jest jednym z najbardziej nierozwiniętych pól naftowych na świecie z rezerwami ocenianymi na 5,7 mld baryłek. Chiny zainwestowały już w 2016 roku 2 mld dolarów, doprowadzając do rozpoczęcia eksploatacji na poziomie 115 tys. baryłek dziennie.

Państwo Środka jest na liście ośmiu krajów czasowo zwolnionych przez USA z wymogu przestrzegania amerykańskich sankcji nałożonych na Iran po wycofaniu się Stanów Zjednoczonych z porozumienia w sprawie irańskiego programu nuklearnego. Zwolnienia umożliwiają czasowe kontynuowanie zakupów irańskiej ropy. Wśród państw zwolnionych z wymogu stosowania sankcji są m.in. Włochy, Grecja i Tajwan, które jednak zrezygnowały z dalszego kupna irańskiej ropy. Z Iranu wycofał się też francuski Total SA.

Prawo do odstąpienia od sankcji przyznane Chinom i siedmiu innym konsumentom irańskiej ropy ma wygasnąć w maju, ale rząd amerykański prawdopodobnie przedłuży zwolnienie wobec niektórych państw. Według agencji Reuters będą to Chiny i Indie. Zwolnienia dla Włoch, Grecji i Tajwanu prawdopodobnie wygasną. ■

¹ Wyspy Dokdo zostały samowolnie zajęte w 1952 roku przez Koreę Płd., która utrzymuje obecnie na wyspie stały posterunek policji, co stało się przyczyną sporu między Japonią a Koreą Płd.



TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Nowa broń Rosji: realne zagrożenie, sprawdzone w Syrii

W ostatnim czasie rosyjscy urzędnicy i wojskowi mówią dużo o postępach w procesie modernizacji arsenału rosyjskiej armii. Te oświadczenia komentują eksperci zachodni i rosyjscy – a zebrał je Daniła Galperowicz i opublikował 8 stycznia 2019 roku na stronie internetowej rosyjskiej redakcji rozgłośni Głos Ameryki.

2019 może stać się dla Rosji rokiem prawdziwego wyścigu zbrojeń, a Moskwa pokazuje, że się tego nie boi. Co więcej, najwyższe kierownictwo rosyjskie i dowództwo sił zbrojnych wręcz z nieukrywanym zachwytem ogłasza zwiększanie wojskowej mocy kraju. I tak ministerstwo obrony Rosji ogłosiło niedawno, że wojska powietrzno-desantowe otrzymały w 2018 roku nowe drony dla prowadzenia zwiadu i korekty ognia, a w planach jest przyjęcie nowych dział samobieżnych. Resort opublikował także dane o wypróbowaniu w warunkach bojowych w Syrii „ponad 300 nowoczesnych typów rosyjskiej broni”, wśród nich są: „myśliwiec piątej generacji Su-57, nowa modyfikacja systemu obrony przeciwlotniczej Pancyr-S2, bojowe maszyny wsparcia czołgów Terminator-2, bojowy robot Uran-9 i inne”. Minister obrony Rosji Siergiej Szojgu pod koniec 2018 roku mówił, że w 2019 roku jego resort zamierza doprowadzić poziom modernizacji sprzętu wojskowego w rosyjskiej armii do 67 proc., a w mijającym roku wojskowym dostarczono ponad 1,5 tys. rodzajów broni i ponad 80 tys. sztuk sprzętu. Pozdrawiając rosyjskich wojskowych z okazji nowego roku, Szojgu raz jeszcze podkreślił, że rosyjska armia pozostaje „najnowocześniejszą i skuteczną”. Tymczasem rosyjska gospodarka nie przedstawia oznak ożywienia i – jak wcześniej – w pełni zależy od cen ropy i gazu. To oznacza, że państwo dla zaspokojenia potrzeb armii i przemysłu zbrojeniowego będzie musiało się mocno sprężyć. Czy Rosja rzeczywiście odnawia swój arsenał, jeżeli tak, to po co to robi i na co powinny zwrócić uwagę Stany Zjednoczone?

► Rezultat dawnych inwestycji

Ekspert Harvard University, Davis Center for Russian and Eurasian Studies, Dmitrij Gorenburg mówi, że fala modernizacji rosyjskiego uzbrojenia to efekt wysiłków z ubiegłych lat. „Nie uważam, że rozwój rosyjskich zbrojeń przyspieszył. Wiele inwestycji, które były uruchomione około dekady temu, zaczęło przynosić owoce. Nowe systemy potrzebują dosyć długiego czasu dla ich dopracowania i włączenia do służby – na przykład jeśli mówimy o czołgach i transporterach, to po rozpoczęciu reformy przez pierwsze pięć lat nic szczególnego tu się nie działo, a teraz prace nad nowym wyglądem tych pojazdów osiągnęły stadium produkcji. To nie jest przyspieszenie, a wynik reformy rozpoczętej za Sierdiorowa”. W opinii Gorenburga samo pojęcie „modernizacja”, wykorzystane przez Siergieja Szojgu, jest dość mocno rozmyte: „Właściwie wszyscy analitycy już zauważyli, że przedstawiciele Rosji nigdy nie określają dokładnie, co rozumieją przez modernizację uzbroje-

nia. To może być nowa broń, ale częściej to po prostu odnowiona wersja starej. Tak więc mówimy o 70 procentach nie absolutnie nowego sprzętu, lecz raczej czegoś starego z nową elektroniką i pancerzem, i to również nazywa się modernizacją”.

Dmitrij Gorenburg wymienił rosyjskie zbrojenia w ostatnim czasie, podkreślając, że postęp osiągnięto w obszarach, w których i wcześniej wszystko było rozwinięte: „Okręty podwodne – z uwzględnieniem tego, że w budowie podwodnej floty Rosja zawsze była mocna; rakiety – znów także w Rosji nie było źle z systemami obrony przeciwlotniczej, ale też widzimy rozwój systemów ataku, takich jak operacyjno-taktyczny kompleks Iskander i manewrujące rakiety Kalibr; artyleria – na ile wiem, Rosja ma teraz systemy artylerii dalekiego zasięgu, jakich zachodnie armie nie posiadają; lotnictwo bojowe – wspomniany przez wojskowych Su-57 i inne projekty”.

Wojna w Syrii, potwierdza Gorenburg, swoją rolę rzeczywiście odegrała: „Pozwoliła Rosji wypróbować dużo różnego uzbrojenia w warunkach bojowych, czego nie było od czasów Afganistanu. Na wojnie czecheńskiej wszystko było inaczej i wtedy też tyłu nowych typów broni jeszcze nie było. Syria stała się nie tylko poligonem dla testów broni, lecz także obozem szkoleniowym dla kadry wojskowej, dała jej możliwość nabrania nawyków w warunkach bojowych. Na przykład przez Syrię przeszło bardzo dużo pilotów wojskowych. Ta wojna była też prezentacją rosyjskiej broni dla potencjalnych kupców”.

Ekspert uważa, że niepokoić USA mogą prace Rosji w projektach bezzałogowych, flocie podwodnej i technice raketowej: „Okręty podwodne, o rozwoju których wspominałem, są dostatecznie ciche, by wywołać zaniepokojenie amerykańskich wojskowych, dlatego że będzie je dość ciężko namierzyć. I Kalibry – wiemy o ich użyciu, one znajdują się na okrętach poza granicami Rosji i są zdolne zagrozić terytorium potencjalnego przeciwnika. Ich posiadanie przez Rosję powinno niepokoić europejskich sojuszników USA w NATO”.

Dmitrij Gorenburg wskazuje przyczyny tego, że Rosja zdecydowała się na wyścig zbrojeń, choć ze szkodą dla ogólnej kondycji swej gospodarki: „Po pierwsze, Rosja jest konsekwentna w celach swej polityki zagranicznej mniej więcej od połowy lat 90.: chciała przywrócić swój status supermocarstwa i dostać miejsce przy stole, gdzie zapadają kluczowe decyzje w sprawach międzynarodowych. Środkiem do osiągnięcia tego celu, jeśli nie ma silnej gospodarki i dużej ludności, pozostają potężne siły zbrojne. Po drugie, rosyjska władza uważa, że Zachód jej zagraża – nie wojną, oczywiście, lecz działaniami mającymi doprowadzić do zmiany re-

zimu, i dlatego uważa, że dobre uzbrojenie przeszkodzi takim próbom”.

► Duże plany w bezzałogowcach

Badacz Centrum Analiz Wojskowo-Morskich i ekspert ds. Rosji w Amerykańskiej Radzie ds. Polityki Zagranicznej (AFPC) Samuel Bendett zgadza się z tym, że szczególną uwagę Rosja przywiązuje do aparatów bezzałogowych. „Myślę, że poważny progres w tej sferze osiągnęła Rosja w ciągu ostatnich sześciu-siedmiu lat. W latach 2011-2012 Rosja miała około 200 bojowych bezzałogowych aparatów latających, teraz, zgodnie z tym, co mówi minister Szojgu, ta liczba wzrosła ponad 10 razy – do 2100 aparatów. Duża część z nich to niewielkie bezzałogowce przeznaczone do zwiadu i obserwacji, niedrogie i na ogół mogące latać w promieniu do 120 km. Jest i pa-

poważnie wstrzymało produkcję. Ale na ten rok zaplanowano szereg poważnych testów”.

Czym grozi Ameryce progres Rosjan w obszarze bezzałogowców? Opinia Samuela Bendetta: „Rosja będzie mogła połączyć to, w czym i wcześniej była silna – środki walki radioelektronicznej – z tym, w czym dopiero nabiera doświadczenia – sferą bezzałogowców. Już wykorzystwała drony bliskiego zasięgu do prowadzenia walki radioelektronicznej, w Syrii – na pewno, na Ukrainie – prawdopodobnie. To ten obszar, który w USA nie został rozwinięty, a teraz amerykańscy wojskowi próbują uzbroić bojowe drony także w środki walki radioelektronicznej. To obszar, na którym Rosjanie mają większe doświadczenia i gdzie oni realnie mogą przydusić amerykańską zaawansowaną elektronikę. A trzeba pamiętać, jak bardzo USA zależą od nowoczesnej elektroniki w prowadzeniu różnych działań bojowych. Tak więc ame-

ROSYSKA WŁADZA UWAŻA, ŻE ZACHÓD JEJ ZAGRAŻA – NIE WOJNĄ, LECZ DZIAŁANAMI
MAJĄCYMI DOPROWADZIĆ DO ZMIANY REŻIMU, I DLATEGO UWAŻA, ŻE DOBRE UZBROJENIE
PRZESZKODZI TAKIM PRÓBOM.

rę zmodyfikowanych modeli izraelskich dronów – te latają na odległość do 250 km. Jednakże nawet drony mniejszego zasięgu poważnie wzmocniły rosyjskie wojska w Syrii”.

„One dały możliwość rosyjskim wojskowym zejrzeć za horyzont, na 30-40 km, a dzięki zainstalowanej technice są też zdolne widzieć w nocy. W Syrii rosyjscy wojskowi docenili drony, nauczyli się je wykorzystywać, lecz uświadomili sobie również, czego jeszcze brakuje w tym obszarze. Z Syrii wynieśli przekonanie, że potrzebują bojowych dronów dalekiego zasięgu, których teraz brak” – konstatuje Bendett. Ekspert zwraca uwagę na plany rosyjskiego kierownictwa w sferze dronów: „Kiedy Putin mówi, że priorytetami w sektorze wojskowo-technicznym na 2019 rok staną się naukowy intelekt, bojowe roboty i cybersfera, to rzecz właśnie o wysiłkach, by wyprodukować bojowe drony dalekiego zasięgu. Obecnie rosyjska zbrojeniówka pracuje nad sześcioma projektami takich bezzałogowców. Niektóre są opracowywane już od około 10 lat. Wcześniej rosyjskiemu przemysłowi brakowało wiedzy na temat prac nad tym rodzajem uzbrojenia. Później, gdy zaczęto importować to, co konieczne, sfera ta została obłożona sankcjami, co

rykańscy wojskowi powinni realnie niepokoić się tym, że rosyjskie drony zakłócając sygnał, mogą zniwelować technologiczną przewagę USA”.

Jako uzupełnienie syryjskiej kampanii, zauważa analityk, Rosja jest gotowa stale szkolić swoją armię do możliwego konfliktu z zaawansowanymi technologicznie armiami: „Należy pamiętać, że Rosja w Syrii zetknęła się z tym, z czym USA miały styczność 15-16 lat temu w Iraku – z użyciem swego uzbrojenia przeciwko stronie, która dysponuje dużo mniej zaawansowanym uzbrojeniem. To znaczy, że Rosjanie nie przechodzili próby w konflikcie z przeciwnikiem zaawansowanym technologicznie. I tu należy wspomnieć o tych tysiącach różnych ćwiczeń, które Szojgu zapowiedział na ten rok i które są przeznaczone dla równorzędnego przeciwnika: USA lub krajów NATO. I to należy potraktować poważnie”.

► Rakiety jako zagrożenie dla środków zaawansowanego bazowania USA

Dyrektor projektu poświęconego obronie przeciwrakietowej w Centrum Strategicznych Badań Międzynarodowych Thomas Karako w komentarzu dla

redakcji rosyjskiej Głosu Ameryki zauważa, że przeprowadzone niedawno testy „Awangarda” to tylko część programu modernizacji broni rakietowej, który Rosja realizuje około 10 lat: „Rosja kładła nacisk na rozwój środków odparcia zagrożenia rakietowego i powietrznego. Jej wojskowi zakładali, że osiągną efekt, jeśli stworzą ryzyko dla środków zaawansowanego bazowania USA, przeznaczonych do realizacji zadań obrony i powstrzymywania, z pomocą zagrożenia z powietrza, szczególnie rakiet. Tak więc te doniesienia o nowoczesnym uzbrojeniu mogą być częściowo przesadzone i propagandowe”.

Rosja, jak mówi Thomas Karako, podejmuje „różne wysiłki dla opracowania nowych środków przemieszczania głowic, od wysokoatmosferycznych do ciągle manewrujących i, rzecz jasna, podwodnych: pracuje się nad bronią, która [...] dysponuje manewrowością poważnie zwiększającą prawdopodobień-

► Nowa obrona przeciwlotnicza, czołgi na razie stare

Rosyjski niezależny wojskowy analityk Aleksandr Goltz proponuje nie przeceniać skali modernizacji rosyjskiej broni: „Ile było gadania o supernowoczesnym czołgu Armata! Jeszcze w 2015 roku Armata przejechała po placu Czerwonym, a teraz mówią nam, że zaczynają się dopiero państwowe testy tych czołgów. Czyli do tej pory nie ma żadnych decyzji co do ich seryjnej produkcji, choć to ogłoszono we wrześniu 2018 roku, lecz tego nie zrealizowano. Tymczasem Zakłady Uralwagonawod przeprowadzają 18. modernizację czołgu T-72. To samo widać w lotnictwie – Su-34, Su-35 – to kolejna modernizacja znanego myśliwca Su-27, a nie żadne supernowe uzbrojenie”.

Jednakże i Goltz widzi pewne obszary, w których rosyjska zbrojeniówka poważnie zrobiła postęp: „Po

AMERYKAŃSCY WOJSKOWI POWINNI REALNIE NIEPOKOIĆ SIĘ TYM, ŻE ROSYJSKIE DRONY ZAKŁÓCAJĄ SYGNAŁ, MOGĄ ZNIWELOWAĆ TECHNOLOGICZNĄ PRZEWAGĘ USA.

stwo pokonania obrony wroga i utrudniającą obronę”. Analityk uważa, że Waszyngton nie zwrócił na czas uwagi na wojskową modernizację w Rosji, ale to można naprawić: „USA same skomplikowały sobie sytuację, pozostawiając modernizację rosyjskiego uzbrojenia bez odpowiedzi. Ale teraz widzimy w Narodowej Strategii Obrony zwrot ku konieczności myślenia o rywalizacji z innymi wielkimi państwami i widać, że USA zaczęły przydawać większego znaczenia tym sprawom, na które przez jakiś czas nie zwracały uwagi. Myślę, że teraz będziemy świadkami wysiłków na rzecz przeciwdziałania nowym zagrożeniom”.

Prócz tego – mówi Karako – w działaniach Rosji, wykorzystującej nowe typy broni, widoczna jest chęć demonstracji siły: „Nie było żadnej konieczności, by wystrzeliwać Kalibry, a oni to zrobili po to, by wysłać polityczny sygnał. Można powiedzieć, że sygnał został usłyszany. Interesujące, jak USA na niego zareagują i jak bardzo Rosja będzie w stanie utrzymywać tę konkurencję w sprzeczce wojskowej. Nie są gigantami i nie będą jedynymi, którzy podejmą wysiłki w tej dziedzinie. Zobaczymy, kto okaże się silniejszy: stosunkowo skromny wojskowy budżet Rosji czy potężny wojskowy budżet USA”.

pierwsze, systemy obrony przeciwlotniczej. Korporacja Almaz-Antej dostała polecenie masowej produkcji nowoczesnych systemów S-400. Po drugie, korporacja Taktyczne Uzbrojenie Rakietowe zaczęła produkować rakiety manewrujące, choć nie wiemy, jaką ma moc produkcyjną. W ubiegłym roku powiedziano, że wypuszczono 180 rakiet. Jeśli takie jest tempo, to pod względem liczby rakiet manewrujących Rosja zrówna się z USA za 30 lat. Po trzecie, systemy bojowego kierowania, czyli najsłabszy punkt wojsk rosyjskich. Wygląda na to, że zaczęło się wprowadzanie tych systemów”. Rosyjski analityk uważa, że bezzałogowce faktycznie stają się jednym z priorytetów Moskwy: „Szczególnie system Posejdon, który nazywają »bronią dnia ostatecznego«. Pojawiła się informacja, że to torpeda, którą wypuszcza się z okrętu podwodnego, a która ma zagadkowy atomowy napęd i jest zdolna poruszać się z prędkością 200 km na godzinę, niosąc głowicę bojową o sile jednej megatony”.

Aleksandr Goltz zastrzega przy tym, że licznych z wymienionych przez rosyjskie kierownictwo rodzajów uzbrojenia nie należy oceniać jako już istniejące zagrożenie: „Takie zachwyty pojawiają się nawet wtedy, gdy istnieje jakiś projekt albo jeden jedyny egzemplarz broni”.



Marcin Wolski

Różne twarze nienawiści

Zacznę od herezji. Jestem przeciw bezmyślnej walce z mową nienawiści. Bezmyślnej, bo w istocie w obecnym wydaniu sprowadza się do postbolszewickiej cenzury skierowanej przeciwko aktualnym politycznym przeciwnikom. Jeśli chce się na poważnie zająć tematem, to po pierwsze należy stwierdzić, że mimo wszelkich zaklęć nienawiść istnieje obiektywnie i żadne zaklęcia z arsenału poprawności politycznej jej nie wyeliminują. Zawsze wkurzać nas będzie inność, czyjś wygląd, zachowanie, poglądy. Można bajdurzyć o tolerancji, ale jestem przekonany, że nie uda się stworzyć człowieka w pełni beznamietnego, wcześniej cały

zaprogramowany na chłodno, cynicznie, a zwykłym ludziom pozostaje w niej rola statystów. Wracając jednak do nienawiści, uprzedzeń, fobii etc. – głównym problemem nie jest sama niechęć do czegośkolwiek lub kogokolwiek, lecz utrzymywanie jej w odpowiedzialnych ryzach. Wyrażanie swoich poglądów, nawet maksymalnie ostrych, nie oznacza bowiem przyzwolenia, a tym bardziej zachęty na fizyczną przemoc wobec innej osoby. W socjotechnice nie chodzi o doprowadzenie jednostki do jakiegoś szalonego czynu. Te zdarzają się często niezależnie od trwającej nagonki. Technologia nienawiści ma inne zadanie. Jej chodzi o totalne przekształcenie mentalności

CZŁOWIEK NIE JEST GENETYCZNIE ZAPROGRAMOWANY DO ZABIJANIA ISTOT SWEGO GATUNKU. ALE INŻYNIEROWIE DUSZ CO JAKIŚ CZAS USIŁUJĄ GO PRZEPROGRAMOWAĆ.

TAK BOLSZEWICY ODCZŁOWIECZYLI KUŁAKÓW, BURŻUJÓW, WROGÓW LUDU ITP., CO STANOWIŁO OCZYWISTY WSTĘP DO EKSTERMINACJI. PODOBNI POSTĘPUJĄ DZIŚ SZERMIERZE POPRAWNOŚCI POLITYCZNEJ.

świat umrze z nudy. Oczywiście prawodawcy są w stanie urzędowo zakazać wyrażania swoich emocji, ale czy to oznacza, że wszelkie namietności zanikną, czy raczej schodząc do podziemia, staną się bardziej niebezpieczne? Przez całe stulecia rolę kontrolera złych emocji spełniały: dobre wychowanie, Dekalog, wreszcie opinia publiczna. A gdy ciemna energia ludzkiej duszy wyrwała się spod jakiegokolwiek kontroli, wybuchła wojna likwidująca nadmiar osobników agresywnych i nienawistnych. Co istotne, ironia i satyra w skuteczny sposób rozładowywały stresy. Chociaż czy erupcja ludzkich nastrojów była przyczyną nie-szczęść, czy raczej jej skutkiem? Choć historia wprawdzie realizuje się na ulicy, to przecież rodzi się w gabinetach i bunkrach dowodzenia, bywa

jak największej liczby ludzi. Antysemickiej propagandzie hitlerowców nie chodziło o to, by skłaniać ludzi do ataków na pojedynczych Żydów. Jej zadaniem było stworzenie archetypu wroga. Odczłowieczenie go, co w efekcie miało doprowadzić do ostatecznego rozwiązania. Człowiek nie jest genetycznie zaprogramowany do zabijania istot swego gatunku. Ale inżynierowie dusz co jakiś czas usiłują go przeprogramować. Tak bolszewicy odczłowieczyli kułaków, burżujów, wrogów ludu itp., co stanowiło oczywisty wstęp do eksterminacji. Podobnie postępują dziś szermierze poprawności politycznej, przedstawiając wszystkich „niepoprawnych” jako insekty, odpady, watahy. Kiedy uda się zrealizować ten etap, przyjdzie kolej na następne. Oczywiście w imię miłości. ■



Tomasz Sakiewicz

Jak przekonać nieprzekonanego

Media i sztaby partii politycznych zalewane są przez specjalistów od PR, socjologów, marketingowców doradzających, jak łatwo pozyskać nowych klientów albo nowych wyborców. Te działania są lewarowane prymitywnymi sztuczkami wyniesionymi jeszcze z czasów komunizmu i wiarą w magię socjotechnik. Odbiorcy przekazu coraz mocniej uodparniają się na kolejne triki. Działają one na nasz system poznawczy jak nowe antybiotyki na istniejące już szczepy bakterii, czyli coraz słabiej. Większość specjalistów od propagandy zapomina, a ich klienci po prostu nie wiedzą, że zamiast prób manipulacji lepiej stosować odbiorcom wiarygodny przekaz. Dlaczego? Bo wiara w magiczną siłę mediów

Typowy specjalista od PR nie przejmuje się wiarygodnością własnego przekazu i ma mało wspólnego z klientem, dla którego pracuje. Jeżeli jest wysokiej klasy specem, poradzi sobie z dystansem do klienta. Zwykle jednak wnosi bagaż własnych doświadczeń i emocji. Efekt jest taki, że odbiorcy trudno utożsamiać się ze źródłem przekazu.

Tu pragnę uspokoić wszystkich właścicieli wielkich mediów i szefów partyjnych sztabów: wasze wielkie wysiłki mają bardzo ograniczony sens. Żadne medium nie zmieni gruntownie postawy wielu ludzi ani żadna kampania nie przekona wielu przeciwników. Media i kampanie są najskuteczniejsze, gdy trafiają do swoich. To po co tworzyć silne media albo wydawać pieniądze

CAŁA SZTUKA POZYSKIWANIA LUDZI TO BUDOWANIE WSPÓLNOTY I TWORZENIE DLA NICH PRZEKAZU. POGLĄDÓW PRZECIWNIKA NIE ZMIENIMY, WIĘC SZKODA NASZYCH NERWÓW I PIENIĘDZY.

jest złudna, szczególnie w systemie silnej konkurencji. Człowieka można zmanipulować, ale zwykle na bardzo krótko i przy kolejnych takich sytuacjach uodparnia się na przekaz. Lepiej więc starać się dostarczyć mu rzetelną informację, szczególnie tę, którą pomijają inni.

Jakie są cechy dobrego przekazu?

Po pierwsze, twórca przekazu powinien sam w niego wierzyć, a w każdym razie odbiorcy musi towarzyszyć takie przekonanie. Czyli przekaz musi wykonać albo człowiek wiarygodny, albo mistrz manipulacji. Pomijam etyczną ocenę tych dwóch postaw, bo jest ona oczywista.

Po drugie, przekaz musi być przyswajalny dla odbiorcy. Jeżeli więc chcemy do niego przekonać osobę o mocno odmiennych poglądach, nie tylko nie możemy jej obrażać, lecz wręcz trzeba ją docenić. Inaczej brzmi zdanie: „Jesteś niezwykle mądry, ale tym razem nie masz racji” niż na przykład: „Znowu nie masz racji”.

Język i zakres pojęciowy powinien być dostosowany do możliwości odbiorcy. Jeżeli mówimy do człowieka wykształconego, można używać kolokwializmów, ale należy unikać uproszczeń.

na kampanię? To oczywiste: by swoi nie zawiedli i by wiedzieli, co mają robić. Jedyne pole manewru to to, że pójcie kto jest nasz i nie nasz jest bardzo nieścisłe. Sami musimy to określić, oceniając rzeczywistość.

Jeżeli budujemy kampanię adresowaną do miłośników kotów, to wiadomo, czego oni potrzebują. Entuzjaści kotów pewnie mogą być też wielbicielami wiewiórek, ale trudno wsadzić ich do jednej grupy z amatorami myszy. Na pewno nie zgodzą się na to miłośnicy myszy. W polityce czy komercyjnym piarze jest podobnie. Możemy zakreślić wspólny zakres interesów u grup niezantagonizowanych. Ich uczestników możemy uznać za swoich i przekonywać. Cała sztuka pozyskiwania ludzi to budowanie wspólnoty i tworzenie dla nich przekazu. Poglądów przeciwnika nie zmienimy, więc szkoda naszych nerwów i pieniędzy. Oczywiście zdarzają się wielkie nawrócenia, ale mają one raczej charakter osobisty. Zmiany społeczne zależą od długotrwałej formacji i pracy organicznej. Magicy od propagandy są dobrzy, gdy kontroluje się cały przekaz. Kiedy przekaz jest wyrównany, trzeba umieć tworzyć wspólnotę i być po prostu wiarygodnym, przynajmniej dla swoich. ■

zależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna

niezależna

niezależna niezależna niezależna
zależna niezależna niezależna niezależna

niezależna niezależna
zależna niezależna niezależna
niezależna niezależna



zależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna
zależna niezależna niezależna niezależna